

KU LEPSZEJ POLSCE

STANISŁAW GRABSKI

RÓJ

STANISŁAW GRABSKI

Ku lepszemu Polsce

„Coraz częściej słyszy się i czyta o potrzebie zespolenia wszystkich sił narodu dla wydobycia Polski z kryzysu gospodarczego, który dłużej i cięższej od innych państw przeżywamy.

To wszystko, co się naokoło nas dzieje, świadczy, że niezadługo mogą nadejść dni wielkiej próby, z której wyjdą zwycięsko tylko narody zdolne do wielkiego zbiorowego wysiłku, ściśle zespolone wzajemnym zaufaniem i wspólną dzielą wszystkich ich warstw ambicją.

Zespolenia tego nie dokonają oczywiście same tylko słowa. Muszą dla zrealizowania go przyjść czyny, zmieniając zdecydowanie cały kierunek naszego życia narodowo-państwowego“.

Słowa powyższe, wyjęte z przedmowy Autora do niniejszego dzieła, określają zarówno podłoże, na jakim książka ta wyrosła, jak i jej zawartość. W okresie przewartościowywania całej współczesnej polskiej myśli społeczno-politycznej, w okresie wykuwania się nowych ideologicznych podstaw naszego bytowania, dzieło prof. St. Grabskiego, ujmujące w pełną syntezę naszą rzeczywistość i wytyczające jej szerokie szlaki dziejowe, skłonić musi do głębokich przemyśleń nie tylko bezpośrednich wyznawców głoszonych tu idei, lecz tych wszystkich, którzy w Jutro patrzą.



210,
11.5.45



STANISŁAW GRABSKI

KU LEPSZEJ POLSCE

Kolekcja
Emila Kornasia

WARSZAWA — 1938

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

CMWK 326645

N 000197

DRUKARNIA „LINOLIT“, WARSZAWA

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Dł nr 65 4 04 / 201 /

P R Z E D M O W A.

W ciągu 1936 i 1937 r. opublikowałem w Gońcu Warszawskim cykle artykułów: „Ku lepszemu Polsce“, „Chłopi“, „Ku nowemu Lepszemu Życiu“, „Planowa Gospodarka Narodowa“. Nie pozostały one bez pewnego wpływu. Szereg też, które pierwszy bodaj w naszej publicystyce w artykułach tych sformułowałem, jest dziś z różnych stron potwierdzany i zaliczany do najpilniejszych naszego życia postulatów. W dziennikach, w których dwa lata temu apoteozowano stale deflacyjne „równanie w dół“, dziś już, dzięki Bogu, propaguje się odważnie nie tylko zrównanie tempa naszej przedsiębiorczości z tempem przyrostu ludności, ale i konieczną dla tego planową przebudowę całego naszego społeczno-gospodarczego ustroju. Rośnie też liczba publicystów, którzy przestają w żądaniu uniezależnienia naszego systemu walutowo-kredytowego od złota i dysponującej nim międzynarodowej finansjery widzieć herezję ekonomiczną, a poczynają coraz lepiej sobie zdawać sprawę, że weszliśmy w nowy okres historii społeczno-gospodarczej, wymagający nowej też ekonomicznej nauki.

I coraz częściej słyszy się i czyta o potrzebie zespolenia wszystkich sił narodu dla wydobycia Polski z kryzysu go-

spodarczego i politycznego, który dłużej i ciężiej od innych państw przeżywamy.

Śmieszną byłoby zarozumiałością, gdybym w tych przemianach poglądów widział – tylko skutki mej propagandy. Wiem dobrze, że wielu działaczy i pisarzy doszło do tych samych co ja też zupełnie samodzielnie, nie znając nawet mych artykułów. Ale fakt ten właśnie stanowi dla mnie najsilniejszy sprawdzian słuszności mej propagandy. Jest to bowiem dowodem, że kto ściśle obserwuje nasze współczesne życie, choćby patrzył na nie z wręcz przeciwstawnej strony, widzi tak samo naszą „rzeczywistą rzeczywistość“.

Trzeba jeno, żeby wszyscy ją zobaczyli i zrozumieli. Niestety ewolucja dzisiejsza całego naszego narodowo-państwowego życia prowadzi nie do konsolidacji, ale do coraz większej rozterki. Grupy i jednostki, w dwudziestu i to najważniejszych sprawach zgadzające się, zwalczają się i podkreślają odgraniczające je od siebie linie, bo różnią się w poglądach na pięć drugorzędnych spraw.

A wszystkie niemal dzisiejsze nawoływania do jedności – są naprawdę apelem do zgodnego posłuszeństwa nawołującym. I dla tego też wśród większości społeczeństwa budzą one chęć tem silniejszego jeno odgradzania się od owych wodzów czy kandydatów na wodzów.

Szerzy się coraz silniej u góry i u dołu rozkład myśli i woli, a tymczasem to wszystko, co się naokoło nas dzieje, świadczy, że niezadługo mogą nadejść dnie wielkiej próby, z której wyjdą zwycięsko tylko narody zdolne

do wielkiego zbiorowego wysiłku, ściśle zespolone wzajemnym zaufaniem i wspólną dziejową wszystkich ich warstw ambicją.

Zespolenia tego nie dokonają oczywiście same tylko słowa. Muszą dla zrealizowania go przyjść czyny, zmieniające zdecydowanie cały ten kierunek naszego życia narodowo-państwowego, który prowadzi dziś do dekompozycji.

Ale najlepsze zamiary rządu i najśmielsze jego decyzje nie dadzą pożądanego wyniku, jeśli nie wytworzy się w społeczeństwie nowy kierunek myśli politycznej, który w imię przyszłej lepszej Polski nakaże nie kompromis, ale syntezę wszystkich twórczych sił narodu, przekreślając dotychczasowe nieufności, zawiści i spory.

Tej syntezy nie sposób nakazać. Trzeba dla niej pozyskać myśl i sumienia zarówno ogółu obywateli rządzonych jak i tych, co rządzą w ministerstwach, województwach, powiatach, gminach.

A myśli ludzkie zdobywa tylko jasnymi słowy wyrażona myśl. I pozyskuje sumienia tylko szczere, z sumienia również płynące bezpośrednio słowo. Więc choć wiem, że sama propaganda nie zmieni biegu naszych dziejów, propagandy syntezy narodowej nie zaprzestane.

To też z radością przyjąłem propozycję Towarzystwa „Rój” wydania wymienionych na początku cyklów mych propagandowych artykułów w osobnej książeczce.

Nie jest jednak książeczka ta prostym przedrukiem. W cyklach publikowanych co pół roku musiałem niejed-

no powtarzać kilkakrotnie. W obecnym zbiorowym ich wydaniu nawroty do tych samych tematów są w większości usunięte. Prócz tego zamienione są przestarzałe już cyfry statystyczne nowymi. I coś niecoś do wywodów mych z przed półtora czy pół roku dodałem, by je zaktualizować. Bo choć nasze życie płynie wolniutkim prądem, ale naokół nas wszystko się szybko zmienia.

I.

POTRZEBA IDEI.

Nie tak to jeszcze dawne czasy, gdy prawomyślny obywatel obowiązany był wszędzie i zawsze głosić (mniejsza z tem – wierzył czy nie wierzył –), że w Polsce dzieje się wszystko doskonale, lepiej niż na całym świecie. „Być to jest“ było naczelnem zawołaniem doby pułkownikowskiej.

Od dwóch lat jednak ze strony najbardziej oficjalnych czynników padają wezwania do poprawy istniejącego u nas stanu rzeczy: „podciągnąć Polskę w górę“, „zaktywizować społeczeństwo“, „zaopatrzyć armię w brakujący jej sprzęt bojowy“, „zjednoczyć naród“, „mówić prawdę“... a oczywiście nie poprawia się tego, co jest dobre.

I już wolno drukować w Małym Roczniku Statystycznym zestawienia cyfr, pouczające, że w ciągu ostatnich 7 lat spadliśmy na najniższy w Europie poziom przedsiębiorczości przemysłowej. Wolno też już w broszurach i artykułach dziennikarskich wskazywać na osłabienie polskiej narodowej ekspansji w Małopolsce wschodniej i na Wołyniu, na niejasności naszej polityki zagranicz-

nej, na rozgrywki osobiste i koteryjne wśród obozu rządzącego.

Wprawdzie i dziś jeszcze bywają sprawy ,obejmowane oficjalną konspiracją milczenia, lub których publiczne oświeclanie dozwolone jest tylko z jednej strony.

Naczelnym dziś jednak tonem naszej publicystyki i naszych dyskusyj o sprawach publicznych nie jest już samochwalstwo – ale troska o naprawę niedomagań naszej obecnej rzeczywistości.

I niewątpliwie z różnych stron robi się wysiłki, by te niedomagania usunąć.

Rząd porzucił niebezpieczną politykę deflacyjną. Od równania w dół przeszedł do podnoszenia wskaźnika naszej wytwórczości.

Zaprzestał też obóz rządzący umacniać linie przedziałów, a począł zabiegać o narodowe zjednoczenie.

Również Stronnictwo Narodowe propaguje usilnie zespolenie się narodu pod jego komendą i stara się przełamać zastój naszego życia gospodarczego przez utrudnianie żydom życia w Polsce.

Mnoży się przy tem ilość książek i broszur, wskazujących sposoby przezwyciężenia dlawiącego nasze życie kryzysu. I powstają coraz to nowe grupy i organizacje, wypracowujące nowe programy ekonomiczne i polityczne.

Ale pomimo to, wszystkie zasadnicze wady i braki naszego życia gospodarczego i narodowo-państwowego

trwają nadal i przeważnie nie maleją, lecz zaostrzają się.

Bo choć wskaźnik naszej produkcji przemysłowej podniósł się z 66 w 1935 r. na 72 w 1936 r., i prawdopodobnie w roku bieżącym wzrośnie znów o parę punktów – to jednak nie jesteśmy jeszcze w stanie zatrudnić całego naszego przyrostu ludności. A wobec tego bezrobocie nadal rośnie – w wolniejszym wprowadzie niż w latach poprzednich tempie – ale rośnie. I na drodze gospodarczego postępu pozostajemy coraz bardziej w tyle za naszymi sąsiadami.

Ostatnie zaś wypadki, które obiegły wsie całej południowej Polski, wskazują aż nadto wyraźnie, że „Zjednoczenie Narodowe” przynajmniej na „odcinku włościańskim” ma bardzo mały zasięg.

Nie był też przejawem konsolidacji konflikt wawelski; nie jest nim gwałtowna kampania prasy konserwatywnej przeciwko ministrowi Poniatowskiemu; nie wróży jej nic dobrego podkreślana skwapliwie przez prasę nieobecność wielu wybitnych legionistów na ostatnim ich zjeździe w Krakowie.

A dramatycznym wręcz ostrzeżeniem jest jednogłośny wyrok sądu przysięgłych w Krakowie, który przez bardzo wielu musi być zrozumiany, jako orzeczenie, że zbrojne najście na starostwo nie jest w obecnych warunkach zbrodnią.

Publicysta prorządowy rzucił słowo „dekompozycja”. Rzucił on je pod adresem stronnictw opozycyjnych. Isto-

tnie, co czas jakiś odbywają się w nim rozłamy, ale pomimo to stronnictwa te nadal istnieją. A niewiele secesyj od nich idzie na wzmocnienie obozu rządowego. Większość ich daje początek nowym stronnictwom również opozycyjnym.

Odpartyjnienie życia politycznego Polski nie udało się za życia marszałka Piłsudskiego. B.B.W.R., który miał nadać polskiej myśli politycznej lot ponadpartyjny, stał się naprawdę promotorem najciaśniejszej wyłączności partyjnej. I dlatego musiał być rozwiązany. A stronnictwa skazywane na zagładę istnieją.

Myśl, że to, czego nie zdołał osiągnąć Piłsudski, osiągnie w jego imieniu ktoś inny, jest mało realna. Ale również nierealne są monopartyjne marzenia kierowników Stronnictwa Narodowego.

Dość zestawić te dwie cyfry: 12.000 uczestników demonstracyjnego pochodu Stronnictwa Narodowego w Warszawie w rocznicę Cudu nad Wisłą i tegoż dnia tyleż samo tj. 12.000 ludowców demonstrujących w Buczaczu, – by zdać sobie sprawę, jak naiwnym jest złudzenie dmowszczyków, że do nich należy rząd dusz w narodzie.

Od rojeń o rządach monopartyjnych życie nasze odbiega coraz dalej. Coraz więcej rozterek w obozie rządzącym, coraz więcej odłamów i odgałęzień narodowych i narodowo-radykalnych, a także socjalistycznych. Coraz więcej procesów, ujawniających głębokie fermenty w różnych urzędach, coraz więcej konfliktów i walk,

wstrząsających opinią całego społeczeństwa i wytwarzających w niej nowe linie przedziałów.

Ale wbrew tym wszystkim faktom, nie tylko w otoczeniu obecnych sterników naszej nawy państwowej, także i wśród większości przywódców zarówno koteryj, na jakie się dawny B.B.W.R. rozpadły, jak i Stronnictwa Narodowego oraz secesji, które je dziś zwalczają, – zapatrzenie się w Mussoliniego, Kemala Paszę, Stalina, Hitlera a ostatnio i generała Franco, nie daje dostrzec naszej polskiej rzeczywistości.

Zmniejszają się różnice poglądów w społeczeństwie, ale to nie zbliża do siebie stronnictw i grup politycznych. Nic tak nie drażni redakcji Dziennika Narodowego, jak przejmowanie haseł antysemickich przez inne obozy.

Pod tym względem partyjnictwo doszło do natężenia, niebywałego nigdy dawniej, ani przed wojną, ani w pierwszych siedmiu latach naszego nowego bytu państwowego. Szereg stronnictw uważa swe programy nie za wskazania dla narodu, ale za wyłączną swoją własność, za zawołania, które mają jednać zwolenników, w walkach ich o władzę, o władzę dla nich jedynie. Zasady coraz częściej podporządkowuje się taktyce rozgrywek koteryjnych i partyjnych.

Widzi to ogół naszej inteligencji. To też przeciętny uczciwy pracownik umysłowy czy kupiec lub rzemieślnik najchętniej dziś odsuwa się od życia publicznego, pozostawiając politykę różnym kombinatorom.

Gdyby wzamian rosła aktywność organizacyj społeczno-kulturalnych. Ale i od pracy w stowarzyszeniach stoni olbrzymia większość naszej inteligencji.

Rządy pomajowe stworzyły silną armię i sprawny, umiejący rozkazywać aparat administracji państwowej. Siłę jednak maszyny państwowej opierały na biernym, bezwolnym posłuszeństwie obywateli. Nauczono ich, że nie oni decydują o losach swych gmin, związków gospodarczych, stowarzyszeń kulturalnych.

To też słabnie w warstwach oświeconych, nawet wśród ogółu urzędników odpowiedzialność za przyszłość Polski.

Na tej bierności inteligencji można opierać programy utrzymania się u władzy. Ale w takim razie trzeba wziąć na siebie pełnię odpowiedzialności za to, co się stanie z Polską, gdy nadciągająca burza dziejowa zastanie ją w tym, co dziś, stanie powszechnej apatji i rozterki.

Marszałek Śmigły-Rydz żąda mówienia prawdy. Więc ją powiem. Tkwimy głęboko w kryzysie gospodarczym, gdy go cały świat już od paru lat przezwyciężył. Przeżywamy niemniej głęboki kryzys moralny. Bo ilość przestępstw rośnie w zastraszający sposób. I co najgorsze, szerokie warstwy społeczeństwa tracą wiarę w Polskę. Coraz częściej słyzy się te straszne słowa: „za Austrii było lepiej“, „nie za taką Polskę walczyłem“.

Tego potrójnego kryzysu nie przezwycięży żadna „silna ręka“. Apologeci jej lubią u nas powoływać się na przykład faszystowskiej we Włoszech i narodowo-socjalistycz-

nej w Niemczech dyktatury, które, podporządkowawszy nie tylko pracę, ale i myśl społeczną i polityczną obywateli rozkazom wodzów, wzmogły równocześnie olbrzymio energię i gotowość bojową swoich społeczeństw. Zapominają oni jednak, że dyktatury te mają na swe uzasadnienie liczny szereg wielkich naprawdę sukcesów ekonomicznych i politycznych.

W ciągu kilkunastoletnich rządów faszystowskich nie było we Włoszech potrzeba ani jednej pacyfikacji mas ludowych – a już dwa lata temu ich produkcja przemysłowa wróciła do poziomu z 1928 r. I Włochy zdobyły Abisynię. A Hitler w ciągu pierwszych dwu lat swej dyktatury zmniejszył bezrobocie z 6,000,000 na 1.500.000. I odzyskał on dla Niemiec obszar Saary, zerwał wszystkie więzy, krępujące swobodny rozwój siły zbrojnej Rzeszy, postawił armię niemiecką na wyższym poziomie technicznej doskonałości od większości armii europejskich, podniósł nawet przyrost ludności swego narodu.

Dyktatury włoska, niemiecka, nawet turecka opierają się nie tylko na represjach wobec swych przeciwników, ale przede wszystkim na zaufaniu znacznej większości obywateli, widzących, że naprawdę jest im i całemu społeczeństwu lepiej, niż za poprzednich rządów.

U nas dochód społeczny spadł z 28 miliardów złotych w 1929 r. na 15 miliardów w 1933 r. Żyje się więc coraz ciężiej. I dowiadujemy się, że w ostatnich 10 latach zarówno Niemcy jak Rosja prześcignęły nas ogrom-

nie swoimi zbrojeniami. I czytamy cyfry zmniejszającego się przyrostu ludności, świadczące o spadku naszej siły żywotnej. A przecie od maja 1926 r. rządzą Polską niezmiennie bardzo silne ręce.

Nie ma więc żadnej logicznej podstawy do oczekiwania, że dalszy nacisk silnej ręki wystarczy, by od wielu lat rosnące powszechne zwątpienie w lepszą przyszłość i zniechęcenie do polityki i całego naszego życia publicznego przemieniło się w wielki zbiorowy optymizm i wysiłek myśli i woli narodowej.

I ludzą się też zwolennicy opozycyjnych kandydatów na wodzów, którym się zdaje, że gdyby oni objęli dyktaturę, toby się wszystko w Polsce natychmiast na lepsze odmieniło. Naprawdę zmieniliby się bardzo niewiele poza tem, że inni ludzieapełnialiby szeregi młodych emerytów i obozy odosobnienia. Bo stosunek do Polski wszystkich monopartyjnych, elitarnych grup jest w gruncie rzeczy taki sam. Wszystkie one uważają ogół narodu za nierozumny tłum, nad którym trzeba panować. Wszystkie one czują się powołanymi do władania Polską. Nie tylko ze strony sanacyjnej powiedziano, że polityka to tylko sztuka zdobywania władzy i utrzymywania jej w swym ręku wszelkimi sposobami. Dosłownie to samo wskazanie dał przed kilku laty swemu obozowi p. Roman Dmowski. A w rok po tem jeden z przywódców młodzieży narodowej oświadczył, że cała jej ideologia streszcza się w dwóch słowach „władzy” i „chleba”.

Ale każdy kto bierze władzę nad narodem, a nie przez naród powołany, kto ze sprawowaniem władzy łączy sprawę swego „chleba” – ten potem w obronie jej tłummi a nie wzmacnia aktywność społeczeństwa.

A tymczasem wydobyć Polskę z przeżywanego przez nią kryzysu politycznego, moralnego i ekonomicznego, może jedynie szybkie spotęgowanie wszystkich moralnych i umysłowych sił narodu.

Dać je nam może tylko wizja Polski lepszej o wiele od dzisiejszej i materialnie i moralnie. A wizję tę stworzyć może tylko nowa idea.

*

* *

Idei potęgującej siły twórcze narodu – nie sposób z obcych wzorów skopiować. A niestety od zarania odzyskanej niepodległości, ciągle tylko obcych naśladujemy.

Chwilami budziły te naśladownictwa duży nawet zapal w pewnych warstwach narodu. W pierwszej chwili po wypędzeniu Niemców przejęte ze wschodu hasło „rządów robotniczo-włościańskich” pociągnęło za sobą znaczną część najlepiej wówczas zorganizowanych i dzięki temu najaktywniejszych warstw proletariatu oraz małorolnych włościan. I gdy do reprezentujących je stronnictw PPS. i Wyzwolenia przyłączyła się konspiracja P.O.W. – na ratuszu warszawskim zawisł czerwony sztandar a rządy w nowopowstającym państwie objął ga-

binet Moraczewskiego. Ale wkrótce musiał ustąpić pod naciskiem opinii ogromnej większości narodu.

Później w 1922 roku zaczęła żywiołowo szerzyć się wśród młodzieży szkół wyższych i średnich recepcja faszyzmu włoskiego. Po wyborze prezydenta Narutowicza wystąpiła ona z ogromną siłą na ulicach Warszawy. Ale nie była w stanie porwać za sobą nawet ogółu Stronnictwa Narodowego, a wśród ludowców i Chrześcijańskiej Demokracji – budziła wręcz niepokój. Dla olbrzymiej większości społeczeństwa o wiele większy urok przedstawiała koncepcja demokratycznego państwa parlamentarnego. Znalazła była ona swój wyraz w pierwszej naszej konstytucji – nie pozyskała jednak na tyle serc narodu, by stanął silnie w jej obronie w maju 1926 r. A od tej chwili po dziś dzień liczba jej zwolenników maleje, mimo rosnących ciężarów i dolegliwości dyktatury. Są oni dziś w niewątpliwie mniejszości. Ale również w mniejszości są zwolennicy monopartyjnych rządów faszystowskich. I w mniejszości też są naśladowcy hitleryzmu. W mniejszości są także komuniści.

Żadna z tych recypowanych z zagranicy ideologii społeczno-państwowych nie budzi dziś ani wiary ani entuzjazmu poza nielicznymi grupami. Większość społeczeństwa odwraca się od nich wszystkich i odsuwa się od udziału w życiu publicznym.

Idea zdolna przełamać ten passywizm społeczno-polityczny większości narodu musi być wytworem własnego naszego ducha tak, jak się wykształcił w ciągu na-

szych dziejów, wypływać z ambicij i zamięłowań, tkwiących głęboko w sercach i umysłach ogółu uczciwych, kochających Ojczyznę i kierujących się w życiu zasadami i ideałami polaków.

· Będąc nawskroś naszą, czysto polską, nie może być ona jednak ideą egoistyczną. Bo nie wzbudzi ona w takim razie rzeczywistego spotęgowania sił duchowych narodu.

Różna jest psychologia narodów. Są narody, których najgłębszymi i najsilniejszymi instynktami są zdobywczość, poczucie swej wyższości nad innymi, rządzi panowania, walk i wielkich przygód.

Takim jest naród niemiecki. W zaraniu swej historii, plemiona germańskie wędrowały po całej Europie, podbijając kolejno coraz to nowe kraje. Całą też średniowieczną historię Niemiec wypełniały walki zaborcze wschodnich markgrafów przeciwko ludom i narodom słowiańskim, oraz ekspedycje cesarzy do Włoch. Ten sam instynkt pchnął również Niemcy do wojny światowej. I otwartym, szczerym do niego zaapelowaniem zapewnił sobie Hitler zwycięstwo.

W Anglii, a tymbardziej w Stanach Zjednoczonych dochodzą ludzie w walce o bogactwo do prawdziwego bohaterstwa. Bohaterami robi beletrystyka angielska nie tylko poszukiwaczy złota, inżynierów, budujących nowe linie kolejowe czy tunele, plantatorów w egzotycznych krajach, lecz nawet spekulantów giełdowych.

Myśmy nie przejawiali nigdy w naszych dziejach in-

stynktów zdobywczych. Jedyne duże podboje państwa polskiego – to były podboje Chrobrego. Ale jakże były one nietrwałe. Dzieło Chrobrego rozpadło się już za panowania jego syna. Nie umiemy też być bohaterskimi zdobywcami w naszym życiu wewnętrznym gospodarczym. Dorobkiewicz czy karierowicz jest u nas mianem pogardliwym.

W całej naszej literaturze jedyny bodaj wyidealizowany dorobkiewicz to Marek z Dewajtisa Rodziwiczówny. Ale bo też dorabiał się on nie dla siebie – jedno dla utrzymania w rękę polskim polskiej ziemi.

Zapewne nie jest naszą zaletą – takie lekceważenie i podejrzliwe traktowanie tych, którym się w gospodarczej ich pracy dobrze powodzi. Trzeba się starać o to, by dorobkiewicz był otaczany szacunkiem. Ale na to trzeba przede wszystkim, by o wiele częściej zasługiwał on naprawdę na szacunek, a nie na pogardę, by był człowiekiem wyższym duchowo, górującym nad nieumiejącymi się dorabiać dzielnością charakteru, wykonywaniem obowiązków, dotrzymywaniem zobowiązań, poczuciem swego honoru. Próżno byśmy jednak starali się wychować te cnoty wśród naszych kupców, przemysłowców, rzemieślników, rolników, apelując jedynie do ich „dobrze zrozumianego egoizmu“.

Bohaterów pracy i walki o bogactwo, dźwigania siebie i swego otoczenia na wyższy poziom dobrobytu – wytworzyć może w narodzie naszym tylko zespolenie w jedną uczuciową i myślową całość dążenia do powo-

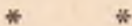
dzenia osobistego, do powiększenia własnego przedsiębiorstwa czy majątku, do podnoszenia się na wyższy poziom cywilizacyjnego życia – z pracą i walką o realizację idei obiektywnego jakiegoś dobra.

Bo taka jest dusza polska. Wzlata ona nad poziomy tylko dla celów ideowych. A egoizm polski jest zazwyczaj małoduszny.

Nie jest też dziełem przypadku, że ludzie, w których duszach gorzała najpotężniej miłość Ojczyzny, którzy tym swoim płomiennym patriotyzmem umieli rozgrzać serca tysięcy w dobie już powszechnego upadku cnoty obywatelskiej w Rzpiej – Jan Sobieski, Puławski, Kościuszko, ukochanie Polski i orężną swą dla niej pracę łączyli z walką o ideę obrony chrześcijańskiego świata przed nawałą muzułmańską (odsiecz wiedeńska), czy wszechludzkiej wolności i sprawiedliwości (udział w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych).

Ideał, któryby dał narodowi naszemu nową w siebie samego wiarę i spotęgował jego siły duchowe, musi więc wypływać z naszej własnej cywilizacji duchowej, być zgodnym z instynktem najszerszych mas naszego społeczeństwa, przemawiać do ambicji ogółu uczciwych, szlachetnych i kochających Polskę ludzi – a zarazem wznosić się ponad narodowy egoizm, mieć wartość wszechludzką.

Takim ideałem może być jedynie – idea misji, jaką ma Polska w dziejach ludzkości spełnić.



Pierwszym warunkiem bezpieczeństwa i całości państwa jest jego własna siła bojowa. Dzieje jednak wojny światowej pouczają, że najlepsza i najliczniejsza nawet armia nie da zwycięstwa państwu, które jest moralnie odosobnione w świecie.

Państwo, na którego istnieniu i sile nikomu poza nim samym nie zależy – jest tak samo zagrożone w swej egzystencji, jak i państwo bez odpowiedniej siły zbrojnej.

Ażeby ludzkości zależało na istnieniu jakiegoś państwa, trzeba, by coś ono z siebie ludzkości dawało.

Cóż my jej dać z siebie możemy? Kilku wielkich powieściopisarzy, paru na pół wieku torujących nowe drogi postępowi nauk uczonych? To było bardzo wiele w czasach niewoli, gdy na mapach Europy nie było Polski. Skłodowska, Sienkiewicz, przypominali Europie, że Polska jednak, mimo rozbioru, jest. Ale dziś to mało.

Wielka naukowa i artystyczna twórczość nie wyraża w ciasnych, niskich, słomą krytych chałupach, przy misce ladajako okraszonych ziemniaków. A tak przecie żyje 70 proc. naszej ludności.

W zakresie produkcji dóbr materialnych i intelektualnych długo jeszcze będziemy raczej naśladować inne narody niż ich cywilizację wzbogacać.

Ale dzieje cywilizacji to nie tylko historia badań naukowych, wynalazków technicznych, rozwoju form organizacyjnej pracy i współpracy gospodarczej, postępu bogactwa, – to także historia religii i systemów moralnych, na których się życie społeczeństw opiera.

I można patrzeć na rozwój ludzkości z paru punktów widzenia: Można widzieć w nim zmagania się ras, ludów i państw. Można rejestrować i wyjaśniać przemianę ustrojów społecznych. Można szukać w nim dróg postępu panowania człowieka nad przyrodą. Ale można też oceniać go wedle moralnej wartości dokonywujących się w życiu i współżyciu narodu przemian. Bo jednak jest w świecie nie tylko dobro i brak dobra, jest także pozytywne zło – jest zbuntowany przeciwko Bogu i nieustannie przeciwko niemu walczący szatan.

I są powtarzające się co czas pewien okresy szczególnego natężenia walki ducha zła przeciwko dobru.

Takim okresem były czasy Tyberiusza, Nerona, Caliguli w imperium rzymskim. Była nim również epoka renesansu nie tylko sztuki starożytnej, lecz jeszcze bardziej moralności pogańskiej. I są nimi też czasy dzisiejsze.

Wojna światowa dała nam odzyskanie niepodległości. Za to ją błogosławimy. Ale nie można nie widzieć, że wyzwoliła ona też olbrzymią masę zła, którego jednym tylko z przejawów była rewolucja bolszewicka.

Bo nie mogło nie wywołać straszliwych spustoszeń w sumieniach ludzkich życie przez szereg lat milionów ludzi z prawem jedynie przemocy, z myślą jedynie o szkodzeniu innym takichże ludzi milionom wszelkimi sposobami, bez żadnych na ich etyczną wartość względów.

Tak amoralnego, stojącego poza wszelkim rozróżnieniem dobra i zła, sposobu wojowania, jak zainicjowany

w wojnie światowej przez Niemcy i z konieczności przez wszystkich innych przyjęty – nie było w Europie od przeszło tysiąca lat.

I te wyzwolone w czasie ostatniej wojny potęgi zła nie słabną. Do bezbożnictwa sowieckiego przybyły meksykańskie prześladowania kościoła Chrystusowego, neo-poganizm niemiecki, prowadzona przez obie strony przy pomocy obcych państw i wojsk wojna domowa w Hiszpanii...

W tej światowej dziś walce zła przeciwko dobru, Polska może dać z siebie ludzkości dużo – bardzo nawet dużo.

Już raz oddaliśmy w 1920 r. wielką naprawę przysługę cywilizacji chrześcijańskiej, powstrzymując najazd bolszewicki, który w razie podbicia Polski miał wspomóc swoją zbrojną potęgą rewolucję komunistyczną w całej środkowej Europie.

I nie jest przypadkiem, że od tej chwili przestano mówić na Zachodzie o Polsce jako o państwie sezonowym. Świat zrozumiał, że Polska jest mu potrzebną, choć wielu nie chciało tego narazie przyznać.

Obecnie nie zagraża światu chrześcijańskiemu żaden zbrojny najazd – ale bodaj czy nie niebezpieczniejszy jeszcze najazd doktryny nacjonalizmu pogańskiego.

Tak – nacjonalizmu pogańskiego. Bo w ostatnim dziesięcioleciu narodowy kierunek myśli rozpadł się na dwa coraz bardziej się między sobą różniące, coraz bardziej sobie przeciwstawne odłamy.

Toć jest już i nacjonalizm bolszewicki. Bolszewizm traci swój kosmopolityczny charakter. Staje się coraz bardziej odrębnym wśród innych ustrojem prawnopaństwowym ludów dawnego imperium rosyjskiego. I coraz częściej apeluje on do patriotyzmu, do dumy narodopañstwowej tych ludów. Ale ani na jotę nie porzucił on przejętego za pośrednictwem Marxa od materialistycznej filizofii końca XVIII-go i początku XIX-go wieku ateizmu.

I od tejże materialistycznej filozofii pochodzi antychrześcijanizm Nitschego, a od jego doktryny moralności pańskiej, stojącej ponad złem i dobrem, wywodzi się i rasizm i neo-poganizm narodowo-socjalistyczny.

Choć bolszewicy i hitlerowcy tak bardzo się nienawidzą, ich doktryny mają wspólne źródło: odrzucenie nadprzyrodzonego, boskiego pochodzenia moralności, uznanie jej za celową tylko instytucję społeczną i konsekwentnie z tym podporządkowanie pojęcia dobra i zła pożytkowi. Jeno gdy bolszewicy podporządkowują je pożytkowi proletariatu, Hitler podporządkowuje je pożytkowi nordyckiej rasy niemieckiej, a Musolini pożytkowi narodu włoskiego. Z całą przez niektórych podziwianą otwartością dyktator Włoch uzasadnia najazd Abisynii pożytkiem jego dla swego narodu.

Nie jest to zresztą nic nowego. Nacjonalizmy – to nie wytwór dopiero obecnych czasów. Były wyraźnie narodowe ruchy i w wiekach średnich. Z poczucia odrębności i jedności narodu polskiego powstały siły, w opar-

ciu o które Łokietek zespolił rozdzierane, czechizowane i germanizowane przez Piastów dzielnice Polski. Z takiego poczucia jedności i odrębności narodu francuskiego zrodził się cud Joanny d'Arc. Były to nacjonalizmy nawskróś chrześcijańskie. Ówczesny ruch narodowy Polski nie legendą Bolesława Śmiałego, ani nawet Chrobrego, lecz świętego Stanisława się krzepił. I były też potężne nacjonalizmy w starożytności. Ale były to nacjonalizmy nawskróś pogańskie. Bo i inne przed przyjęciem na ziemię Chrystusa być nie mogły.

Czymże się one różniły od późniejszych nacjonalizmów chrześcijańskich? Przede wszystkim i nade wszystko tym – że za jedyny cel państwa i narodu głosiły własną potęgę, a za najwyższe kryterium zła i dobra – korzyść tego państwa. Doktryna „państwa totalnego“ naprawdę nie wytworzona, jeno zlatynizowana przez faszystów po przyjęciu jej od bolszewików, – to powtórny po okresie odrodzenia nawrót do przedchrystusowej pogańskiej koncepcji państwa.

I cóż temu nawrotowi pogańskiej moralności życia publicznego przeciwstawia reszta państw z imienia chrześcijańskich?

Falszywy i małoduszny humanitaryzm, wysyłający ze Ztanów Zjednoczonych i z Anglii setki protestów przeciwko rzekomym pogromom żydowskim w Polsce, ale tolerujący linczowanie murzynów w Ameryce i mordowanie księży katolickich w Hiszpanii, głoszący równość i braterstwo ludzi, ale nie uznający prawa kolorowych

ras, o ile nie wywalczą go sobie orężem jak japończycy, do samodzielności politycznej, kulturalnej i gospodarczej... Czy może Ligę Narodów, umywającą ręce od konfliktu japońsko-chińskiego, i w której coraz większy głos ma pan Litwinow...

Neo-pogański nacjonalizm prze naprzód z całym rozmachem. Zwyródniały (bo i on miał czasy bohaterskie) humanitaryzm pseudo – liberalny (odkąd poszedł na służbę gield i koncernów, przestał już być naprawdę liberalnym) opiera mu się coraz lękliej.

Zamiast walczyć z nim – intryguje. Boć intrygą jeno jest cała dzisiejsza skierowana przeciwko faszyzmowi włoskiemu polityka Anglii w Genewie.

Czyż więc nie ma siły, któraby mogła powstrzymać triumf pogańskich egoizmów narodowo-państwowych, pograżających cały świat w chaos nieustających walk, wszystkich ze wszystkimi? Czyż nie ma nacjonalizmów chrześcijańskich, stawiających miłość Ojczyzny na pierwszym miejscu po miłości Boga, ale dobro swego narodu opierających na jego ukochaniu, a nie na nienawiści obcych, i zdolnych dzięki temu do zgodnej z sobą współpracy? Czy nie ma akcji katolickiej pogłębiającej w sumieniach milionów ludzi wszelkich ras, narodów, warstw społecznych, miłość Chrystusa i bliźniego...

Jest to wszystko.

Ale nie ma dziś w całym świecie żadnego państwa chrześcijańskiego, koło któregoby się skupiła walka

wszelkich prądów narodowo-chrześcijańskiej myśli z szerczącą się przemocą zła.

Naszym posłannictwem dziejowym, naszą najwyszą ambicją narodową powinno stać się stworzenie z Polski, położonej między bezbożnictwem bolszewickim a neopogaństwem hitlerowskim, państwa naprawdę chrześcijańskiego.

Bo mimo strasznego kryzysu moralnego, jaki dziś przeżywamy, naprawdę stać nas jeszcze na to. A naczelną cechą państwa chrześcijańskiego, jest panowanie w życiu publicznym tak samo jak w życiu prywatnym, nakazów moralności Chrystusowej i chleb dla wszystkich.



Jakbym słyszał niejednego czytelnika nieco zgorszonego: „Jak to – posłannictwo dziejowe Polski; czyż to nie nawrót do mesjanizmu, do fantazyj idealistycznych, które nas pchały do nierównych walk powstańczych i tyle nam bolesnych zgotowały zawodów; i to nam zaleca ekonomista – który przecie powinien myśleć realnie“.

Tak, – dziś idealizm jest niemodny, nie należy do dobrego tonu. Wyrzekli się go ci, co przed 21 laty, młodzięcym idealizmem wiedzeni, rzucili „swój los – na stos“. Stali się „zasłużonymi“....

Ale i po drugiej stronie barykady uczy się młodzież,

że polityka i międzynarodowa i wewnętrzna, to tylko ścieranie się interesów i dążeń nowotworzących się „obozów” do usunięcia z przodującego miejsca dotychczasowych „elit” – a wszelka walki idei i wszelkie apelowanie do praw człowieka i praw narodów jest blefem masonskim. To wietrzenie poza wszelką ogólnoludzką ideologią masonów i żydów doszło już do tego, że się powstanie 63-go i 64-go r. – naprawdę bohaterskie, bo przez 2 lata trwające, pomimo setek przegranych, a dziesiątków ledwo wygranych potyczek, i naprawdę narodowe, bo nie było ani jednej „partii”, w którejby nie walczyli razem szlachta, mieszczenie i chłopci – ogłasza się obecnie ze strony narodowej za intrygę frankistów.

Idealizm nie ma dziś dobrej marki wśród naszych polityków i publicystów.

Ale czy nie dlatego właśnie jest obecnie całe nasze życie polityczne tak strasznie jałowe?

Bo naprawdę walki interesów zawsze wyjaławiały i wyniszczały narody, gdy naodwrot walki idei, nawet najkrwawsze, bogaciły i duchowo i materialnie narody.

Porównajmy dzieje 17-go wieku w Wielkiej Brytanii, w Niemczech i u nas.

We wszystkich tych krajach toczyły się nieustanne wojny, zawzięte, pełne mordów, zniszczenia. Nie były one w Anglii łagodniejsze niż w Niemczech i w Polsce. Rewolucja i dyktatura Cromwella tępiła swych przeciwników z większą bodaj bezwzględnością, niż to czynili wodzowie wojny 30-letniej w Niemczech. A jednak An-

glia wyszła z tych walk silniejsza, niż była w ich początku. Niemcy zaś wojny religijne zrujnowały, bo na prawdę były to tam walki raczej między książętami o ich dynastyczne interesy, niż o nowe idee religijno-społeczne. I dlatego też zakończyły się one w Niemczech przekreślającą wszelką wolność sumienia formułą: „czyje panowanie – tego wiara“ (cujus regio – ejus religio). A jeszcze gorszy sprawiły upadek całej naszej cywilizacji nasze rokosze, bunt kozackie i najazdy obcych armij, sprowadzanych do Polski przez polskich panów. Bo nie było w tych wszystkich walkach żadnej idei poza dwoma jeno świetlanymi momentami: obroną Częstochowy i misją Sobieskiego – Obrony Krzyża.

Właśnie jako socjolog i ekonomista twierdzę, że siłami twórczymi nawet czysto-gospodarczego postępu były zawsze ideały, a nie interesy.

To nie jest przypadkowym zbiegiem okoliczności, że okresem największego rozkwitu średniowiecznej gospodarki był okres wojen krzyżowych, najbardziej romantycznego idealizmu, jaki mamy w dziejach ludzkości.

Tak – tylko ten człowiek i ten naród, który mierzy siły na zamiary, dokonywuje wielkich rzeczy.

Nie byłoby zwycięstwa pod Kirchholmem, gdyby Chodkiewicz był swe cele do szczupłości swych sił stosował.

I jakże pouczające jest zaapelowanie przez Napoleona pod Abu Kir do swych żołnierzy słowami: „czterdzieści wieków patrzy na was z wierchołka tych piramid“.

Ten najgenialniejszy realizator swych zamiarów, by wydobyc ze swego wojska maksimum bohaterstwa, nie obiecywał mu bogactw ani nagród – jeno odwoływał się do francuskiej dumy narodowej.

Ale poco sięgać po przykłady w tak odległą przeszłość. Czyż nie patrzymy dziś na to, jak zadanie powstrzymania bezrobocia w Niemczech, którego żadną miarą nie mogła rozwiązać ani koalicja centrowo-socjalistyczna, ani dyktatura Papena, zostało rozstrzygnięte w ciągu półtora roku przez Hitlera. I ilość bezrobotnych zmalała z 6-ciu na niecałe 2 miliony, choć głównym jego doradcą ekonomicznym jest tenże Schacht, którego głos i w poprzednich rządach bardzo dużo znaczył. Ale Hitler dał do dyspozycji czynnik polityki ekonomicznej, – jakiego dać mu poprzednie rządy nie mogły, olbrzymi entuzjizm patriotyczny. A entuzjizm zbudził Hitler tym właśnie, że zażądał od narodu niemieckiego, by zdwoił i potroił swe siły, odpowiednio do wielkości misji dziejowej narodu, – przeznaczonego do panowania nad niższymi rasami.

Realizm, obawiający się wzlotów idealizmu, by go nie oderwały od jego bardzo przyziemnych interesów, operujący jeno dobrze zrozumianym egoizmem klik, stronnictw, warstw, a choćby i całych narodów – może się doskonale nawet nadawać do „przetrwania“, „dostosowania się“, „doczekania się“, no i intryg przeciwko ewentualnym do spadku politycznego konkurentom – ale do niczego ponadto.

A że powszechnie chce się dziś u nas być tylko realnym i w równej mierze obawia się niepokrywających się z bezpośrednimi interesami idei, – więc też najbardziej uznawana jest obecnie w społeczeństwie naszym polityka przetrwania – nie tylko ekonomicznego kryzysu... A gdy wszyscy, by go tym łatwiej przetrwać, coraz lepiej się do kryzysu przystosowują, – więc nie ma żadnej w tej chwili w inteligencji naszej siły, zdolnej go przełamać. Zdaliśmy przyszłość Polski jakby na loterię dziejową. Najczęściej dziś słyszany w rozmowach politycznych zdaniem są bezzadne słowa: co będzie?

Jest to może psychologicznie zrozumiałe. Po wielkich wzlotach idealizmu następuje nieraz potem reakcja nadmiernego realizmu.

Ale czy nie trwa ona u nas za długo? Niemcy się już od paru lat zerwały od nowej wielkiej „przygody dziejowej“. Odżył w nich niespokojny duch Wikingów.

A my się ciągle jeno dostosowujemy nie tylko do coraz większej biedy po wsiach, lecz i do kurczenia się znaczenia Polski w Gdańsku.

Wyprowadzić myśl i wolę społeczeństwa z dławiącego dziś całe nasze życie publiczne pasywizmu, dać nam pomnożenie sił, konieczne dla przezwyciężenia kryzysu i ekonomicznego, politycznego i moralnego – zdoła tylko – raz jeszcze powtarzam – idealistyczny kierunek myśli.

Czyż więc jutrzejszą naszą ekonomię i politykę trzeba

tylko oprzeć na wizjach, pragnieniach – a nie na realnych rachubach?

Broń Boże.

Jest idealizm fantastyczny i jest idealizm realny. Fantastyczny był idealizm krzyżowego pochodz dzieci. Ale nawskróś realnym był idealizm księdza Kordeckiego.

Idealizm realny dąży do osiągnięcia celów, dla których zdobycia trzeba często istniejące w nas siły duchowe wielokrotnie zwiększyć, ale których zwiększenie zależy w pełni od własnej naszej woli.

Czyż więc są w naszym narodzie siły, które trzeba tylko naprawdę chcieć pomnożyć, by stworzyć z Polski państwo chrześcijańskie?

Czy jesteśmy moralniejsi od innych narodów? Czy mniej jest u nas niż na zachodzie kradzieży, zdrad małżeńskich, donosicielstwa, kłamstwa?

Nie i nie i nie.

Ale nasze dziejowe nieszczęścia wytworzyły w naszym narodzie silniejszą niż gdzieindziej tęsknotę za moralnością życia publicznego. Kto zna naszą wieś i nasze dzielnice robotnicze, nie z agitacyjnych jeno zebrań partyjnych, ten wie, że ponad wszelkie troski, spowodowane brakiem zarobków, wybija się wyczekiwanie prawdy i sprawiedliwości.

A tę prawdę i sprawiedliwość rozumie masa ludu naszego nie klasowo i partyjnie, ale po chrześcijańsku.

Więc idea państwa chrześcijańskiego nie jest u nas złudą, jest realnie osiągalna, jest idealizmem realnym.



O chrześcijańskim charakterze państwa decyduje nie jego ustrój – lecz jego stosunek do przykazań Bożych i kościelnych.

Chrześcijańskie jest więc państwo, które uznaje zawsze i wszędzie wyższość pochodzącego od Boga prawa moralnego nad tworzonymi przez ludzi ustawami i rozporządzeniami. Stara się więc o to, by ustawy, które tworzy, były nie tylko celowe, lecz i moralne, by były zgodne z nakazami religii Chrystusowej, i by – co bodaj jeszcze ważniejsze – były uczciwe, sumiennie, bez żadnej obrazy przykazań Bożych wykonywane.

Więc dążenie do państwa chrześcijańskiego, to przede wszystkim walka o to, by w polityce obowiązywały tak samo jak w życiu prywatnym przykazania: nie kradnij, nie zabijaj, nie mów fałszywego świadectwa. Dla prawdziwego katolika – kradzież głosów przy wyborach jest taką samą zbrodnią, jak kradzież pieniędzy, zabijanie przeciwników politycznych takim samym morderstwem, jak zabijanie osobistych wrogów, zniesławianie ludzi z motywów politycznych taką samą podłością, jak rzucanie oszczerstw dla osobistych porachunków.

Kto wierzy w Chrystusa, dla tego nie może być żadnym uzasadnieniem zbrodni – korzyść państwa, „salus rei – publicae“. Bo wie on, że światem rządzą nie tylko prawa przyczynowe, że jest i ustalony przez Boga po-

rządek moralny świata, i że kto, mając władzę w narodzie i państwie, porządek ten obraża – ten wcześniej czy później sprowadza na swój naród i na swe państwo nieszczęście. Ze zbrodni wyrasta trwale zawsze tylko zło, nigdy dobro.

A zatem dążenie do państwa chrześcijańskiego – to zarazem walka o prawdę życia publicznego, walka przeciwko całemu jego dzisiejszemu obrzydliwemu zakłamaniu, przeciwko wszystkim fałszywym legendom – (bo z paru stron szerzy się oddawna konsekwentnie kłamstwa historyczne dla wywyższenia zasług jednych a poniżenia innych), przeciwko zasłanianiu wzniosłymi frazesami lichego karierowiczostwa, a demagogicznymi hasłami pustki ideowej...

Aby była w życiu publicznym prawda – musi się ono oprzeć o jawne osobiste odpowiedzialności.

I dlatego prawdziwy katolik musi walczyć przeciwko wszystkim, jakie są dziś u nas konspiracjom.

Próżne jest zwalczanie masonerii – gdy się samemu tworzy ściśle ze wzorów masońskich skopiowaną tajną organizację.

Konspiracje były konieczne w czasie niewoli. Ale we własnym państwie są one zawsze szkodliwe – stają się narzędziami przede wszystkim intrygi politycznej, polegającej między innymi na obdzieraniu ze czci najszlachetniejszych nieraz patriotów. Jest to jeden z najcięższych zarzutów, jakie trzeba postawić obozom koncentracyjnym i administracyjnym do nich zesłaniom, że

pchają one w podziemia spisku niejednego ideowego młodzieńca, któryby w normalnych warunkach miał odwagę jawnie mówić i działać.

Pustym wszakże jest frazesem odpowiedzialność przed Bogiem rządów, które nie uznają żadnej poza własną nad sobą kontroli. Zrozumiało to doskonale średniowiecze. I dlatego też ówczesni chrześcijańscy monarchowie uznawali kontrolę swej najwyższej władzy świeckiej przez władzę moralną stolicy apostołskiej.

Dziś tego wielu praktykujących nawet katolików nie rozumie, że wszelkie rządy monopartyjne, jako przed nikim poza swym wodzem czy swą radą wtajemniczonych nieodpowiedzialne, są z istoty swej pogańskie. I nie jest to przypadkowym jeno zbiegiem okoliczności, że doktrynę „monopolu legalności” rządzącej partii wymyślił właśnie Lenin. Uczy on bowiem, zgodnie z materialistyczną historiozofią Marxa, że państwo jest narzędziem nie liczącej się z żadną moralnością dyktatury warstwy panującej nad resztą społeczeństwa. Gdy więc „zbrojna awangarda proletariatu” tj. partia bolszewicka objęła rządy – odrzuca ona wszelkie zasady demokracji, liberalizmu, równości i wolności ludzi – jako narzędzia, za pomocą których rozbijała poprzednio państwo burżuazyjne, i dzieli ludność na dwie warstwy: rządzących komunistów, mających wszystkie prawa, i rządzoną masę bezpartyjnych, mającą tylko obowiązki. Bo żadnych innych stronnictw poza komunistycznym w państwie bolszewickim być nie może.

Od Lenina dopiero przejął teorię „państwa totalnego“ i „monopolu legalności rządzącego stronnictwa“ ekssockalista włoski Mussolini. A później jeszcze przyswoił ją sobie narodowy socjalizm niemiecki.

Nie dziwota też, że trafiła i u nas do przekonania różnym rządzącym eks-makrystom.

Niestety jednak fascynuje ona nadmiernie swą „nowoczesnością“ i wielu tych, którzy poprzednio przez całe życie skutecznie marksizm zwalcza!i.

Im bardziej jednak jest ona modna – tym silniej musi się jej myśl katolicka przeciwstawić. Bo tak, czy inaczej, znacjonalizowana doktryna leninowska monopartyjnego państwa totalnego, najwyższym prawem pożytek rządzącej grupy czyniąca, – z ideą państwa chrześcijańskiego żadną miarą pogodzić się nie da.

I nie da się też z nią pogodzić tak bardzo się dziś u nas w różnych organizacjach młodzieży szerzący władczy do Polski stosunek.

Powszechnie, a szczególnie na kresach wschodnich, narzeka się dziś u nas na zamieranie prac obywatelskich. I zwała się za to winę na władze państwowe, krępujące nadmiernie wszelką inicjatywę społeczną. Ale mimo, że władze niemniej przecie od polskich krępują swą kontrolą i kulturalne prace ukraińskie – te ostatnie rozwijają się dziś o wiele silniej od polskich. Czemu? Bo wśród rusinów jest naprawdę służebny do swego narodu stosunek – a u nas władczy... Przeciętny akademik polski już na 2-im roku Uniwersytetu wie doskonale, co

będzie robił, gdy „młodzi Obozu Narodowego zdobędą w Polsce władzę“, jest myślowo zupełnie dojrzały do rządzenia państwem czy województwem, a już conajmniej powiatem. Ale nie wie zupełnie, co miałby dla ziszczenia swego programu robić na stanowisku np. koncypienta adwokackiego w Peczeniżynie, czy adjunkta sądowego w Bursztynie. I dlatego tyle widzi się mieczników wśród słuchaczy 2-go roku – a mało wśród 4-to rocznych; magistrów zaś i inżynierów wszechpolskich nie ma prawie wcale. To nieprawda – że wyrzekli się oni swych przekonań dla kawałka chleba. Ale nie wiedzą, co poza walką o władzę, dla Polski czynić. Łatwo było walczyć tłumnie o władzę w „Bratniaku”. Walka jednak o władzę nad miastem, czy choćby swym urzędem, aplikanta sądowego zbyt jest trudną.

Z tym władczym do Polski stosunkiem łączy się też powszechna chętka budowania potęgi Polski jedynie od góry, nakazami i zakazami.

A nie ma zupełnie tych, co by ją budowali od dołu. Przed wojną był ksiądz Tyczyński w Albigowej. I zrobił z niej wieś zamożna, moralna, światła. Żyje jeszcze przedwojenny również działacz ks. Bliziński, który również zamożna i uczciwa wieś stworzył w Liskowie.

Tysiące takich wsi w Polsce – a znikłaby niemal zupełnie bieda i ciemnota, dławiąca lud polski.

Ale nie znalazł się po wojnie ani jeden człowiek większej miary, któryby celem swego życia chciał uczynić jedną jakąś wieś, czy jedno miasteczko.

Bo wszyscy chcemy rządzić – a nikt służyć. Ktokolwiek czuje w sobie nieco więcej sił – pnie się ku górze, pcha się do centrum władzy państwowej.

Nie zbuduje się jednak państwa chrześcijańskiego od góry jeno. Bo fundamentem jego jest sumienie jednostek, jest dobry członek rodziny, sumienny pracownik w swym zawodzie, uczynny sąsiad, sprawiedliwy pracodawca, rzetelny kupiec, ofiarny obywatel swej gminy i kochający szczerze Ojczyznę patriota. A cnot w jednostkach nie kształci się stając od nich zdala, jeno pracując razem z nimi dzień po dniu.

Dążenie do państwa chrześcijańskiego – to walka o nowy stosunek do Polski, stosunek służebny a nie władczy – to propaganda ideologii budowy lepszej Polski od dołu, nowych wśród młodzieży ambicij zdobywania przodujących w postępie naszej cywilizacji pozycji dla swych wsi, miast i miasteczek.

Ale cała ta propaganda lepszej, naprawdę chrześcijańskiej Polski będzie salonową czy kawiarnianą jeno gadaniną – jeśli nie da się ogółowi społeczeństwa tego choćby minimum dobrobytu, jaki jest konieczny, by człowiek z braku chleba nie kradł, ze strachu o jutrzejszy zarobek nie kłamał, z obawy przed utratą posady nie denuncjował...

Pisze się u nas często, i słusznie, że nie ma dobrej ekonomii bez dobrej polityki. Ale i na odwrót, nie ma dobrej polityki bez dobrej ekonomii.

Walka o państwo chrześcijańskie łączy się bezpośrednio z walką o chleb dla wszystkich, którzy tylko chcą pracować.

II.

GDZIE JESTEŚMY?

Pierwszym warunkiem poprawy istniejących niedomagań, jest dokładne ich poznanie i zrozumienie.

Więc spojrzyjmy odważnie prawdzie w oczy.

W 1928 r. rozwieszono we wszystkich urzędach, bankach, szkołach, jako najwyższe wskazanie dla Polski, powiedzenie marszałka Piłsudskiego, że o przyszłości narodów zdecyduje miejsce, jakie zajmą one w wyścigu pracy.

A po dziewięciu od wezwania tego latach znaleźliśmy się na ostatnim w tym wyścigu miejscu. Prześcignęły nas nawet Bułgaria, Litwa, Jugosławia, Rumunia, nad którymi jeszcze w 1925 r. górowaliśmy pod niejednym względem.

Tak to jeszcze niedawno ze strony obozu rządzącego zapewniano nas, że w Polsce, jeśli nawet coś niecoś szwankuje, to w każdym razie znosimy kryzys światowy o wiele lepiej od całego demoliberalnego Zachodu. I do wtóru oficjalnym optymistom publicystyka Obozu Wielkiej Polski biadała nad skazaną na zagładę wskutek nadmiernej industrializacji i mechanizacji, zmateralizowaną Europą i Ameryką, – zapewniając równocześnie,

że dzięki naszej bardziej od innych „naturalnej“ strukturze społeczno-gospodarczej mamy zapewnioną sobie doskonałą przyszłość. Szczególnie Anglię i Stany Zjednoczone skazywali przy tym genialni nasi dyletanci na nieuchronną zagładę.

W listopadzie ubiegłego roku jeden z głównych współtwórców naszej polityki gospodarczej lat ostatnich p. wiceminister Lechnicki w tygodniku „Naród i Państwo“ przytoczył kolumny cyfr, udowadniających, że mamy najmniejszy z całej Europy obrót handlu zagranicznego na głowę ludności, najniższy wskaźnik produkcji przemysłowej, najniższy dochód netto z hektara, najniższy udój krowy...

Handel zagraniczny w złotych pol. na głowę ludności w 1935 r. wynosił w Danii – 780, Austrii – 307, Czechosłowacji – 205, Estonii – 189, Węgrzech – 148, Litwie – 100, Rumunii – 68, Bułgarii – 66, Polsce – 53 zł.

Wskaźnik produkcji przemysłowej w 1935 r., przyjmując stan z 1929 r. równy 100:

w Rumunii – 120, Węgrzech – 110, Estonii – 106, Finlandii – 125, Anglii – 112, Łotwie – 110, w Polsce – 66.

Zatrudnienie w przemyśle w porównaniu do 1929 r. (równa się 100): w Anglii – 101, Szwecji – 126, Litwie – 138, Estonii – 108, Czechosłowacji – 76, w Polsce – 66.

Dochód netto gospodarstw włościańskich w 1935 r.

w porównaniu z 1929 r. (równy 100): w Estonii – 93, w Łotwie – 80, Finlandii – 94, w Polsce – 16.

Wywóz mleka (kgr. masła = 25 litr. mleka) na krowę w litrach: w 1934 r.: w Danii – 2180, Holandii – 643, Estonii – 622, Łotwie – 486, Polsce – 17.

Przeciętna mleczność na krowę: w Finlandii – 2705, w Łotwie 1843, w Polsce – 1234.

Wskaźnik zużycia nawozów sztucznych azotowych w 1934 r., przyjmując 1929 r. = 100: w Estonii 183, Łotwie – 142, Finlandii 112, w Polsce – 38.

Ostatnie cztery szeregi liczb, stwierdzające, że od 1929 roku czysty dochód naszych gospodarstw włościańskich zmalał o 84%, gdy w równie jak Polska rolniczych, ale o wiele gorsze posiadających warunki klimatyczne krajach, spadł o 20% (Łotwa) do 7% (Estonia), że nasz eksport nabiału w stosunku do ilości krów jest 20 razy mniejszy niż na Litwie, a mleczność naszych krów dwa razy mniejsza niż w Finlandii, że zużycie nawozów sztucznych zmalało u nas od 1929 po 1934 o 62%, gdy na Łotwie wzrosło o 42% a w Estonii o 83%, – muszą każdemu patriocie polskiemu spędzać sen z oczu.

Prawie 70% naszego narodu żyje z gospodarstw chłopskich. I te dwie trzecie polaków mają dziś 16% swego dochodu netto z 1929 roku.

Oto nasz rekord w międzynarodowym wyścigu pracy.

Deklamujemy przy każdej okazji i na wszelkie tony o Wielkiej Mocarstwowej Polsce, a jesteśmy bardziej

behradni gospodarczo od Litwy, Łotwy, Estonii, Rumunii, Jugosławii, Bułgarii.

Żaden naród w Europie nie spadł w latach kryzysu tak nisko pod względem dobrobytu, przedsiębiorczości i intensywności produkcji najliczniejszej, najbardziej podstawowej swej warstwy chłopskiej – jak właśnie Polska. A na niedołęstwie gospodarczym nikt nigdy jeszcze nie zbudował mocarstwowej siły.

I nie możemy już spędzać – jak to przez tyle lat się robiło – winy za nasze upośledzenie ekonomiczne na kryzys światowy. Kryzys światowy już od 2 lat minął w olbrzymiej większości i Europy i Ameryki. By przekonać się o tem. dość zajrzeć do Małego Rocznika Statystycznego. W Anglii produkcja przemysłowa w 1936 r. była o 23% większa niż w 1928 r. A że ludność jej w tym samym czasie wzrosła o niecałe 3%, zatem ogólnym dobrobyt jest tam o kilkanaście procent większy niż przed kryzysem. Więc z kolei tłumaczy się dłuższy i gorszy u nas niż na Zachodzie zastój, jednostronnie rolniczym charakterem naszego społeczno-gospodarczego ustroju.

Cyfry, podane przez p. Lechnickiego, stwierdzają jednak, że i równie słabo jak Polska uprzemysłowione kraje wschodniej Europy pozostawiły nas znacznie za sobą w wyścigu pracy ostatnich 6 lat.

Więc w naszej polityce ekonomicznej czasu kryzysu tkwił zasadniczy błąd. Gdy wszyscy inni naokoło nas starali się kryzys przezwyciężyć – myśmy się doń jeno do-

pasowywali, biernie wyczekując zmiany światowej koniunktury na lepsze.

A tę naszą bierność opieraliśmy na złudzeniu, że nadal trwa przedwojenny automatyzm życia gospodarczego, i że po okresie depresji musi przyjść samorzutnie bez żadnego na to wpływu państw okres zwykłowy.

Istotnie tak uczyła większość podręczników ekonomii z końca 19-go i początku 20-go wieku.

Ale w czasie kryzysu od obu tych prawd odstąpiła polityka ekonomiczna Anglii, Stanów Zjednoczonych, i Niemiec, tj. państw, których nauka ekonomiczna osiągnęła była najwyższy swój rozkwit.

Bo nie ma w życiu społeczno-gospodarczym wечно trwałych niezmiennych praw. Ale też wobec tego nie ma wечно prawdziwych systemów ekonomicznych.

Nie znaczy to, by to, co było wczoraj prawdą, dziś już nią nie było. Ale wczorajsze prawdy są już dziś nie wystarczające.

III.

POTRZEBA NOWEJ EKONOMII.

Twierdzenie, stale przez 150 lat powtarzane we wszystkich podręcznikach ekonomii, że przy wolnej wymianie wraz ze zniżką żądanych za dobro cen rośnie jego zapotrzebowanie, pozostaje prawdziwem. Jeno prawda ta nie daje nam żadnych wskazań, jak zwiększyć nasz eksport, którego rozmiary są dziś z góry określone wyrównawczymi umowami kontyngentowymi. Co gorzej, działanie tego prawa może być całkowicie sparaliżowane i na rynku wewnętrznym np. przez obawę znacznej części konsumentów, że przychody ich będą wkrótce obniżone, albo nadzieją, że zasadniczą tendencją polityki państwowej będzie systematyczne, coraz głębsze spychanie cen w dół, że więc tem lepiej się kupi – im kupi się później.

Jeden z najoryginalniejszych teoretyków ekonomii niemieckiej po wojnie Spann przeciwstawia swój system „uniwersalny“, jako „naukę żywą” – „martwej nauce” wszelkich systemów indywidualistycznych.

Wiele poglądów Spanna jest zbyt jednostronnych. Spann poza całością społeczną nie widzi jednostek ludzkich. I ludzi się on, że wynalazł „jedynie prawdziwy system ekonomii“. Życie społeczeństw się zmienia i wraz

z tym zmieniać się muszą systemy nie tylko polityki, lecz i teorii ekonomicznej.

Ale ma Spann rację, zwąc indywidualistyczną ekonomię „martwą”, a swoją „uniwersalną” – żywą.

Bo wskazaniem pierwszej kierował się w swej polityce społeczno-gospodarczej Brüning. Na autorytecie Schumpetra, Misesa, Liefmana opierał on swą wiarę w automatyczny przebieg „cyklu koniunkturalnego”, do którego należy się tylko jak najściślej przystosować (dekrety Hindenburga, obniżające ceny i płace robotnicze). A w wyniku tego dostosowywania życia ekonomicznego Niemiec do światowej depresji rosła nieustannie liczba bezrobotnych, aż doszła do 6 milionów. Na autorytecie zaś naukowym Spanna oparł narodowy socjalizm niemiecki swój program „tworzenia zatrudnień” (Arbeitsbeschaffung) i w ciągu niecałych 2 lat stworzył istotnie nowe zatrudnienia dla 4 milionów ludzi.

W każdej epoce historycznej inna ekonomia jest żywą. We wiekach średnich żywą nawskroś – bo doskonałą całe życie społeczno-gospodarcze była ekonomia św. Tomasza. W XVIII. wieku kraje, w których jak w Polsce – powtarzano nadal za kanonistami, że rolnik Bogu jest miły, rzemieślnik obojętny, a kupiec niemiły – biedniały, natomiast stosujący u siebie politykę merkantylną: Anglia, Francja i Holandia zdobyły pierwsze w postępie ekonomicznym ludzkości miejsca. A w XIX stuleciu dzięki ekonomii liberalnej znikło w całej środkowej i wschodniej Europie poddaństwo wraz z pańszczyzną;

w krajach rolniczych rozwijał się przemysł wskutek przyływu kapitału z państw o wyższym rozwoju kapitalistycznym, płace robocze podniosły się kilkakrotnie i rósł powszechnie dobrobyt zarówno w narodach przemysłowych jak rolniczych, wierzycielskich jak dłużniczych, – dźwignią jego zaś była światowa wszystkich państw i narodów gospodarcza współpraca. Więc w przededniu wojny światowej martwą była i ekonomia kanonistów i ekonomia merkantylistów – żywą zaś była ekonomia liberalna, choć już nie tak bezwzględnie indywidualistyczna jak w początkach ubiegłego wieku, bo uznająca konieczność i umiarkowanej ochrony celnej i ubezpieczeń społecznych i związków zawodowych robotniczych i planowej gospodarki karteli.

Wojna światowa zniszczyła jednak na bardzo długo międzynarodową współpracę gospodarczą. Można nad tem biadać. Można nawet dowodzić, że nigdy nikt nie wymyślił lepszego od liberalnego systemu ekonomii – ale faktem jest, że okres wolnej międzynarodowej wymiany dóbr, kapitałów i prac się skończył i że za życia dorastającego dziś pokolenia nie wróci on.

I skończył się zarazem okres indywidualnej przedsiębiorczości.

Już przed wojną światową w Stanach Zjednoczonych i w Anglii większość fabryk przestała być własnością jednostek, przybrała formę akcyjną i została uzależniona od karteli i finansujących je koncernów bankowych. Po wojnie wzmogło się jeszcze wielokrotnie to podporządk-

kowanie przemysłu spekulacyjnemu kapitałowi giełdowemu w całej Europie, Ameryce południowej, Kanadzie i Australii.

Życie społeczno-gospodarcze, rozwój poszczególnych gałęzi produkcji, kształtowanie się cen, obrót pieniężny i kredytowy – przestało to wszystko być wynikiem indywidualno-gospodarczych rachub setek tysięcy fabrykantów, rolników, kupców, właścicieli zaoszczędzonych kapitałów. Przestały płynąć kredyty pieniężne do tych przedsiębiorstw, które mają najlepsze warunki powodzenia, dają najlepsze zabezpieczenie wierzycielom i mogą najrentowniej nowe wkłady pieniężne zużytkować. Pieniądz i kredyt szedł po wojnie tylko tam, gdzie go skierowywała spekulacja koncernów i holdingów, najczęściej zgołą z realnymi potrzebami społeczeństw nie licząca się.

Nic też dziwnego, że gdy przy tem spekulacja ta okazała się bardzo krótkowzroczną, bo jak słusznie stwierdza Lescure, kryzys światowy został spowodowany przez niebywałe błędy naczelnego sztabu światowej finansjery, – odbiera sztabom tym kierownictwo prezydent Roosevelt w Ameryce, a Hitler w Niemczech. Po planowej gospodarce karteli i holdingów – przychodzi tam planowa gospodarka państw.

Zmieniły się też z gruntu stosunki pieniężne w całym świecie. Większość państw odrywa swą walutę od złota, rozmyślnie kurs swych walut obniża lub reguluje ceny przez manipulowanie wartością pieniądza.

A przy tym zanika coraz powszechniej wiara w „nie-

uchronne konieczności naturalnego rozwoju społeczno-gospodarczego“.

Pod koniec wojny bolszewicy przerwali w Rosji gwałtownie ten „naturalny rozwój“ i okazało się, że wola ludzka może wedle z góry podjętego planu zmieniać i kształtować całokształt ustroju społecznego.

A następnie przyszło „eksperymentowanie“ faszystowskie, hitlerowskie, rooseveltowskie, i wiele innych mniejszych...

Zmieniło się gruntownie życie i współżycie gospodarcze w całym świecie. A nie jest to już koniec tych zmian. Każdy rok przynosi nowe jakieś w tym czy innym państwie eksperymenty.

A u nas? – przez cały czas światowego kryzysu, wierzyliśmy, że „cykl koniunkturalny samorzutnie wyprowadzi nas z obecnego zastoju“.

I niezwykle wytrwale zamykaliśmy oczy na nowe zagadnienia, jakie przed Polską postawiły te wszystkie przemiany społeczno-gospodarczego życia ludzkości.

Jest tych nowych zagadnień cały kompleks ściśle z sobą związanych.

Najważniejsze z nich jednak, nad wszystkimi innymi swym życiowem znaczeniem górujące jest zagadnienie: jak zapewnić własnymi naszymi siłami – całemu naszemu przyrostowi ludności zatrudnienie i przyzwoity dochód. Bo od 50 lat nigdy nie wyżywialiśmy sami całej naszej ludności. Przed wojną obcy przedsiębiorcy zakładali nam za pomocą sprowadzanych z zagranicy kapitałów fabry-

ki i kopalnie, w których pracowało około milion robotników. A prócz tego rok rocznie wyjeżdżało po zarobki do Ameryki, Niemiec, Danii, Francji około 500.000 ludzi. Po wojnie ustał przypływ inwestycyjnych z zachodu kapitałów. Ale do 1929 r. otrzymywaliśmy jeszcze zagraniczne kredyty pieniężne. Również zaraz po wojnie Stany Zjednoczone i Niemcy zamknęły swe granice dla naszej emigracji zarobkowej. Jednak do 1931 r. wyjeżdżało co roku do Francji około 200.000 ludzi. Obecnie i to ustało.

Cały nasz przyrost ludności pozostawał przez ostatnie 4 lat w kraju. I pomimo pewnego obecnie ożywienia ruchu emigracyjnego, jeżeli nie zdołamy własnymi siłami stworzyć w Polsce koniecznych dla należytego wyżywienia młodych pokoleń zatrudnień – w takim razie co roku przybywać nam będzie paręset tysięcy bezrobotnych.

Ale nad tym zagadnieniem nasi obrońcy liberalnej ekonomii nie próbowali nawet się zastanawiać. Co najwyżej dyskutują oni o „poprawie koniunktury” i powrocie do tego, co było w 1928 r. A że i w 1928 r. nie mogliśmy wyżywić całego naszego przyrostu ludności i że 200.000 ludzi musiało szukać zarobku we Francji, – to mniejsza. Bo przecie był to „szczytowy punkt cyklu koniunkturalnego”.

A tak uporczywie odwracali i odwracają wzrok wszyscy nasi klasyczni deflacyjniści od tego najważniejszego zagadnienia naszej przyszłości ekonomicznej: jak własny-

mi siłami stworzyć produkcyjne zatrudnienia dla całego naszego przyrostu ludności – ponieważ stara indywidualistyczna ekonomia odpowiedzi na to pytanie nie jest w stanie.

Ale życie domaga się gwałtownie konkretnej na nie odpowiedzi i to jak najszybciej.



IV.

ISTOTNE ZADANIA I FAŁSZYWE ZŁUDZENIA.

Przed naszą polityką ekonomiczną stało do wypełnienia zadanie nowe, nad którego rozwiązaniem nigdy dotychczas nie musieliśmy się głowić: zapewnienia nowych co roku zarobków dla całego naszego, niemałego, dzięki Bogu, przyrostu ludności. A że nasz naturalny przyrost ludności wynosi 400 do 500 tysięcy, przeszło zaś połowa naszej ludności musi zarobkować – zatem co roku trzeba nowych zarobków dla conajmniej 250.000 dorastającej młodzieży. Lecz poza tym mamy już obecnie do półtora miliona bezrobotnych. By zlikwidować to bezrobocie choćby tylko w ciągu 6 lat – trzeba poza nowymi zatrudnieniami dla 250.000 młodzieży stwarzać nowe również zarobki dla niemniejszej liczby starszej, nie mającej pracy ludności. Zatem najpilniejszą, najważniejszą naszej przyszłości sprawą jest stwarzanie co roku nowych zatrudnień dla conajmniej 500.000 ludzi.

Jest to naprawdę nie tylko zupełnie nowe, ale i olbrzymie zadanie.

Toć myśmy po wojnie nigdy nie doszli nawet do naszej przedwojennej produkcji przemysłowej. A cały świat

od 1919 po 1929 r. podniósł był swą produkcję i surowców i przetworów znacznie ponad przyrost ludności. Gdy ustał przedwojenny do nas przyływ zagranicznych kapitałów inwestycyjnych i zagranicznej przedsiębiorczości – nie byliśmy w stanie nawet w okresie zwykłej w całym świecie koniunktury i wolnej jeszcze stosunkowo międzynarodowej wymiany towarowej dać tyle samo zatrudnień naszej ludności, wiele miała ona w 1913 r. Gdy zaś zmniejszyła się po wojnie emigracja zarobkowa – zatem przypadająca u nas na głowę ludności suma realnego, wyrażonego nie w pieniądzach, ale w ilości produkowanych i konsumowanych dóbr, dochodu stała po wojnie maleje.

Wprawdzie od 1919 r. po 1928 r. w miarę odbudowywania zniszczonego przez wojnę naszego przemysłu, zwiększała się też ilość robotników przemysłowych. Ale nie doszła ona po wojnie do liczby przedwojennej i, co najważniejsze, przyrost zatrudnień przemysłowych nie wchłonął w siebie nigdy po wojnie ani połowy przyrostu młodego potrzebującego pracy pokolenia.

Rosło więc u nas nieustannie od końca wojny przeludnienie wsi, którego nawet w pełni nie usuwała zmniejszona po wojnie emigracja zarobkowa, i wraz z tym obniżała się też stale skala życiowa ludności wiejskiej.

Dziś ze wszystkich położonych na północ od Alp krajów, Polska ma najmniej ziemi na jedną z rolnictwa żyjącą osobę. A gdy przy tym pod względem wydajności z hektara zajmujemy jedno z ostatnich miejsc w Eu-

ropie – więc najbiedniejszą w niej bodaj, poza hiszpańską i południowo-włoską ludnością wiejską – jest ogół naszego polskiego włościanstwa.

Lata kryzysowe 1929 po 1935 r. przyspieszyły znacznie i zaostrzyły ten proces biednienia naszej wsi, a wraz z nią i całego społeczeństwa. W ciągu ostatnich 6 lat cofnęliśmy się pod względem przeciętnego dochodu i skali życiowej naszych rodzin włościańskich o lat prawie 50, do poziomu z 80-tych lat ubiegłego stulecia. z tych czasów, w których dopiero zaczynała się emigracja zarobkowa i Stanisław Szczepanowski pisał swą „Nędzę Galicji“. Że nie jest to frazes literacki, ale najrzeczywistsza niestety rzeczywistość – świadczy o tym z tragiczną wręcz wyrazistością fakt, że gdy między 1896 a 1900 r. na ziemiach obecnej Polski roczny przyrost naturalny wynosił przeciętnie 464.000 (18,5 na tysiąc), w 1934 r. zmalał on do 402.000 (12,1, na tysiąc).

Lecz nie kryzys dopiero cofnął nas z drogi gospodarczego postępu. Naprawdę Polska biedniała stale od 1920 r. Bo przyrost majątku i dochodu społecznego (łącznie nawet z zarobkami emigracyjnymi) był po wojnie stale mniejszy od przyrostu ludności. Jenó na to nikt nie zwracał uwagi. Cieszyliśmy się, że przecież powoli „odbudowujemy się“, że zbliżamy się do przedwojennej produkcji węgla, surowca żelaza, stali, cynku, ołowiu, że rudy żelaznej wyprodukowaliśmy 1928 r. więcej nawet, niż w 1913 r. Ale, że tej produkcji na głowę ludności jest jednak coraz mniej – na to się dziwnie jakoś nie zwraca-

cało uwagi. Bo nasz przyrost ludności jakoś znajdował jeszcze kawałek chleba jak nie w kraju, to zagranicą.

I nie tylko wówczas – również i dziś mało kto u nas jeszcze zdaje sobie z tego należycie sprawę, że przez całych 15 lat, jakie upłynęły od końca wojny, nie idziemy w górę, lecz ciągle w dół po drodze nieustannego kurczenia się przypadającej na głowę ludności produkcji i konsumpcji. Z początku droga ta zniżala się powoli. Chwilami zdawało się, że wyprostowuje się ona (w 1926) a nawet jakgdyby zaczynała się nieco podnosić (w 1928). Ale to były tylko częściowe odchylenia od zasadniczego kierunku – w dół, do coraz mniejszego na głowę ludności realnego dochodu.

Bo stale tempo przyrostu naszego dochodu i majątku społecznego było po wojnie słabsze od tempa przyrostu ludności.

Jeśli mamy być mocarstwem i nienajlichszym narodem – to czas ostatni zacząć iść w górę. Na pogłębiającej się biedzie – Wielkiej Polski największy nawet geniusz nie zbuduje.

Trzeba zdecydowanie zawrócić z drogi, którą idziemy od lat 15-tu. Trzeba bez żadnej obcej pomocy stworzyć równe przyrostowi naszej ludności tempo przyrostu dochodu społecznego, czegośmy nie umieli uzyskać w latach naszej najlepszej nawet konjunktury. Trzeba z gruntu zmienić całą naszą powojenną gospodarczą ewolucję.

Takie jest istotne zadanie, które pod grozą katastrofy

musi rozwiązać w najbliższym już czasie nasza polityka ekonomiczna.

Niestety jednak olbrzymia większość naszych ekonomistów i o sprawach ekonomicznych piszących publicystów wciąż się ludzi, że to tylko jakiś mały kamyczek wpadł do mechanizmu automatycznie z gry indywidualnych interesów ekonomicznych tworzącej się „równowagi” i byle go usunąć, wszystko będzie dobrze. A są i tacy – którzy wierzą nawet, że byle się „nie męczyć deflacją”, byle wytrwale nadal czekać i „niczego nie naręcać”, to ten jakiś fatalny kamyczek sam wyskoczy, albo się między trybami i kółkami automatyzmu ekonomicznego zetrze na nieszkodliwy pyłek.

Jedni uważają za taki kamyczek nadmierne ciężary publiczne, drudzy – nadmierny wogóle interwencjonizm państwowy, trzeci nadmierne ceny kartelowe, a czwarcy zbyt wysokie wogóle w porównaniu do rolniczych ceny przemysłowe.

Rzeczywiście mamy od szeregu lat za wielkie w stosunku do siły płatniczej społeczeństwa budżety państwowe. Doświadczenie ubiegłego 15-lecia stwierdza, że wtedy tylko przychody skarbowe wpływają u nas normalnie w prelimitowanych kwotach, bez nadmiernego przykręcania śruby podtakowej, gdy budżet państwowy nie przekracza sumy obrotu pieniężnego, tj. gdy każda w kraju będąca złotówka nie znajduje się w skarbie państwa częściej, jak raz na rok. – Obecny nasz obieg pieniężny wynosi około 1300 milionów złotych. Stać więc nas dziś na-

prawdę maksymalnie na półtora-miliardowy budżet wydatków państwowych. I mimo woli nasuwa się pytanie: jeśli w 1925-1926 mógł ówczesny rząd koalicyjny gospodarzyć budżetem, wynoszącym 1700 milionów – to czy obecnie, gdy ceny są o 35 procent niższe, nie wystarczyłoby dla zapewnienia normalnego funkcjonowania państwa 1500 milionów. Niestety w ciągu ostatnich 10 lat rozrósł się bardzo silnie nasz aparat administracyjny. I przybyło nam bardzo wielu emerytów. Pochwalać tego nie można. Trzeba stopniowo likwidować przerosty na zbyt dziś u nas policyjnego państwa i zmniejszyć ilość ludzi zatrudnionych tylko kontrolowaniem, opisywaniem, podejrzewaniem, egzekwowaniem przeciętnego obywatela. Ale gdybyśmy chcieli jednym uczynić to zamachem – stworzylibyśmy jeno dziesiątki tysięcy nowych bezrobotnych. Dwukrotnie byłem w gabinetach, które gwałtownie redukowały budżety państwowe. Trochę się więc na tym interesie znam. I stwierdzam – możnaby jeszcze, obcinając różne zbędne wydatki na reprezentację, subwencjonowanie swoich tzw. wychowanie państwowe, zmniejszyć obecny budżet o jakich 100 milionów. Ale, by go do poziomu rzeczywistej naszej dziś siły płatniczej obniżyć – na to trzeba albo zmniejszyć znacznie wydatki na armię, albo znów obciąć uposażenia o przynajmniej 20 procent, albo przeprowadzić masowe redukcje pracowników państwowych. Czy nie byłyby to lekarstwa pogarszające jeszcze chorobę?

Jest to fatalne złudzenie, że można w czasie rosnące-

go z roku na rok bezrobocia i malejących przychodów przedsiębiorstw osiągnąć równowagę między gospodarką państwową a siłą płaćniczą społeczeństwa przez redukcję liczby czy też uposażeń funkcjonariuszów państwowych.

Równowaga w ten sposób osiągnana ucieknie do pół roku. Ustalić ją naprawdę można tylko przez podniesienie dochodu społecznego, równaniem w górę – a nie w dół .

Brzmi to paradoksalnie – a jednak tak jest naprawdę. By usunąć przytłaczającą życie gospodarcze nadmierną ilość urzędników – trzeba nasamprzód stworzyć odpowiednią ilość nowych, nie urzędniczych zatrudnień dla pracowników umysłowych – trzeba ożywić życie gospodarcze.

Kamyczek nadmiernych budżetów ugrzązł zbyt głęboko w całokształcie naszego życia społeczno-gospodarczego i nie da się go usunąć – bez przebudowy tego całokształtu.

Niemniejszym złudzeniem jest wyobrażanie sobie – że byle usunąć obecne policyjne metody rządzenia i zmniejszyć ilość przedsiębiorstw państwowych – to samorzutna inicjatywa prywatna przewycięży u nas rosnące bezrobocie.

Ale przecież były lata (od 1924 po 1928), w których nie tylko nie krępowano, lecz aż nazbyt ochoczo wspomagano indywidualną u nas przedsiębiorczość.

Jednak i wtedy mieliśmy ciągle wolniejszy od przyrostu ludności przyrost dochodów i zatrudnień. I tylko e-

migracja zarobkowa łagodziła rosnące przeludnienie wsi.

Nie ma więc żadnej dobrej racji przypuszczać, by samo rozwiązanie rąk prywatnej inicjatywie gospodarczej dało nam wystarczające dla usunięcia rosnącego bezrobocia tempo przyrostu majątku i dochodu społecznego.

Logicznie liczyć na to może tylko ten, kto jeszcze się ludzi, że lada dzień wróci przedwojenna międzynarodowa współpraca ekonomiczna. Są jednak gorsze jeszcze złudzenia.

* *

Najpilniejszą potrzebą naszej cywilizacyjnej i mocarstwowej przyszłości jest stwarzanie co roku nowych zatrudnień dla 500.000 ludzi. A że mamy już najbardziej ze wszystkich krajów europejskich, na północ od Alp leżących, przeludnioną wieś – więc, – o daniu tych nowych zatrudnień w rolnictwie nie może być serjo mowy.

Nawet gdybyśmy – co choć trudne, ale nie jest niemożliwe – podnieśli wydajność z hektara w ciągu najbliższych 6 lat o 20 procent (Czesi mają większą o 50 procent) – to ledwo starczyłoby tej produkcji, by istniejącej już dziś ludności wiejskiej przywrócić dobrobyt równy temu, jaki miała ona w ostatnich przed wojną latach. Ale nie starczyłoby jej na jako tako możliwe poza tem wyżywienie 3 milionów nowego w tym czasie przyrostu rolniczej naszej warstwy.

Nie ludźmy się. Z 19 ledwo procentami ludności prze-

mysłowej, z najmniejszym w całej Europie poza Bułgarią i Litwą przemysłem, – nie będziemy nie tylko wielkim państwem, lecz i wielkim, choćby liczebnie narodem. Nasz przyrost ludności spadł już z 18,5 na 12 na tysiąc. I będzie niewątpliwie jeszcze bardziej się kurczył – jeśli nie stworzymy w najbliższym już czasie poza rolnictwem dostatecznej liczby zatrudnień dla narastającego z roku na rok młodego pokolenia nie tylko miejskiego, lecz i wiejskiego.

Ażeby to się stało – musi pójść postęp naszej produkcji przemysłowej w zawrotnym tempie naprzód.

Bo najwyższa ilość osób zatrudnionych po wojnie w naszym górnictwie, hutnictwie oraz wielkim i średnim przemyśle przetwórczym wynosiła (w 1928 r.) 840.000. Nie mamy dokładnej liczby rzemieślników i chałupników. W żadnym razie jednak cała nasza ówczesna ludność przemysłowa nie była większa nad 1,700.000 (w 1931 r. wynosił on 1,674.000). Dziś jest ona mniejsza o jakie 400.000. Przyjmijmy jednak za normę stan zatrudnienia nie obecny, ale z 1928 r.; – pomimo to, stawiając postulat zatrudnienia w przemyśle znacznej większości naszego przyrostu ludności nie tylko wiejskiej lecz i miejskiej, domagamy się wzrostu zatrudnień przemysłowych co roku o przynajmniej 10 procent, a w pierwszych latach nawet o 20 procent.

Tymczasem w czasie najbardziej radosnej u nas twórczości od kwietnia 1928 po kwiecień 1929 r. ilość osób

zatrudnionych w górnictwie i przemyśle fabrycznym wzrosła była o 2,5 procent.

Jakże ludzą się więc ci wszyscy, którzy tak niby uczenie dowodzą, że cały problemat rozumnej, zgodnej z prawdziwą nauką polityki gospodarczej – to przywrócić zniszczoną przez nadmierne ciężary publiczne i zbyt interwencjonalizm państwowy – rentowność przedsiębiorstw.

O ile jakiś, stojący poza przedsiębiorstwami tymi, czynnik nie stworzy szczególnie silnego wzrostu zapotrzebowania na ich wytwory, – same przez się nie potrafią one powiększyć liczby swych robotników ponad maksymalnie 2 – 3 procent rocznie.

Niemniejszym też złudzeniem jest wyobrażanie sobie, że cała dzisiejsza nasza bieda powstała z braku równowagi cen rolniczych i przemysłowych, czy też cen półfabrykatów i gotowych przetworów.

O jakąż to bowiem równowagę chodzi? Naprawdę nie mieliśmy od pół wieku ani jednego 10-lecia, w którymby się utrzymywał bez zmiany ten sam stosunek cen różnych towarów i składników produkcji, łącznie z płacami roboczymi i cenami ziemi. Czyż więc równowagą będzie stan cen z 1928 r. tj. z roku maksymalnego ich poziomu, czy z 1924 r. z roku wprowadzenia waluty złotej, czy z 1913, z roku poprzedzającego wojnę, czy z 1895 z chwili najniższego poziomu cen w ostatnim półwieczu? Naprawdę, nie ma żadnych racjonalnych argu-

mentów, któreby nakazywały dać którejkolwiek z tych dat pierwszeństwo przed innymi.

Pojęcie „równowagi” i to właściwie nie tyle równowagi cen poszczególnych dóbr – co równowagi zaofiarowania i zapotrzebowania wprowadził do nauki ekonomicznej Pareto, twórca statycznej szkoły matematycznej. Ale sam on mówi o niej jako o wyłącznie abstrakcyjnym pojęciu. Ba, i cały swój system naukowy konstruuje on – jako ściśle teoretyczną naukę, mającą ująć w matematyczne formuły kształtowanie się zaofiarowania, zapotrzebowania, cen i dochodów – ale nie pretendującą nawet do rozstrzygania pytania, jaki ustroj społeczny jest lepszy: komunistyczny, czy oparty na prywatnej przedsiębiorczości. Gdyż – według własnych słów Pareta – to już przekracza jej zakres poznania. Dziś, w okresie światowego przez większość narodów budowania i przebudowania swoich ustrojów społecznych – tego rodzaju ekonomia jest naprawdę nauką martwą.

I nie ma też żadnego życiowego sensu owa tak często dziś przez naszych deflacionistów idealizowana „równowaga”. W ustroju kapitalistycznym nie było, nie ma i nie będzie żadnej trwałej równowagi. Jest tylko nieustanne do niej dążenie – bez możliwości jednak utrwalenia jej choćby na przeciąg kilku lat. Wskutek tego też właściwą podstawą skutecznej, osiągającej naprawdę zamierzane cele, polityki ekonomicznej, może być jedynie ekonomia, badająca dynamikę, a nie statykę życia i współżycia gospodarczego społeczeństw.

Jednym też z pośród licznych błędów ekonomii statycznej jest ciągle dziś w naszej publicystyce powtarzane twierdzenie, iż obojętnym jest, czy nadmiarna rozpiętość cen rolniczych i przemysłowych będzie usunięta przez zniżkę cen przemysłowych, czy przez wzrost cen rolniczych – byle został osiągnięty pewien określony ich wzajemny stosunek.

Tymczasem naprawdę ważniejszym nawet od ostatecznego wyniku równania cen, jest kierunek tego równania, czy odbywa on się w górę czy w dół.

W ciągu ostatnich 150 lat był tylko jeden okres od 1875 po 1895 r., w którym zniżkowej tendencji cen towarzyszył rozkwit przedsiębiorczości. Był to jednak okres olbrzymiego postępu techniki maszynowej i tanienia transportu a słabego jeszcze wzrostu płac roboczych – wskutek czego istotnie koszt produkcji gwałtownie malały, o wiele nawet bardziej od cen przetworów. Poza tym jednym 20-leciem stale zniżkowym tendencjom cen towarzyszyła depresja, a zwykłym ożywienie produkcji. Bo zniżkowa tendencja cen hamuje produkcję na zapas obawą, by nie trzeba było po pewnym czasie, gdy ceny bardziej jeszcze spadną, sprzedawać towaru poniżej kosztów produkcji. Jednocześnie skłania ona konsumentów do odkładania swych zakupów na jaknajpóźniej. Zniżka cen ułatwia rozszerzanie zbytu poszczególnym przedsiębiorstwom, gdy ogół konkurentów sprzedaje drożej. Ale powszechna zniżka cen – wstrzymuje i zapoźnienie i produkcję towarów. Więc czynnikiem po-

prawy konjunktury, przewyciężenia bezrobocia, może być tylko równanie cen w górę – a nie w dół. Że podobno żąda tego również Lewiatan – to mnie nie przeraża; bo tłumaczyłem to stale na swych wykładach na wiele jeszcze lat, zanim Lewiatan odważył się podawać w wątpliwość genialność naszej polityki deflacyjnej. Jednego zaś ze mną zdania są widocznie te wszystkie państwa – które przewyciężyły u siebie kryzys.

Pouczające jest następujące zestawienie cyfr:

wskaźnik w 1936 r., przyjmując stan r. 1928 – 100

	prod. przem.	cen hurtowych
Japonia	169	88
Anglia	123	80
Niemcy	108	74
Włochy	100	76
Francja	78	64
Polska	72	54

Im więc większe ożywienie osiągnął przemysł w danym kraju – tym jest tam też wyższy wskaźnik cen. Na całym świecie poprawie konjunktury towarzyszy zwykowany ruch cen. Ale u nas głosi się za naczelny postulat naszej polityki ekonomicznej trzymanie cen na jaknajniższym poziomie. Na pierwszym miejscu postawiono w krajach, które przewyciężyły kryzys, interes producenta, u nas konsumenta. To też nic dziwnego, że mamy najniższy w świecie wskaźnik produkcji przemysłowej.

Największym jednak złudzeniem i błędem naszej polityki ekonomicznej doby kryzysu było uporczywe trzymanie się tzw. klasycznej teorii monetarnej, datującej się jeszcze z połowy ubiegłego stulecia, a wedle której naczelnym motorem gospodarczego postępu jest kapitalizacja, oparta na gromadzeniu się oszczędności w instytucjach kredytowych; a niezbędnym warunkiem szybkiego wzrostu tych oszczędności jest trwałość kursu banknotów na równi złota, jedynym zaś skutecznym zabezpieczeniem kursu al pari banknotów jest niezmnieszanie ich kruszcowego pokrycia.

Więc, gdy po latach radosnej twórczości za drogie zagraniczne pożyczki przyszły lata stałego deficytu płatniczego – by utrzymać kurs naszych banknotów regulowaliśmy nasze niedobory w rozrachunkach międzynarodowych złotem. A w miarę jak się zmniejszały zasoby złota w Banku Polskim – by utrzymać dawne pokrycie kruszczowe banknotów, zmniejszało się ich emisję, a wraz z tym i udzielane przez bank ten kredyty. Jeszcze wcześniej jednak na regulację naszych zagranicznych zobowiązań płatniczych odpłynął cały zasób dolarów, wynoszący około miliarda złotych.

Więc z wierności dla Smitha, Ricarda, i Milla zmniejszyliśmy od 1929 po 1935 r. nasz obieg pieniężny do połowy z 2.600 milionów (wraz z dolarami) na 1.300 milionów.

V. DOŚWIADCZENIA KLASYCZNEJ I PLANO- WEJ GOSPODARKI ZAGRANICĄ

Osiągnęliśmy w ostatnich latach kilka europejskich rekordów. Mamy rekordowo małą ilość samochodów, rekordowo zaś wielki procent bezrobotnych wśród robotników przemysłowych... I wzięliśmy również rekord wierności klasycznej doktrynie deflacyjnej. Bo właśnie w krajach, które stworzyły ekonomię klasyczną i w których dotychczas niemal wszyscy wybitniejsi ekonomiści uważają się za jej kontynuatorów – obieg pieniężny nie zmniejszył się, lecz zwiększył. W Anglii wzrósł z 369 milj. funtów w 1929 r. na 467 milionów w 1936 r., we Francji z 68 miliardów franków w 1929 na 89 miliardów w 1936.

Również szereg innych jeszcze krajów dopuścił się zbrodni „inflacji“. W Niemczech zwiększono emisję banknotów z 3.560 milionów marek w 1932 r. na 4.980 milionów w 1936, w Belgii z 13 miliardów franków w 1929 na 20 miliardów w końcu ubiegłego roku, a dalej w tym samym czasie w Kanadzie z 338 milionów dolarów na 374 milionów, w Danii z 367 na 384 milionów koron, w Stanach Zjednoczonych z 4.578 milionów dolarów na 5.846 milionów, w Szwajcarii z 999 milionów franków na 1.323 milionów.

Chyba trudno zarzucać kierownikom polityki walutowej tych wszystkich krajów nieuctwo. A jednak zrozumieli oni wskazania nauki ekonomicznej wręcz odmiennie od pp. Matuszewskiego i Zawadzkiego.

I co niezwykle charakterystyczne, nawet państwa bloku złotego a przede wszystkim Francja, przez tyle lat broniąca zaciekle kursu franka na równi złota – nie uważały za potrzebne dla utrzymania go, zmniejszać swój obieg pieniężny. W tym samym czasie, gdy u nas spadł on o 45 procent, we Francji podniósł się o 22 procent.

Myśmy genialnie umieli upraszczać sobie zadania. Boć oczywiście nie ma prostszego i pewniejszego sposobu trzymania kursu banknotu, jak zmniejszanie jego emisyj, a co to kosztuje naród – niech kosztuje.

Gdzie indziej umiano podwyższyć obieg pieniężny ponad poziom 1928 r. nie obniżając kursu banknotów.

Ale u nas z wielką stanowczością się twierdzi, że każda próba przywrócenia obiegu pieniężnego z 1928 r. spowodzi dewaluację złotego.

Nie chcę rozstrzygać, czy jest to jeden z chwytów rozgrywki – czy też zaślepienie nazbyt pospieszenie przestudiowaną doktryną.

Z doświadczeń zagranicznych płynie jednak inna jeszcze nauka.

Są państwa, które ostatnimi laty za naczelny cel swej polityki ekonomicznej uznały utrzymanie siły nabywczej swego pieniądza. Są to państwa, które tworzyły tzw. blok złoty: Francja, Holandia, Szwajcaria... Inne na pierw-

szym miejscu w hierarchii swych celów postawiły ożywienie życia gospodarczego i usunięcie bezrobocia. Są to państwa bloku sterlingowego z Anglią na czele, oraz Niemcy hitlerowskie i Stany Zjednoczone w czasie prezydentury Roosevelta.

Porównywując wskaźniki produkcji przemysłowej tych wszystkich państw stwierdzamy:

1) we Francji indeks produkcji w porównaniu z 1929 r. wynosił w 1932 – 76, w 1935 – już tylko 74, w Holandii w 1933 – 69 a w 1935 spadł na 63.

2) w Anglii w tym samym czasie podniósł się wskaźnik produkcji z 93 na 110, w Szwecji z 84 na 109, w Norwegii z 93 na 110, nawet w Austrii z 65 na 81;

3) w Niemczech wzrósł on z 62 w 1933 na 108 w ubiegłym roku;

4) również w Stanach Zjednoczonych indeks przedsiębiorczości podniósł się z 68 w 1933 na 94 w 1936.

Więc rozwój konjunktury, dla której automatyzmu mają tak olbrzymi respekt nasi deflacyoniści, dziwnie się jednak okazuje wrażliwy na zamierzenia i plany rządów.

Gdzie jak we Francji i Holandii uważano ożywienie produkcji za rzecz mniejszej wagi od utrzymania dużej wartości pieniądza, gdzie prowadzono rentierską politykę ekonomiczną – tam produkcja malała i trwała zniżkowa konjunktura.

Ale gdzie prowadzono politykę planowego wzmacniania siły nabywczej rynku wewnętrznego i podnoszenia

przeznaczonej dlań produkcji – tam konjunktura posłusznie idzie w górę.

We Francji, w Holandii, w Szwajcarii ma niewątpliwie swe uzasadnienie polityka rentierska. – Są to bowiem najzasobniejsze w pieniężne oszczędności i kapitały narody. A bezrobotni rekrutują się tam niemal wyłącznie z obcych emigrantów. A jednak i we Francji ostatecznie od niej odstępiono.

U nas jednak tak mało jest rentierów polskich... a tak wiele bezrobotnych polaków i po wsiach i po miastach, i wśród robotników i wśród włościan i wśród inteligencji.



Nie zawsze ludzie chodzą utartymi drogami. Często próbują czegoś nowego. I gdy im się próba udała – dokonali eksperymentu rozsądnego. A gdy nie osiągnęli wyniku, albo co gorzej, otrzymali wręcz odmienne od projektowanych rezultaty – eksperyment ich był nierozumny.

Tak bywało zawsze. Bank emisyjny Anglii założony w XVII w. był eksperymentem rozsądnym i stał się wzorem dla wszystkich późniejszych, już w XIX w. organizowanych na kontynencie europejskim i w Ameryce banków emisyjnych. A bank emisyjny Lawa, założony we Francji w połowie XVIII w. był eksperymentem nierozsądnym, bo się skończył skandalicznym bankructwem i odstraszył na kilkadziesiąt lat rządy państw kontynental-

nych od zwiększania obiegu pieniężnego przez emisję banknotów.

Dziś niewątpliwie udanym eksperymentem była przeprowadzona w Anglii niżka kursu banknotów, bo dała początek ożywieniu produkcji i dopomogła do przełamania kryzysu.

Rozumnym też jest eksperyment, który przeprowadzają u siebie Niemcy, nie obniżając kursu marki, ale odrywając ją od złota i uniezależniając całkowicie swój wewnętrzny rynek pieniężny i kredytowy od rynków światowych.

Nienajgorsze też wyniki daje eksperyment Roosevelta.

I u nas też robiono eksperyment – choć się go nazywało dostosowaniem się jeno do automatycznego przebiegu kryzysu. Bo nasza deflacja nie była naprawdę biernym jeno dopasowywaniem obiegu pieniężnego i kredytowego do malejącego obiegu towarowego i zapotrzebowania produkcyjnych kredytów.

Myśmy przewencyjnie zaciskali pasa. Kurczyliśmy obieg pieniężny szybciej od spadku produkcji. Od 1929 do 1935 r. nasza produkcja rolnicza zmalała najwyżej o kilkanaście procent; w tym samym czasie nasza produkcja przemysłowa skurczyła się o 35 procent. W sumie więc spadek produkcji nie wyniósł u nas ponad 25 procent. A równocześnie obieg pieniężny spadł z 2,5 miliardów złotych i dolarów na 1.300.000 tj. o przeszło 45 procent. Niższy do niedawna przez szereg lat u

nas niż w reszcie krajów środkowej i zachodniej Europy poziom cen rolniczych – był niewątpliwie skutkiem nadmiernego, bo znacznie przewyższającego spadek produkcji, kurczenie obiegu pieniężnego.

A polityka tak gwałtownej deflacji walutowej i kredytowej, prewencyjnego i wyprzedzającego zastój produkcji, pomniejszania obrotów pieniężnych – była wyłączną naszą specjalnością. Jak już poprzednio wykazałem, ogół państw, nie tylko bloku sterlingowego, lecz i bloku złotego, z Francją na czele, w czasie kryzysu nie zmniejszał, lecz zwiększał swój obieg pieniężny.

Więc nasza polityka deflacyjna i z czasów ministra Matuszewskiego i z czasów, które on obecnie krytykuje, – była eksperymentem, choć rzekomo bardzo naukowym.

Wynik jego jest znany. Najniższy dziś niemal w całym świecie wskaźnik produkcji przemysłowej. I dodajmy jeszcze – jeden z najniższych również wskaźników cen. W kwietniu 1937 r. wynosił on w porównaniu z poziomem cen 1929 r. w Niemczech 76, w Austrii 87, w Estonii 83, w Stanach Zjednoczonych 91, na Łotwie 86, we Włoszech 85, w Japonii 110, w Norwegii 98, w Holandii 75, w Anglii 92, w Szwecji 93, we Francji 86, w Czechosłowacji 78, a u nas 60.

Rekordowo niska produkcja i rekordowo niski poziom cen. Więc też musimy mieć rekordowo niską siłę płatniczą.

VI. MOŻLIWOŚCI

Było dużo błędów i złudzeń w naszej polityce ekonomicznej ostatniego dziesięciolecia.

I one to sprawiły, że zostaliśmy w latach kryzysowych zepchnięci na najniższy poziom w hierarchii ekonomicznej Europy.

Ale nowem byłoby złudzeniem wyobrażanie sobie, że wystarczy naprawić te błędy, by przewyciężyć naszą dzisiejszą biedę, zlikwidować bezrobocie i zapewnić całemu przyrostowi ludności przyzwoity zarobek.

Toć od dwóch lat zaprzestaliśmy już równania w dół. Minister Kwiatkowski głosi zdecydowanie program aktywizacji naszego życia gospodarczego, zapowiedział i rozpoczął wielkie roboty publiczne dla likwidacji bezrobocia. Już przeszłego lata znalazło w nich zatrudnienie 160.000 ludzi. Zatrzymał on też odpływ z Polski złota, tak koniecznego na wypadek wojny, a ograniczeniami dewizowymi w znacznym stopniu uniezależnił nasz system walutowo-kredytowy od międzynarodowych spekulacji pieniężnych. I stwierdzam raz jeszcze, spadający do 1935 r. wskaźnik produkcji w ciągu ostatnich dwóch lat się podnosi.

Ale pomimo to – powtarzam znów – dalecy jeszcze jesteśmy do przezwyciężenia kryzysu, który dawno już w świecie minął, i choć silnie zwyżkowa na rynkach międzynarodowych konjunktura podniosła zamówienia zagraniczne w szeregu gałęzi naszego przemysłu, a jednocześnie zakres robót publicznych się powiększa, – bezrobocie wciąż jeszcze rośnie.

Bo kryzys światowy zaostrzył je jeszcze. Ale było ono i rosło nieustannie wraz z przeludnieniem wsi od początku odzyskania niepodległości.

Źródłem naszej tragedii gospodarczej – boć tragedią jest mieć jeden z najsilniejszych w świecie przyrostów ludności, a nie móc dać mu zatrudnienia, koniecznego już nie dla podwyższania, ale choćby utrzymania skali życiowej mas ludowych na poziomie przedwojennym, z czasów rozbiorów i niewoli – nie są poszczególne błędy naszej polityki ekonomicznej, ale z gruntu wadliwy ustrój całego naszego współczesnego życia społeczno-gospodarczego.

I pierwszym warunkiem stworzenia u nas nowego lepszego życia jest, żeby nietylko rząd, ale i ogół społeczeństwa zdawał sobie jasno sprawę, że w ramach obecnego naszego ustroju nietylko nigdy nie dorównamy rozwojem sił gospodarczych naszym zachodnim sąsiadom, ale nie potrafimy nawet wyżywić własnymi siłami całego naszego przyrostu ludności, że więc będziemy nieustannie biedni, choćbyśmy najgłośniej wołali o „lwie skoki“ i „podciąganie Polski w wyż“.

Czemu jednak kraje zachodnie są w stanie wyżywić

cały swój przyrost ludności – a my tego dziś nie potrafimy? Czy Polska produkuje za mało zbóż, ziemniaków, nabiału, mięsa – by starczyło na skromne choćby jedzenie dla wszystkich jej mieszkańców? Czy ogół naszej ludności ma już tyle obuwia, ubrania, mebli, narzędzi pracy, tak obszerne mieszkania, a kraj cały posiada tyle kolei żelaznych, gościńców, uregulowanych rzek, zmeliorowanych gruntów – iż nie ma już potrzeby powiększać sumy prac produkcyjnych naszego społeczeństwa?

Ani jedno – ani drugie. Zbóż jadalnych: żyta, pszenicy i jęczmienia produkujemy około 100 milionów, a ziemniaków około 330 milionów kwintali. Więc starczyłoby naszych plonów rolniczych na przeciętną rację żywnościową każdej żyjącej u nas jednostki w wysokości prawie 1 kgr. chleba i 3 kgr. ziemniaków. Zapewne jest to niewiele. Ale dziesiątki tysięcy naszych bezrobotnych byłyby bardzo zadowolone – gdyby tyle miały.

Natomiast kolei, dróg, obwałowań rzek, mieszkań pa-roizbowych, warsztatów, maszyn i wszelkich wogóle przetworów przemysłowych mamy niewątpliwie o wiele mniej, niż którykolwiek z krajów europejskich, poza Bułgarią i Litwą.

Czemuż więc u nas są głodni i bezrobotni?

Głodni są – bo choć znalazłoby się dla nich w kraju pożywienie – ale nie mają za co go kupić. A nie mają ani za co kupić sobie chleba i ziemniaków – bo nie mają zarobków. Zarobków zaś nie mają, bo zapotrzebowanie pracy ze strony istniejących u nas przedsiębiorstw nie

wystarcza dla dania jej wszystkim, którzy jej potrzebują. A zbyt jest małe u nas zapotrzebowanie pracy ze strony przedsiębiorstw – bo nie mają one dostatecznego zbytu na swe wytwory. Nie mają zaś go – bo nie ma dość u nas ludzi, posiadających dostateczną siłę nabywczą, gdyż małe są ich dochody. A niedostateczne są ich dochody – ponieważ za mało produkują.

Są u nas głodni i bezrobotni – bo się u nas za mało produkuje.

Nasza polska bieda, choć niewątpliwie zaostrzyła się jeszcze bardziej wskutek światowego kryzysu, ma wręcz od niego odmienne źródło.

Kryzys światowy powstał wskutek spowodowanej nadmierną po wojnie inflacją kredytową koncernów amerykańskich, nadkonsumpcji i nadprodukcji, rozwijającej się znacznie szybciej od światowego przyrostu ludności. Nasza bieda wręcz odwrotnie wypływa ze zbyt powolnego w stosunku do przyrostu ludności rozwoju naszej produkcji, przede wszystkim produkcji przemysłowej. Zwracałem na to uwagę już 5 lat temu, w 1930 r. Ale wówczas jedni uważali to za złośliwość opozycjonisty, który chce zważyć na rząd odpowiedzialność za biedę, choć winowajcą jest kryzys światowy. A inni tak znów byli przygnębieni zaczerpniętymi z Niemiec pesymistycznymi horoskopami, głoszącymi katastrofę całej europejskiej cywilizacji, że o żadnej u nas walce o gospodarczą poprawę słyszeć nawet nie chcieli. Jedni i drudzy myśleli tylko o jednym: o dopasowaniu się do złych czasów.

Dziś już i ze strony oficjalnej zostało śmiało stwierdzone, że inne są przyczyny naszego niż światowego kryzysu i że musimy znaleźć własne sposoby przezwyciężenia go. Tylko niedostatecznie jeszcze zdał sobie i rząd i ogół społeczeństwa sprawę z tego, że nasz rodzimy kryzys rozpoczął się nie w 1929 dopiero roku, że datuje się on od samego końca wojny, od chwili, gdy Stany Zjednoczone i Niemcy zamknęły swe granice dla naszej emigracji zarobkowej i gdy przedwojenny przypływ inwestycyjnych kapitałów zachodnich zamienił się na lichwiarskie, przeważnie obciążające skarb państwa, kredyty zagraniczne. Ale – da Bóg – z czasem przyjdzie zrozumienie i tej prawdy.

– Tak – jesteśmy jednym z najbiedniejszych narodów Europy, nie potrafimy zapewnić pracy i chleba całemu naszemu przyrostowi ludności – jedynie i wyłącznie wskutek tego, że mamy zbyt szczupłe siły produkcyjne.

Cały problemat naszej gospodarczej i wraz z tem cywilizacyjnej przyszłości (bo nie ma postępu cywilizacji, gdy nie ma koniecznych dla życia cywilizacyjnego środków materialnych) – to problemat zwiększenia naszych sił wytwórczych.

Ten problemat zwiększenia sił wytwórczych postawił był przed oczyma narodowi niemieckiemu ekonomista Fryderyk Lit w czterdziestych latach ubiegłego stulecia. I od 1850 r. cała polityka nasamprzód Prus i Północno-niemieckiego związku celnego, a potem Cesarstwa Niemieckiego, poszła w tym właśnie kierunku. I dzięki temu

Niemcy, z których jeszcze Heine kpil jako z kraju drobniomieszczańskiej szarzyzny, na które francuzi patrzyli z lekceważeniem, jako na naród biedaków (zjadaczy ziemniaków), w ciągu 40 lat stały się jedną z pierwszych w świecie potęg, nietylko militarnych, lecz również ekonomicznych i naukowych. I my możemy nie tylko przestać biednieć – jak to się stale dzieje u nas od lat 15; możemy zacząć się szybko dźwigać w górę, zarówno w dobrobycie naszym jak i twórczością naszą cywilizacyjną – jeśli tylko cały nasz wysiłek skoncentrujemy, podobnie do tego, co zrobili swego czasu Niemcy, na zadaniu wzmacniania sił wytwórczych naszego społeczeństwa i kraju.

Jeno dziś nie da się osiągnąć tego tymi sposobami – co w drugiej połowie XIX wieku. Wówczas najlepszym sposobem bogacenia się narodu był czynny bilans płatniczy. Obecnie – rachować nań nie można. Więc nie możemy poprostu skopiować polityki ekonomicznej Cesarstwa Niemieckiego. Musimy stworzyć sobie naszą własną metodę zwiększania naszych sił wytwórczych, zwiększania ich przy tem w tempie koniecznym dla dania produkcyjnych zatrudnień całemu naszemu przyrostowi ludności.

Stanęliśmy przed tą koniecznością wskutek zmian, jakie zaszły po wojnie w całej gospodarce światowej (kurczenie się międzynarodowej współpracy ekonomicznej). Ale na szczęście też same zmiany pozwalają nam dzisiaj na pomnażanie naszych sił wytwórczych naszą własną

wolą i naszym własnym rozumem, co dawniej bez pomocy obcych kapitałów było naprawdę niemożliwem.

Bo przypomnijmy sobie przedwojenne czasy. Działo się nam wówczas pod względem gospodarczym niewątpliwie lepiej niż dziś. Rósł, a nie malał, powszechny w kraju dobrobyt. Co roku powstawały u nas nowe kopalnie, fabryki, podnosiła się wydajność uprawy rolniczej i na folwarkach i w gospodarstwach włościańskich.

I czemu to się działo? Bo przyływały do nas z zachodu inwestycyjne kapitały pieniężne.

Był węgiel, była ruda żelazna i ropa w ziemi polskiej, rósł len na ziemiach polskich. Byli ludzie do pracy. Byli technicy, którzy kończyli zagranicą wyższe zakłady naukowe. Byli ludzie z talentem organizacyjnym. Ale te wszystkie składniki przedsiębiorstw i ich produkcji były jakby potencjalną tylko energią, jakby w uśpieniu. Gdy jednak przyszedł do Polski inwestycyjny kapitał pieniężny, zspolił on pracę, surowce i wiedzę w procesach produkcyjnych i powstały kopalnie i fabryki Dąbrowy, Sosnowca, Borysławia i Żyrardowa. Tak się działo przed wojną. A obecnie w dalszym ciągu mamy aż nadto dla zatrudnienia całego naszego przyrostu ludzi i surowców, i bodaj aż nadto techników i nie mało ludzi z należytymi zdolnościami organizacyjnymi. Ale nie przyływają już do nas z zachodu inwestycyjne kapitały pieniężne i dlatego te wszystkie nasze siły wytwórcze pozostają w stanie potencjalnym. Bo nie ma zespalającego je czynnika.

Jesteśmy podobni do fabryki, w której są robotnicy, są surowce, są nawet maszyny i jest motor. Ale to wszystko stoi bezczynnie, bo nie ma pasów transmisyjnych, któreby połączyły motor z maszynami. A owymi pasami transmisyjnymi, których nam brak – to są kapitały pieniężne.

Więc naczelne zagadnienie naszej przyszłości: zapewnić dostateczną co roku ilość zatrudnień dla całego naszego młodego pokolenia – sprowadza się do zadnienia powiększania naszych sił wytwórczych w odpowiednim do tego tempie, a to drugie zaś zagadnienie do trzeciego – do powiększania kapitałów pieniężnych, koniecznych do zespolenia istniejących sił roboczych, surowców, umiejętności technicznych i talentów organizacyjnych w procesach wytwórczych – w tempie równym przyrostowi ludności.

Ale jesteśmy jednym z najbiedniejszych pieniężnie narodów. Około 60 procent naszej ludności, to ludność włościańska, żyjąca przede wszystkim gospodarką naturalną. Więc też nasze oszczędności pieniężne są nie duże. W ciągu 5 lat od 1931 po 1936 r. wkłady w naszych instytucjach kredytowych wzrosły z 2.648 na 3.212 milionów tj. o 564 milionów, zatem przeciętnie na rok o 115 milionów. Wprawdzie w ostatnim roku 1935 do 1936 przyrósł był większy – wyniósł on 192 milionów. Ale równocześnie ilość udzielonych przez nasze banki i kasy oszczędności kredytów krótkoterminowych malała i to nie tylko w czasie naszego oficjalnego równania w dół. Wy-

nosiła ona w 1930 – 3.856, w 1931 – 3.181, – w 1932 – 2.723, w 1933 – 2716, w 1934 – 2.708 milionów złotych.

I to się nazywało wówczas „zaciskaniem pasa“. W 1935 r. wraz z hasłem aktywizacji życia gospodarczego suma kredytów krótkoterminowych podniosła się na 2.817 tj. o 109 milionów – ale w r. 1936 spadła ona znów o 78 milionów na 2. 739 milionów złotych.

Cyfry te są niezwykle wymowne. Mówią one, że nie tylko mamy minimalne nagromadzanie się oszczędności, wynoszące maksymalnie 200, a przeciętnie 100 milionów rocznie – ale, że ta nawet tak słabiutka prywatna kapitalizacja nie dochodzi do życia gospodarczego, bo nie idzie na powiększanie kredytów udzielanych gospodarstwow. Całkowicie zabiera ją państwo różnymi „dobrowolnymi pożyczkami“ jawnymi i utajonymi.

Działo się tak za ministrów Matuszewskiego i Zawadzkiego. Ale działo się także i w 1936 r. za ministra Kwiatkowskiego. O tyle tylko jest dziś lepiej, że to „drenowanie“ instytucji kredytowych przez państwo idzie nie na łatanie deficytów budżetowych, ale na roboty publiczne, nie tylko dające zatrudnienie stu kilkudziesięciu tysiącom ludzi w sezonie letnim, ale zwiększającym jednocześnie naszą siłę obronną.

Zaprzestać tego drenowania w obecnych naszych warunkach mógłby tylko rząd, któryby, albo zrezygnował z zatrudnienia bezrobotnych i dozbrajania armii, albo

zdecydował się na prowadzenie robót publicznych za „nowy pieniądz“.

Wątpię, by nawet p. Lauterbach tak namiętnie zwalczający wszelki etatyzm i wszelkie nakręcanie konjunktury, w razie objęcia steru naszej polityki gospodarczej, wziął na swe sumienie ograniczenie naszych przygotowań na wypadek wojny do sum mieszczących się w ramach normalnych przychodów skarbowych. Zresztą gdyby nawet zdobył się na taką odwagę, nie pozwoliłaby mu na to armia.

Przypuśćmy jednak, że jakimś cudownym sposobem spokój został w Europie ustalony na lat 50 i że wszystkie państwa wyrzekły się wyścigu zbrojeń, a wobec tego cały przyrost naszych oszczędności może być użyty na zasilenie kapitałów zakładowych i obrotowych prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych. Wieleż wtedy by mogła nasza prywatna kapitalizacja stwarzać nowych co roku zatrudnień?

Suma wszystkich rocznych dochodów otrzymywanych w formie pieniędzy wynosi u nas obecnie niecałe 9.000 milionów. A że mamy koło 34 milionów ludzi tj. prawie 8 milionów rodzin – więc przeciętny roczny dochód pieniężny rodziny wynosi u nas mało co ponad 1000 zł. Czy da się z tego dużo oszczędzić – tym bardziej, że znaczną większość z tego dochodu stanowią zarobki z pracy. Bo w obrocie pieniężnym mamy wszystkiego 1.300 milionów pieniędzy gotówkowych i 3.200 milionów wkładów ban-

kowych, czyli tzw. pieniądza bankowego. Gdyby nawet te 4.500 milionów dawały 8 procent zysku netto – to dochód społeczeństwa naszego, płynący z obrotów pieniężnych, wynosiłby rocznie 360 milionów tj. około 110 zł. na głowę ludności. – Wobec tych cyfr – 110 milionów przeciętnego w ostatnich 5 latach wzrostu wkładów bankowych i oszczędnościowych musi budzić podziw dla zmysłu oszczędności naszego szarego człowieka. Bo połowa tych depozytów to drobne, wynoszące na jedną książeczkę 450 zł. wkłady oszczędnościowe.

Przy obecnym więc stanie naszych zasobów pieniężnych nie można oczekiwać wiele większego ponad 100 milionów rocznie przyrostu prywatnej kapitalizacji. I gdyby nic zeń nie zabierało państwo – to i wtedy prywatna przedsiębiorczość, opierając się na prywatnej kapitalizacji mogłaby stwarzać co roku nowe zatrudnienia conajwyżej dla 150.000. Z którejkolwiek więc strony podejmiemy do zagadnienia nadania przyrostowi naszych kapitałów pieniężnych tempa równego naszemu przyrostowi ludności – przekonujemy się niezmiennie, że przy obecnych naszych zasobach pieniężnych, prywatna kapitalizacja jest w stanie zatrudnić ledwo około połowy naszego potrzebującego zarobku przyrostu ludności. Ale w takim razie dla drugiej połowy tego przyrostu i dla półtora miliona dawniejszych już bezrobotnych, musi stworzyć odpowiednie zarobki państwo.

VII.

SŁOWA – STRASZAKI.

Coraz więcej ludzi zdaje już sobie z tego sprawę, że przełamanie zastoju musi się zacząć od wielkich publicznych robót inwestycyjnych tak, jak to się zresztą zawsze w całym świecie działo, bo żaden producent dóbr bezpośredniego użytku nie zacznie produkować więcej, zanim nie wzrośnie zapotrzebowanie na nie, a zapotrzebowanie ich nie wzrośnie, póki nie podniesie się siła nabywcza szerokich warstw społeczeństwa, póki więc nie da się im nowych zarobków.

Ale większość naszej opinii, choć uznaje, że tylko wielkie roboty publiczne mogą naprawdę usunąć w stosunkowo krótkim czasie wzrost bezrobocia – robót tych się boi. Ustaliło się bowiem u nas zrozumienie tego, że gdy będą one prowadzone za „fundusze“, wyciągane ze społeczeństwa, nieustannie się dziś u nas z brakiem gotówki borykającego – to tyle samo ludzi straci pracę w prywatnych przedsiębiorstwach, wiele zyszcze w robotach publicznych. A myśl prowadzenia ich za nowy

pieniądz, przy pomocy kredytów Banku Polskiego – prze-
raża. Toć to będzie inflacja!...

Na samo słowo: inflacja – zamierają w nas serca. Niech raczej kurczy się cała siła żywa narodu, niech maleje przyrost ludności, niech dziesiątki tysięcy jadają niecosolone ziemniaki, niech nam przybywa co roku 250.000 bezrobotnych, niech rośnie w masach małorol-
nych zawiść i nienawiść społeczna – byle nie inflacja.

Słowem tym można storpedować u nas każdy program
aktywizmu gospodarczego.

Wprawdzie mógłbym wszcząć dyskusję na temat, czy
w społeczeństwie polskim (nie żydowskim) jest więcej
posiadających kapitały pieniężne – niż potrzebujących
pracy i nie mogących dać sobie rady z długami z powo-
du spadku cen?

Ale nie ci ostatni decydują o naszej polityce ekono-
micznej – jeno pierwsi, przede wszystkim posiadająca
dość wysokie uposażenia biurokracja ministerialna, na-
stępnie też dobrze wynagradzane dyrekcje wielkich
przedsiębiorstw akcyjnych oraz samorządów gospodar-
czych, wreszcie nienajgorzej się też mający redaktoro-
wie stołecznych dzienników. A że niewielu jest u nas
takich, co rozumieją głodnych, gdy są sami syści – więc
nie stawiam pytania, co grozi Polsce gorszymi niebez-
pieczeństwami: ewentualny spadek złotego, czy dalszy
co roku wzrost bezrobocia o paręset tysięcy... Staję na
stanowisku utrzymania kursu złotego na równi złota.

Co więcej – bynajmniej nie żądam inflacji – choć zdecydowanie oświadczam się za wielkimi robotami inwestycyjnymi i za sfinansowaniem ich przez Bank Polski.

Bo nie każde powiększenie ilości pieniędzy jest inflacją.

Słowem tym straszy się u nas na prawo i lewo. Ale mało kto u nas zdaje sobie sprawę z istotnej jego treści.

Od X stulecia nieustannie rośnie w Europie i całym cywilizowanym świecie ilość pieniędzy nie tylko w ogólnej swej sumie, lecz i przeciętnie na głowę ludności. I wraz z tym stale też podnoszą się ceny. A zarazem tych 9 wieków były okresem wzrostu a nie spadku powszechnego dobrobytu i powszechnej cywilizacji.

Więc powiększanie się ilości pieniądza nie jest nie-szczęściem, raczej jest ono czynnikiem czy znamieniem postępu społeczno-gospodarczego.

Ale w takim razie jedno z dwojga: albo nie ma się co bać inflacji – albo też nie każde zwiększenie ilości pieniędzy jest inflacją.

Słuszny jest oczywiście ten drugi wniosek.

Co więc jest naprawdę inflacją?

Inflacją jest powiększanie ilości pieniędzy ponad rzeczywistą gospodarczą potrzebę.

Gdy banknoty są wymienne – wtedy potrzebne jest naprawdę takie ich pokrycie złotem, by nie traciły one swego charakteru skryptów dłużnych, zastępujących mo-

nety kruszczowe, pokrycie więc conajmniej w 70%. W 1913 – wynosiło ono w Niemczech – 81%. I emisja banknotów, któraby obniżyła pokrycie kruszczowe poniżej tego minimum – byłaby wówczas inflacją, podkopującą zaufanie do nich szerokiej publiczności i tym samym deprecjonującą je w stosunku do złota.

Inaczej jest jednak, gdy banknot nie jest wymienialny, gdy przestał on być zastępcą jeno kruszczowego pieniądza, gdy sam się on stał pieniądzem – czy to państwowym, jak podczas wojny, czy kredytowym – jakim jest obecnie.

Wtedy nie jest on już na rynkach krajowych reprezentantem znajdującego się w skarbcach banku złota. Bo czy go więcej, czy mniej – posiadacz banknotu nie otrzyma go zań w żadnym razie dla potrzeb obiegu wewnętrznego.

Banknot niewymienialny jest zawsze jedynie i wyłącznie reprezentantem części majątku i dochodu społecznego.

Szczególnie jasno to występuje przy pieniądzu kredytowym. Stwarza go bank emisyjny – udzielając kredytów swoimi notami (banknotami). Banknoty te zostają przez tych, co je otrzymali z kas banku, – pущzone dalej w obieg. Ale żaden z dalszych ich posiadaczy nie otrzyma za nie złota. Na czym więc opiera swe zaufanie do tego biletu bankowego? Jedynie na tem, że banknot ten reprezentuje istotną jakąś wartość. Jaką? Czy służącego ewentualnie dla jego pokrycia złota? Toć

pokrycie to jest tylko teoretyczne – gdy banknot jest niewymienialny. Ale co ważniejsze jeszcze, w olbrzymiej większości państw pokrycie kruszczowe nie sięga dziś połowy emisji. Więc nikt nie wie, czy posiadany przezeń banknot należy do 35, a w niektórych państwach i 20% pokrytych, czy do 65 albo i 80% nie pokrytych kruszczem. Nic go to jednak nie niepokoi tak samo, jak nie troszczy się on zgoła o to, czy w 5-złotówce jest naprawdę srebra za 5 złot., czy za 1,5 złotego. Jakąż więc – powtarzam – realną wartość reprezentują dzisiejsze nasze banknoty? Jedyne – wartość zobowiązania dłużnego, wzamian za które bank emisyjny, udzielając kredytu, banknoty te wypłacił. A na czym opiera się wartość powyższych zobowiązań dłużnych? Na majątku i dochodzie przedsiębiorstw, które zobowiązania te wystawiły. Gdy zaś niewiadomo nigdy, komu został dany banknot nasamprzód wypłacony, – więc każdy z nich reprezentuje część majątku i dochodu całego społeczeństwa.

To samo zresztą dotyczy i monet zdawkowych i wszelakiego rodzaju papierowych pieniędzy państwowych.

Nabywczą siłą na rynkach wewnętrznych wszystkich tych pieniędzy zależy od szybkości, z jaką wzrasta lub zmniejsza się ich ilość w stosunku do szybkości, z jaką zwiększa się lub kurczy realny majątek i dochód społeczeństwa.

Niezwykle pouczający jest pod tym względem fakt, że podczas wojny pomimo 9-krotnego w Niemczech zwiększenia ilości banknotów markowych – nie traciły

one swej wartości nabywczej – a po wojnie zdeprecjowały się zupełnie. Również u nas kurs marki trzymał się nienajgorzej, choć nie miała ona żadnego pokrycia, aż do końca wojny, tj. do końca 1920 r. a zaczął dopiero gwałtownie spadać po pokoju rygskim.

Działo się tak – ponieważ, póki trwała wojna, wzrost emisji banknotów odpowiadał realnemu zapotrzebowaniu ich na fabrykację broni, amunicji, środków transportowych i wszelką aprowizację armii. I rosły też szybko dochody całego przemysłu wojennego i wszystkich dostawców wojskowych.

Z chwilą jednak zakończenia się działań wojennych ujawniło się, że tej zwyzce dochodów towarzyszył jeszcze silniejszy spadek majątku społecznego – bo cały przemysł wojenny wytwarzał narzędzia nie produkcji, lecz niszczenia sił wytwórczych kraju. Zmalał majątek, ustały dochody przedsiębiorstw pracujących dla potrzeb armii, zmniejszyła się wydajność zaniedbanych lub zniszczonych podczas wojny warsztatów pracy – a ilość pieniędzy kilkakrotnie się zwiększyła.

I gdy wyszło to wszystko na jaw, banknot, będąc wówczas pieniądzem papierowym – stracił swą wartość.

To była naprawdę inflacja – to było powiększenie ilości pieniędzy na potrzeby nie gospodarcze, lecz wręcz dewastacyjne.

Inflacją też będzie powiększenie ilości pieniędzy na cele wyłącznie konsumcyjne, na budowę gmachów reprezentacyjnych, zakładanie parków, boisk, robienie au-

tostrad dla międzynarodowych wyścigów..., na łatanie dziur w budżecie państwowym.

Bo to wszystko nie zwiększa dochodu społecznego, ani sił wytwórczych kraju.

Ale nie jest inflacją kredyt udzielany na połączenie istniejących w kraju sił roboczych, surowców i wiadomości technicznych w procesach produkcyjnych, które zwiększą wydajność naszych pól, a więc i dochód rolników, zabezpieczą wsie i miasteczka przed wylewami, stworzą obniżające koszty transportu drogi, przybliżą nas pod względem zwiększających wydajność pracy urządzeń technicznych do naszych zachodnich sąsiadów. Nie jest więc inflacją powiększenie ilości pieniędzy kredytowych – na cele produkcyjne, na wzmacnianie sił wytwórczych społeczeństwa, których rozrost da trwały postęp zatrudnień i dochodów najszerszych warstw ludności.

A już żadną chyba miarą nie zasługuje na nazwę inflacji przywrócenie obiegu pieniężnego, któryśmy już mieli i któryśmy nieopatrznie w ostatnich latach zmniejszyli naszym zbyt pochopnym dostosowywaniem się do kryzysu.

Wbrew bowiem temu, co piszą nasi obrońcy deflacji – ciągle jakoś zapominając o dolarach – zmniejszyliśmy z nadmiernej obawy o kurs złotego, nasz obrót pieniężny czterokrotnie silniej od obrotu dóbr (rolniczych i przemysłowych).

I tylko tym da się wytłumaczyć ten paradoksalny fakt,

że gdy obroty izb rozrachunkowych były w 1936 r. w Anglii mniejsze niż w 1928 r. o 8%, we Francji o 30%, w Niemczech o 49%, w Stanach Zjednoczonych o 47%, we Włoszech o 38%, to u nas były większe o 96%. Bo w tamtych krajach powiększono obieg gotówkowy a zmniejszono kredytowy, zdając sobie sprawę, że jedną z głównych przyczyn kryzysu był nadmierny rozwój interesów kredytowych. A u nas zmniejszono ilość pieniędzy niemal dwukrotnie. Więc wzamian wzrosły też dwukrotnie rozrachunki bezgotówkowe. Przedsiębiorstwa broniły się wzmoczoną szybkością obiegu pieniężnego przed kurczeniem zasobów pieniężnych w kraju.

Więc nie jest prawdą, co mówią deflacyoniści, że spadek naszego obiegu pieniężnego dostosował się do zastój gospodarczego i spadku cen.

Wręcz odwrotnie. Falszywa polityka nadmiernego, wyprzedzającego znacznie kurczenie się produkcji, zmniejszania obiegu pieniężnego spowodowało u nas spadek cen poniżej poziomu koniecznego dla zabezpieczenia rentowności przedsiębiorstw, obciążonych z reguły długami zaciągniętymi na dostosowanie się do powojennych przemian.

Ale pomimo to każde żądanie przywrócenia obiegu pieniężnego i poziomu cen z 1928 r. – wywołuje okrzyk zgrozy: inflacja!

Czyż naprawdę żyło się wówczas w Polsce gorzej niż dziś? Czemuż więc tak gorąco bronimy obecnie rzadkości i drożyzny pieniądza? Chyba nie dlatego, by prze-

ważała wśród nas psychologia „posiadaczy pieniędzy“. Naprawdę jest ich w Polsce najwięcej jeszcze wśród żydów. A podobno wyzwalamy się już zupełnie z pod ich wpływów.

Mam wrażenie, że tak bardzo boimy się nawrotu z dotychczasowej drogi, bo niemniej od mało na ogół rozumianego, choć często powtarzanego słowa: inflacja – przeraża nas drugie jeszcze słowo: eksperyment.

*

*

*

Utartymi drogami, wypróbowanymi sposobami osiąga się tylko znane od dawna cele. Ale zagadnień nowych nie sposób rozwiązać, nie próbując nowych środków. Więc wszelki postęp: i wiedzy o życiu społecznem i form organizacyjnych pracy i współpracy gospodarczej zawdzięczamy temu, że znajdowali się ludzie, którzy odważali się na nowe eksperymenty.

Boć eksperymentem była i pierwsza fabryka i pierwsza linia kolejowa i pierwszy bank emisyjny. I na olbrzymią skalę zakrojonymi eksperymentami jest i to wszystko, co zrobiły i robią dla przezwyciężenia kryzysu Niemcy, Anglia, Stany Zjednoczone, Belgia. A osiągają one nie-najgorsze wyniki.

Czemuż więc u nas tak się z góry potępia wszelki eksperyment? Zrozumiały jest konserwatyzm społeczno-gospodarczy tych, co mają dużo do stracenia a niewiele do zarobienia: Francji, Szwajcarii, Holandii.

Ale my mamy tak mało już do stracenia – a wszystko

do zyskania. Bez eksperymentu nie rozwiążemy najważniejszego zagadnienia całej naszej przyszłości; jak własnymi siłami stworzyć równe przyrostowi tempo zwiększania się naszego majątku i dochodu społecznego i zapewnić przez to dostateczną ilość nowych co roku produkcyjnych zatrudnień dla dorastającej generacji.

Nie wystarczy też na to najsilniejszy choćby, na jaki dziś byśmy się zdobyć mogli, rozkwit inicjatywy prywatnej. Bo – przypominam – w latach najlepszej koniunktury wzrost zatrudnień przemysłowych wynosił u nas po wojnie 2 – 3⁰/0. A potrzeba nam w ciągu najbliższych 6 lat 20%-go, a następnie conajmniej 10%-go przyrostu liczby zatrudnionych w przemyśle. Więc jeśli nie chcemy patrzeć nadal obojętnie na biednienie z roku na rok naszego narodu – musimy zdecydować się na politykę społeczno-gospodarczą, któraby uzupełniła niedostateczną kapitalizację i przedsiębiorczość prywatną – odpowiednią akcją państwa.

Na czym ma ona polegać?

Nie na zastępowaniu przedsiębiorczości prywatnej przez biurokratyczną. – Wręcz przeciwnie. Państwo powinno dziś u nas, tak jak to robiło we Francji i w Anglii w 17-tym wieku za czasów merkantylistów – jak najbardziej wspomagać i zachęcać indywidualne inicjatywy gospodarcze. Trzeba pod tym względem zmienić radykalnie cały obecny stosunek do obywateli władz państwowych a szczególnie władz skarbowych. Człowiek dorabiający się nie powinien być nadal traktowany jako

podejrzany. I należy zmienić nietylko sposób wymiaru podatku (wywiady, kartoteki), lecz i samą organizację podatków. Gwałtownie też domaga się odbiurokratyzowania cała gospodarka w majątkach i przedsiębiorstwach państwowych.

Nie na przerost bowiem – jak to było choćby przed kilku laty w Niemczech i Stanach Zjednoczonych – lecz na niedorozwój przedsiębiorczości prywatnej chorujemy. Więc nie na podporządkowywaniu dyktatom państwowym liczących się wyłącznie z własnymi interesami potentatów wielkokapitalistycznych polegać winien nasz polski eksperyment nowej gospodarki. I byłoby wielkim błędem, gdyby gwoili jakiejś doktrynie np. „nowego średniowiecza“ albo wręcz odwrotnie „modernizacji przemysłu i technokracji” państwo zwracało się u nas przeciwko jakiegokolwiek formie organizacyjnej przemysłu. Byłem jednym z pierwszych, którzy zwracali u nas uwagę na tak dziś modnego „szarego człowieka“, na drobnego rzemieślnika, na uprzemysłowienie Polski „od dołu”, przez rozwój przede wszystkim najprymitywniejszych form chałupniczego i rękodzielniczego przemysłu. Ale mania, która ogarnęła u nas pewne koła, nienawiści wręcz do wielkich fabryk i maszyn – jest bezsensowna. Ani armat, ani tanków, ani lokomotyw, ani okrętów, ani blach, ani stali, ani węgla nie dadzą nam drobne warsztaty. A przecież są to rzeczy wręcz nam do życia niezbędne.

Przyspieszenie tempa gospodarczego naszego postępu –

tak by nadążył on za przyrostem naszej ludności, osiągniemy nie przez „ujednostajnianie go“, jak szeregu żołnierzy w koszarach, a już najmniej przez stawianie go na baczność przed ministerialną biurokracją.

Wręcz przeciwnie, należy u nas popierać, zachęcać, kształcić wszelkie typy indywidualnej i zbiorowej przedsiębiorczości, na jaką tylko nas stać. Bo jest w Polsce bardzo jeszcze dużo miejsca dla rozwoju i handlu prywatnego i kooperatyw spożywczych oraz wspólnej sprzedaży, i dla wielkich spółkowych i dla drobnych indywidualnych fabryk, i dla przemysłu zmechanizowanego i dla rękodziela, jak również włościańskiego przemysłu domowego... We wszystkich tych dziedzinach naszego życia gospodarczego jest wiele braków, zwyrodnień. Zatem usuwajmy je. Każdą jednak gałąź naszej produkcji wzmacniamy, żadnej nie niszczy. Bo każda z nich ma do spełnienia odrębne w całokształcie naszego ustroju funkcje.

Ale ten całokształt nie powinien nadal, jak dotychczas, być przypadkową jeno wynikową indywidualno-gospodarczych rachub i działań. Musi go planowo kształtować państwo – tak, by było w nim dość pracy i chleba dla wszystkich.

By to osiągnąć – by zapewnić zatrudnienie i zarobek całemu przyrostowi ludności – trzeba przede wszystkim zwiększyć nasze siły wytwórcze, zarówno rolnicze jak przemysłowe.

Bo w okresie malejącej międzynarodowej współpracy

ekonomicznej musimy wzrost dochodów naszych rolników opierać przede wszystkim na większej konsumpcji masła, jaj, bekonów przez naszych a nie angielskich robotników i rzemieślników, – wzrost zaś dochodów naszej ludności przemysłowej na lepszym choćby ubieraniu się naszych a nie marokańskich chłopów.

Nie brak nam dla bardzo nawet szybkiego podniesienia naszej produkcji ani rąk roboczych, ani umiejętności, ani surowców.

Naczelną przyczyną naszego zacofania gospodarczego, tego, że jesteśmy naprawdę poza Litwą i Bułgarią, najbiedniejszym narodem w Europie – jest brak fabryk, maszyn, narzędzi, dróg, środków transportowych, melioracji rolnych.

Pozostaliśmy conajmniej o pół wieku w tyle poza resztą już nie zachodniej, ale środkowej Europy, pod względem rozwoju gospodarczych inwestycji.

Pierwszym więc, najważniejszym ze wszystkich w tej chwili zadaniem naszej narodowej gospodarki planowej, jest zainwestowanie Polski do tego choćby poziomu, jaki jest w Czechach.

A na to nie wystarczy 5 lat, to program na conajmniej 25 lat. Jeżeli za 25 lat dogonimy Czechosłowację rozwojem naszych sił produkcyjnych, będzie bardzo dobrze.

Nie za wielka zaś to chyba ambicja.

Realizacja samego już tego programu da zatrudnienie całemu naszemu przyrostowi ludności. Toć żeśmy

w czerwcu 1936 mieli 164 tysięcy ludzi zatrudnionych w robotach publicznych – jeno niestety za pieniądze wyciągnięte ze społeczeństwa. Cyfra ta wszakże wyraźnie świadczy – że przy planowym, forsownym inwestowaniu Polski – będzie na dobrych kilka pięcioletek pracy dla paruset tysięcy ludzi.

Nie o chwilowe tylko nakręcenie koniunktury chodzi – ale o dwudziesto kilkuletni plan zaopatrzenia Polski w to wszystko, co u naszych zachodnich sąsiadów wzmaga wydajność i dochody z pracy, byśmy nie byli na szarym końcu kultury gospodarczej.

Nie robi i nie powinno robić tego bezpośrednio państwo. Ale, żeby to się naprawdę stało – musi państwo: a) skierowywać inicjatywy prywatno-gospodarcze tak, by szły nietylko do tych robót, przy których łatwiej zarobić, ale przede wszystkim tam gdzie są one potrzebne dla postępu całości narodowego ekonomicznego ustroju, – b) zasilać kierującą się ku potrzebnym naprawdę pracom przedsiębiorczość zarówno indywidualną jak zbiorową (spółkową, kooperatywną, komunalną) – tym czego najbardziej jej u nas brakuje, tj. kapitałem pieniężnym.

Planowe przez państwo kierowanie naszym gospodarczym rozwojem polegać więc u nas powinno przede wszystkim na opracowaniu obliczonego na przeszło 20 lat programu systematycznej rozbudowy wszystkich naszych sił ekonomicznych tak, by stać było wreszcie Polskę na zapewnienie pracy i chleba we własnym kraju

całemu swemu przyrostowi ludności, a dalej na wytwarzaniu dostatecznego zapotrzebowania na prace, program ten realizujące, oraz zaopatrywaniu przedsiębiorstw prace te wykonywujących w konieczne dla ich zorganizowania kredyty pieniężne.

Ośrodkiem więc narodowej naszej gospodarki planowej musi się stać obok odpowiedniego jej programu – organizacja oderwanego od złota, ściśle wewnętrznego, narodowego, systemu kredytowo-pieniężnego.

Będzie to niewątpliwie eksperyment dużej miary, nie mniejszy od przeprowadzanego dziś przez Schachta w Niemczech i Roosevelta w Stanach Zjednoczonych.

Ale doprawdy warto go zaryzykować, żeby uzyskać samodzielność gospodarczą. Bo zasadniczą cechą naszego obecnego ustroju społeczno-gospodarczego jest jego bierność.

VIII.

WŁASNYMI SIŁAMI.

Ostatnie 25-lecie przed wojną światową – to był okres szybkiego podnoszenia się powszechnego u nas dobrobytu: rozwijał się coraz silniej przemysł, podnosiły się płace robocze, przyływało do wsi naszych coraz więcej pieniędzy od wychodźców sezonowych, pracowały intensywnie kółka rolnicze, spółdzielnie kredytowe i spożywcze, podnosiła się wydajność pól i na folwarkach i w gospodarstwach chłopskich. I wraz z tym rosły w masach całego narodu optymizm, wiara we własne siły i ukochanie Polski. Im lepiej się w Polsce działo, tym bardziej klasowe myślenie wśród włościan i robotników ustępowało miejsca myśleniu narodowemu. Ten olbrzymi patriotyzm, który w czasie wojny światowej wykazały nasze masy ludowe, zrodził się naprawdę dopiero na przełomie przeszłego i obecnego stulecia.

Ale choć jemu przede wszystkim zawdzięczamy odzyskanie niepodległości, to jednak prawdą jest, że był on tylko w części naszym własnym wytworem. Praca narodowa inteligencji trafiała na podatny grunt serca i umysłu ludu – bo podnosił się stale poziom jego cywili-

zacyjnego życia – dzięki międzynarodowej współpracy gospodarczej.

Kapitalizm, który się był wykształcił w XVII i XVIII stuleciu w Anglii, Francji, Holandii i Belgii – w XIX wieku rozszerzał się coraz bardziej terytorialnie. W połowie ubiegłego stulecia objął on sobą Niemcy i Stany Zjednoczone oraz Szwajcarię, Danię, Szwecję, Austrię, Czechy, a później Włochy, wschodnią Europę, południową Amerykę, Japonię, południową Afrykę.

W przededniu wojny światowej ogarnął on swymi wpływami całą kulę ziemską. Ale nie wszędzie był taki sam.

Wytworzyły się narody czynnego kapitalizmu i narody kapitalizmu biernego. Do tych ostatnich należała Polska.

I my, jak Anglia i Francja, mieliśmy wielko-kapitalistyczny przemysł górniczy, hutniczy, fabryczny. I u nas powstawały spółki akcyjne. I u nas były giełdy papierów procentowych. I u nas praca w kopalniach i fabrykach podnosiła skalę życiową mas ludowych. I u nas przybywało maszyn i rosły kapitały rzeczowe: urządzenia fabryczne, melioracyjne, linie kolejowe...

Ale nie tylko tego wszystkiego dobrego było u nas o wiele mniej, niż w krajach czynnego kapitalizmu, co o wiele jeszcze ważniejsze: nasz przemysł rozwijał się z inicjatywy i przyływem obcych kapitałów pieniężnych, masy naszych małych rolników znajdowały zarobek w kopalniach, fabrykach zagranicznych, nasza produkcja

przemysłowa, choć znacznie mniejsza od francuskiej, angielskiej czy niemieckiej, w większym jeszcze od tej ostatniej stopniu, była przeznaczona dla obcych rynków, bo nasze polskie rynki były zbyt biedne dla jej skonsumowania.

Cały niemal nasz przedwojenny postęp ekonomiczny był dziełem sił, istniejących poza Polską. Byliśmy biernym produktem rozwoju światowego kapitalizmu, a nie jego czynnikiem. Wprawdzie i wiele innych krajów, które już w drugiej połowie przeszłego stulecia: jak Niemcy, Dania, Czechy, Austria, doszły do czynnego kapitalizmu – zaczynały od biernego. I być może, gdyby ten okres powszechnej międzynarodowej współpracy, który panował od wojen napoleońskich po wielką wojnę światową, trwał jeszcze pół stulecia – to i my wreszcie uzyskalibyśmy czynną w tej współpracy pozycję.

Ale i brak własnego państwa i rozdarcie na trzy zabory i fatalny upadek dziejowy po egoistycznej i krótkowzrocznej stanowej polityce szlacheckiej XVII i XVIII wieku – to wszystko opóźniało ogromnie usamodzielnienie się gospodarcze Polski.

I to jest główną przyczyną naszej ekonomicznej niedoli, żeśmy weszli w powojenny okres zamierania międzynarodowej współpracy, a natomiast coraz silniejsze go zaostrzania się po 1929 roku walk międzynarodowych na wszelkich rynkach, zarówno towarowych jak i pieniężnych i pracy – gospodarczo bierni, bez własnych czynników niezbędnego dla wyżywienia choćby całego

przyrostu ludności a tymbardziej dla zdobycia rzeczywistej mocarstwowej siły, postępu sił wytwórczych.

Niedola ta zaś przemieniła się dziś niemal w tragedię, – bo z niej do ostatnich czasów nie zdawaliśmy sobie należycie sprawy. Byli tacy, co, gdy zaczął się kryzys światowy, cieszyli się, że mamy bardziej od innych prymitywną strukturę ekonomiczną, mniej miast i przemysłu, że umiemy lepiej od bogatszych narodów zność biedę.

A niemal wszyscy, dopóki tylko była najmniejsza choćby nadzieja uzyskania zagranicznych pożyczek – za szczyt powodzenia naszej polityki ekonomicznej uważali uzyskanie przypływu obcych kapitałów. Tak przywykliśmy do tego, że postęp ekonomiczny dają nam zagraniczne pieniądze, jak chromy do chodzenia o kulach. Niezdawaliśmy sobie wprost sprawy z naszego kalectwa.

Więc go też nie leczylimy.

Zmarnowaliśmy pierwszych 16 lat naszej niepodległości na „odbudowywanie“ przedwojennego „normalnego” życia gospodarczego, do którego powrotu już naprawdę nie było, zamiast korzystać z odzyskanej samodzielności państwowej dla zbudowania podstaw gospodarczej również naszej samodzielności.

Nie rzucam za to na nikogo kamieniem. Bośmy wszyscy błędzili.

Ale jest stare nasze przysłowie: „mądry polak po szkodzie“. Dość już ponieśliśmy szkody, – byśmy zaczęły być wreszcie mądrymi.

Ustała nie tylko międzynarodowa współpraca gospodarcza. Ustało też naśladowanie przez społeczeństwa biedne i mniej cywilizowane narodów przodujących w postępie ekonomicznym. Rozeszły się drogi rozwoju społeczno-gospodarczego różnych państw.

W odmiennym kierunku od całej reszty cywilizowanego świata poszła Rosja. Własną też drogą poszły Włochy. Same sobie wytyczają swoją dziejową drogę Niemcy. A i Stany Zjednoczone nie kroczą utartymi drogami.

I my musimy zaprzestać „przetrzymywania” tego, co się w świecie dzieje i „dopasowywania się” do zmian poza nami się dokonywujących.

Coraz powszechniej zaczynamy już wszyscy rozumieć konieczność samodzielnej, czynnej polityki ekonomicznej.

Coraz więcej i coraz rozumniej mówi się i pisze nie tylko o aktywizacji naszego życia gospodarczego, ale i o planowej przebudowie całego naszego ustroju ekonomicznego.

I zwraca się przy tym uwagę na różne jego niedomagania. Bo ich jest naprawdę bardzo dużo.

Ale najgłębszym, najbardziej podstawowym niedomaganiem naszego życia ekonomicznego jest brak własnych, samodzielnych podstaw postępu naszego bogactwa.

Stworzenie ich musi więc być naczelnym zadaniem reformy naszego społeczno-gospodarczego ustroju.



Nie jest dziś Polska w stanie dać pracę i zarobek całemu swemu przyrostowi ludności.

Bo żyjemy w ustroju biernego kapitalizmu. Tak samo, jak w krajach czynnego kapitalizmu, motorem całego gospodarczego postępu jest i u nas nagromadzenie się kapitałów pieniężnych drogą prywatnej kapitalizacji. Ale własna nasza prywatna kapitalizacja wystarcza dziś dla zapewnienia produkcyjnych zatrudnień conajwyżej połowie naszego naturalnego przyrostu ludności. Dotychczasowy rozwój naszego przemysłu i wzrost dobrobytu mas drobnego włościanstwa od 1880 do 1929 r. osiągałyśmy dzięki pomocy zagranicznej prywatnej kapitalizacji.

Główny motor naszego gospodarczego postępu znajdował się poza Polską. Więc w miarę jak malała międzynarodowa współpraca gospodarcza, tempo naszego postępu gospodarczego słabło. Przypominam, że w 1928 r. mieliśmy mniejszą produkcję przemysłową niż w 1913 r. A gdy współpraca ta ustała niemal zupełnie po 1929 r. — zaczęliśmy się w dobrobycie naszym szybko cofać.

Cóż na to za rada?

Najprostszy zdawałoby się sposób przewyciężenia tej naszej gospodarczej bierności, to wzmóc prywatną naszą kapitalizację i w tym kierunku szły niemal wyłącznie i dziś jeszcze idą rady ekonomistów oraz żądania tzw. „sfer gospodarczych“. Więc żąda się ograniczenia wszelkich przerostów gospodarki publicznej, usunięcia nadmiernej kontroli biurokracji państwowej nad przed-

siębiorczością indywidualną, zasadniczej zmiany stosunku władz do obywateli, by dorabianie się nie było szukanowane, ale zachęcane...

Są to postulaty niewątpliwie słuszne.

I ja też jeszcze w 1933 r., w zakończeniu mej Ekonomii Społecznej wskazywałem na wytworzenie od dołu rodzimej warstwy przedsiębiorczej, jako na główną dźwignię, która wydobędzie nas z biernego kapitalizmu i podniesie na równy z krajami czynnego kapitalizmu poziom niezależności gospodarczej.

Ale od tej chwili zaszły w świecie dwa przełomowe fakty:

- 1) zwycięstwo narodowego socjalizmu w Niemczech,
- 2) reforma walutowa w Stanach Zjednoczonych.

Kryzys światowy i spowodowana nim niewypłacalność państw i narodów dłużniczych, zmusił szereg najbogatszych krajów do zastosowania ograniczeń wolnego obrotu towarowego i pieniężnego dla obrony własnych bilansów płatniczych. Ale te ograniczenia były wprowadzone jako doraźne, tymczasowe zabiegi ochronne z niewątpliwym zamiarem usunięcia ich, gdy tylko wróci ożywienie na rynkach światowych.

Więc można było oczekiwać, że gdy kryzys minie, wróci międzynarodowa współpraca.

Gdy jednak Roosevelt, odrywając banknoty dolarowe od złota, odebrał dolarowi znaczenie pieniądza międzynarodowego i uczynił zeń pieniądz państwowy, gdy - co więcej - odrzucił on na konferencji londyńskiej

myśl ustalenia stałego między walutami poszczególnych państw stosunku wymiennego – jasnym jest, że na bardzo długo (bo nie sędzę jednak, by na zawsze) zasadą organizacji pieniężnej świata stała się nacjonalizacja walut, niezależne jedne od drugich pieniądze państwowe, a wraz z tym ograniczenie do minimum wolności międzynarodowego obrotu pieniężnego.

A zwycięstwo Hitlera w Niemczech, z gruntu podważając ustalone traktatem wersalskim międzynarodowy układ polityczny świata – zmusiło większość krajów europejskich do podporządkowania swej gospodarki społecznej konieczności obrony niezależności narodowo-państwowej.

Z punktu widzenia czysto gospodarczego jest to nonsensem, że mieszczanin francuski, niemiecki, czeski płaci za chleb dwa razy drożej, niżby go kosztował w razie wolnego bez cła przywozu pszenicy argentyńskiej. Ale cóż z tego, kiedy woli on wydawać dziś więcej na chleb i mąkę, niż ulec w przyszłości wskutek niesamodzielności gospodarczej najazdowi obcych wojsk.

Nad całym cywilizacyjnym życiem Europy ciąży widmo nowej światowej wojny. A wobec tego gospodarka światowa rozpada się na coraz bardziej samowystarczalne narodowo państwowe systemy społeczno-gospodarcze.

Lecz gdy zdamy sobie w pełni sprawę z tego, że za życia dorastającej obecnie generacji międzynarodowa współpraca nie wróci, to nie sposób nie widzieć, że nie mamy zapewnionego ani pokoju zewnętrznego, ani od-

porności mas ludowych na bezrobocie przez lat tyle, wieleby ich trzeba dla „naturalnego“, drogą prywatnych oszczędności narośnięcia kapitałów, niezbędných dla zdobycia czynnej w świecie kapitalistycznym pozycji.

Program zachęcenia indywidualnych incjatyw gospodarczych jest słuszny – ale nie wystarczający.

Liberalna ekonomia nie wystarcza już dziś nam (w Anglii i Francji – może być jeszcze zupełnie odpowiednią) dla wytyczenia drogi wyjścia z pogłębiającej się od lat biedy.

Bo nie daje ona odpowiedzi na pytanie, jak osiągnąć samodzielność gospodarczą, jak wyjść z biernego kapitalizmu bez przyływu obcych kapitałów, gdy własna prywatna kapitalizacja jest zbyt słabą dla zatrudnienia całego przyrostu ludności.

Ale z tego bynajmniej nie wynika, że należy przerzucić się w drugą krańcowość, ku upaństwiawianiu przedsiębiorczości. Pomysły upaństwowienia wielkiego przemysłu górniczego i fabrycznego z tej racji, iż jest on w większości własnością obcych kapitalistów, są bardzo niebezpieczne.

Nie grzeszy nasze społeczeństwo nadmiarem inicjatyw indywidualnych. Idealem 99 setnych naszej inteligencji jest spokojna „posada“. Etatyzm wzmaga u nas zawsze biurokratyczną martwość.

Przykład istniejących przedsiębiorstw państwowych jest odstrasżający.

Pierwszym, nieuchronnym u nas skutkiem upaństwo-

wienia wielkiego przemysłu – byłyby stałe jego deficyty. A na pokrycie tych deficytów trzeba by obciążyć dodatkowymi jeszcze podatkami, rolnictwo, rzemiosło i średni przemysł fabryczny.

Do unarodowienia przedsiębiorstw akcyjnych można dojść inną drogą, przez zniesienie anonimowości akcji i zapewnienie w spółkach tych większości akcjonariuszom polskim, a wśród nich robotnikom.

Ale gdy się raz zacznie upaństwowiać fabryki, to nie wiadomo, gdzie się to skończy...

Polska planowa gospodarka narodowa musi pójść w kierunku diametralnie odwrotnym od planowej gospodarki sowietów.

Bo wręcz odmienne są cele cywilizacji polskiej niż rosyjskiej. Więc nie zabijać prywatną przedsiębiorczość i prywatną kapitalizację naszej gospodarki planowej, lecz uzupełnić ją inicjatywą państwową w tym, czego ona sama dać nie może, a naco czekać już dłużej nie możemy.

Są w kraju duże zasoby surowców, są siły napędowe, są setki tysięcy rąk roboczych, są talenty organizacyjne i wiadomości techniczne lecz niewyzyskane z tego tylko powodu, że brak niezbędnych dla połączenia ich i uruchomienia kapitałów pieniężnych – bo nasza prywatna kapitalizacja jest za mała, a obce kapitały przestały do nas napływać.

Dłuższe trwanie tego stanu grozi katastrofą. Więc musimy znaleźć zeń drogę wyjścia. Te uzupełniające naszą

niedostateczną prywatną oszczędność kapitały, które dawniej dawała nam międzynarodowa wymiana pieniężna, a których brak obecnie powoduje nieustanny z roku na rok wzrost bezrobocia – musi wytworzyć inicjatywa państwowa.

By Polska przestała być krajem biernego kapitalizmu – konieczne jest, żeby jej kapitały produkcyjne narastały szybciej, niż jest je w stanie zwiększać nasza prywatna kapitalizacja.

A gdy na przyływ obcych kapitałów liczyć nie możemy – zatem jedna jedyna dziś do samodzielności gospodarczej i czynnej w świecie pozycji ekonomicznej prowadzi nas droga: – wyjście z ustroju, w którym o tempie przyrostu sił wytwórczych i dochodów społeczeństwa decyduje w ostatecznej instancji gromadzenie kapitałów pieniężnych przez indywidualną oszczędność.

Gotowych jednak wzorów tego rodzaju reformy ustroju społeczno-gospodarczego nie znajdziemy za granicą. Bo wzoru sowieckiego naśladować nie chcemy.

A ani faszystowskie Włochy, ani narodowo-socjalistyczne Niemcy nie musiały uzupełniać braków prywatnej kapitalizacji, gdyż od dawna były społeczeństwami kapitalistycznie czynnymi.

Nie wolno nam mieć ciasnych ambicji narodowych. Bo inaczej zginiemy. Musimy chcieć nie tylko wydobyć się z bierności gospodarczej, nie tylko zatrudnić nasz przyrost ludności – lecz i dorównać sumą sił wytwórczych i stopą cywilizowanego życia najszerszym mas

ludowych zachodnim sąsiadom. Nie możemy też uważać nadal za normalne, że 80% naszych rodzin żyje w jednoizbowych mieszkaniach, gdy w Anglii mieszkań takich jest 8%. A dla zapewnienia wyższej skali życiowej warstwom ludowym, trzeba nie tylko wzmoczyć tempo przyrostu majątku i dochodu narodowego, ale uczynić sprawiedliwszym jego podział.

Zadania narodowej gospodarki planowej muszą być wielkie i rozległe, jak wielkie i rozległe są cele i ambicje naszej narodowo państwowej cywilizacji.

Więc narodowa gospodarka musi stworzyć środki potrzebne i dla zapewnienia bezpieczeństwa naszych granic i dla zdobycia poczesnego miejsca wśród innych narodów chrześcijańskim naprawdę charakterem naszego państwa, i dla wytworzenia spójni wewnętrznej między klasami, bez której nie ziszczymy naszych dziejowych ambicji, i dla znormalizowania naszej struktury społecznej, karykaturowanej przez nadmierne przerosty obcych w niej ciał.

Ale pierwszym, najbardziej podstawowym warunkiem osiągnięcia tych wszystkich zadań, jest wytworzenie tempa narastania naszych własnych krajowych kapitałów, wystarczającego dla zatrudnienia produkcyjnego całego naszego przyrostu ludności.

Do tego jednak konieczne jest szczere i jawne oderwanie naszej waluty od złota.

Bo póki będziemy nasz obrót pieniężny uzależniali od ilości nosiadanego złota – to bez zagranicznych pożyczek

nie powiększymy żadną miarą naszych kapitałów pieniężnych, gdyż nie mamy ani krajowych kopalń złota, ani czynnego bilansu płatniczego.

A tymczasem w ogromnej większości państw kruszcowe pokrycie banknotów – jest dziś teoretyczną fikcją.

Fikcją jest bowiem, iż banknot zastępuje jedynie walutę złotą, a nie jest sam przez się pieniądzem, gdy wymienialność banknotów na złoto jest zawieszona, a kruszcowe ich pokrycie nie sięga połowy ich wartości.

Kurs banknotów o zawieszonej czy silnie ograniczonej wymienialności na złoto, naprawdę nie zależy od tego, wiele leży w skarbcu banku emisyjnego złota, czy starczy go na pokrycie 100% jak w Szwajcarji, czy tylko 2% emisji banknotów jak w Niemczech.

Decyduje o nim stosunek zaofiarowania i zapotrzebowania waluty krajowej do zaofiarowania i zapotrzebowania walut obcych. Dlatego też kraje o biernym bilansie płatniczym, o ile nie chcą się wyzbywać posiadanych zapasów złota, bronią kursu swych banknotów za pomocą reglamentacji obrotu dewizami i, jak doświadczenie wskazuje, bronią go w ten sposób skutecznie.

A jeszcze mniej zależy od kruszcowego pokrycia siła nabywcza banknotów w stosunku do towarów.

O niej decyduje – jak już to wyjaśniłem – wyłącznie stosunek tempa, w jakim wzrasta lub spada ilość emitowanych banknotów do tempa, w jakim wzrasta lub spada suma dochodów i majątku społeczeństwa.

Bo współczesny, mniej niż w połowie pokryty złotem

i z reguły nie wymienialny na nie banknot, jest reprezentantem nie tego złota, lecz części dochodu i majątku społecznego.

Więc nic poza pewną rutyną myślową nie stoi na przeszkodzie uniezależnienia naszego systemu walutowego od bardzo już szczupłych i na znaczne powiększenie których nie możemy serio w bliskiej przyszłości rachować zapasów złota.

Najpewniejszym zabezpieczeniem nabywczej wartości współczesnych banknotów jest produkcyjność kredytów przez bank emisyjny udzielanych. Jeśli powiększeniu się emisji banknotów towarzyszy równomierny wzrost produkcji i dochodów społeczeństwa, siła nabywcza pieniędzy nie spadnie, choćby ich ilość wzrosła wielokrotnie. Natomiast jeśli nieznacznie nawet powiększymy emisję banknotów, ale wydamy je na nieprodukcyjne kredyty, – będzie to inflacją szkodliwą.

A jeśli będziemy zwiększać emisję banknotów na finansowania robót inwestycyjnych, które podniosą dochód społeczny, ale dopiero po dłuższym szeregu lat, w takim razie wytworzy się tendencja zwykła, trwająca do czasu, dopóki inwestycje te nie zaczną dawać dochodu. Jeśli zaś obok tych, na dalszą przyszłość obliczonych inwestycji, będziemy prowadzić w szerszych od nich rozmiarach inwestycje, natychmiast lub conajwyżej po paru latach się rentujące – zwykła cen będzie umiarkowana.

We wszystkich jednak krajach, które przewyżczyły

u siebie kryzys, ceny mają wyraźną tendencję powrotu do poziomu z 1928 r. Nie może więc nam chyba zależeć na utrzymaniu nadal najniższego ich niemal w świecie wskaźnika.

Uniezależnienie więc emisji banknotów od posiadanych zapasów złota – byle rozumnie przeprowadzone – nie grozi zgola załamaniem się kursu czy wartości nabywczej naszych pieniędzy. Bo i dziś są one – powtarzam – w rzeczywistości reprezentantami nie złota, ale majątku i dochodu społecznego. Możemy je zaś jeszcze silniej z majątkiem tym związać, dając im za podkład obok złota, wartość np. lasów państwowych. Pokryciem marki rentowej w Niemczech były tylko hipoteki. Złoty o kruszcowo-hipotecznym pokryciu nie byłby od niej gorszy.

A wtedy będziemy w stanie przez odpowiednią kredytową politykę banku emisyjnego nie tylko powiększyć sumę kapitałów pieniężnych do normy, koniecznej dla uruchomienia i zespolenia istniejących w kraju surowców, rąk roboczych, wiadomości technicznych i umiejętności organizacyjnych w procesach produkcyjnych, zwiększających nasze siły wytwórcze i dających pracę i zarobek całemu przyrostowi ludności. Ale, co niemniej ważne, będzie można skierowywać te kapitały do tych gałęzi produkcji i tych przedsiębiorstw, których rozwój leży w interesie postępu całości naszego narodowego życia gospodarczego, gdy obecnie idą one tylko tam, dokąd je przyciągają największe indywidualne zyski.

IX. 25 LAT RÓWNANIA W GÓRĘ.

Na prymitywizmie gospodarczym nie można opierać potęgi mocarstwowej. Los Abysynii jest niezwykle wymowną przestrogą.

Więc musimy wszystko możliwe zrobić, by dorównać zachodnim sąsiadom siłą wytwórczą naszego społeczeństwa.

Stać się to musi naczelnym celem całej naszej polityki ekonomicznej i narodową naszą ambicją.

Nie osiągniemy jednak równej choćby Czechosłowacji i Danii wydajności naszych pól i fabryk, dopóki nie zwiększymy conajmniej trzykrotnie procentu ludności zatrudnionej w przemyśle przetwórczym.

A tego nie da się zrobić ani w trzy, ani w pięć, ani w dziesięć lat.

Bo nie wystarczy dostarczyć przedsiębiorcom przemysłowym największych choćby kredytów.

Nikt nie zbuduje fabryki dlatego tylko, że mu zaofiarowano potrzebne na to kapitały pieniężne. Nikt nawet istniejącego przedsiębiorstwa nie rozszerzy – o ile nie będzie miał zapewnionego na zwiększoną produkcję zbytu.

Więc w okresie powszechnego kontyngentowania zagranicznych importów, gdy na to, by zyskać większy wywóz swych towarów za granicę, trzeba samemu też więcej z zagranicy sprowadzać – o tempie rozwoju produkcji krajowej decyduje obok tempa narastania kapitałów pieniężnych również i tempo podnoszenia się zapotrzebowania i siły nabywczej rynku wewnętrznego.

Ten wzrost zapotrzebowania na przetwory przemysłowe może w pewnym stopniu wytwarzać państwo, budujące nowe linie kolejowe, inicjując towarzystwa żeglugi morskiej, regulując rzeki, rozszerzając sieci gościńców, organizując na wielką skalę drenowania pól włościańskich oraz fortyfikując granice. Ale w ten sposób można zapewnić bezpośrednio poważny wzrost zbytu tylko pewnej, stosunkowo nieznacznej liczbie gałęzi przemysłu: hutom, fabrykom maszyn, cementu, cegielniom, kamieniołomom...

A na ubrania, obuwie, meble, naczynia kuchenne, plugi, kosy, siekiery, cukier, naftę... wzrośnie wskutek tych prac inwestycyjnych, organizowanych przez państwo, zapotrzebowanie pośrednio, dzięki zwiększonej sile nabywczej ludności, która w pracach tych znalazła zarobek.

Niewątpliwie im większe dzięki inicjowanym, finansowanym i prowadzonym przez państwo pracom inwestycyjnym nagromadzać się będą kapitały pieniężne i rzeczowe w kraju – tem szybszy też będzie rozrost wszelkich gałęzi przemysłu. Ale w najlepszych nawet warun-

kach w ciągu najbliższych 15 lat nie będzie się zwiększać liczba pracowników przemysłowych, handlowych i komunikacyjnych ponad 250.000 rocznie. Więc po 15 latach najintensywniejszej rozbudowy przemysłu przy pomocy szerokiej akcji kredytowej Banku Polskiego i prowadzonych niezmordowanie przez państwo robót inwestycyjnych możemy dojść do zwiększenia o 50% liczby zatrudnionej w przemyśle, handlu i komunikacji ludności, tj. równego Danii uprzemysłowienia kraju. Dla zwycięskiego stawienia czoła Niemcom własnymi siłami – to jeszcze za mało.

Zatem realny program dorównania rozwojem sił przemysłowych krajom zachodnio-europejskim musi być obliczony conajmniej na 25 lat.

Gdy pomyślimy, że w ciągu ubiegłych 16 lat nie zdołaliśmy odzyskać nawet przedwojennego poziomu produkcji przemysłowej – to program podwojenia procentu ludności przemysłowej w ciągu 25 lat, musi się wydać nazbyt optymistycznym, wręcz fantastycznym.

A gdy przypomnimy sobie, w jak zawrotnie szybkim tempie rósł przemysł niemiecki w ostatniej ćwierci ubiegłego wieku, gdy zastanowimy się chwilę nad tem że narodowo-socjalistyczna polityka ekonomiczna zdołała w ciągu niespełna 3 lat dać zatrudnienie 4 milionom bezrobotnym i całemu nowemu w tym czasie przyrostowi ludności, – to plan zwiększenia w ciągu 25 lat liczby pracowników górniczych, hutniczych, fabrycznych, ręk-

kodzielniczych, handlowych i komunikacyjnych o 6 milionów uznamy raczej za skromny.

Przez 16 lat nie postąpiliśmy o krok naprzód w rozwoju przemysłowym. Bo trwaliśmy niezmiennie w ustroju biernego kapitalizmu, przy którym główne motory naszego ekonomicznego postępu znajdują się zagranicą a tymczasem międzynarodowa współpraca po wojnie z roku na rok słabła.

Ale wystarczy nam wyjść z tego ustroju, uniezależniając nasz system walutowo-kredytowy od zbyt szczupłych zasobów złota i uzupełniając niewystarczającą prywatną kapitalizację za pomocą finansowanych przez Bank Polski, organizowanych i przeprowadzonych przez państwo wielkich robót inwestycyjnych – by otwarła się przed nami droga gospodarczego rozwoju, idąca nie mniej silnie w górę niż idzie w krajach zachodnich czynnego kapitalizmu.

By jednak naprawdę pójść po tej drodze – trzeba nie tylko publicznych robót inwestycyjnych i reformy walutowej, zrywającej z fikcją, iż banknoty reprezentują złoto, a nadającej im wyraźny charakter reprezentantów majątku i dochodu społecznego przez zamianę pokrycia złotego na kruszcowo-hipoteczne; trzeba jeszcze poza tem planowego kierowania przez państwo przepływem kapitałów pieniężnych do poszczególnych gałęzi przemysłowej i rolniczej, oraz przemysłu komunikacyjnego i handlu.

Bo gdy rozwój naszych sił wytwórczych opierać mu-

simy całkowicie na wzroście siły nabywczej rynku wewnętrznego, decydującej przy systemie wyrównawczych umów kontygentowych nawet o rozmiarach naszego eksportu, to postęp jakiegokolwiek gałęzi produkcji będzie o tyle tylko możliwy, o ile równocześnie podniesie się siła nabywczą warstwy, głównym będącej odbiorcą odnośnych wytworów. Nie podniesiemy naszej produkcji masła i mięsa dla rynku krajowego, jeśli nie będzie się podnosić suma zarobków pracowników przemysłowych. Odwrotnie, nie podniesie się produkcja kos, o ile nie podniosą się dochody włościan dzięki wzmożonej ich produkcji nabiału i opasów. A że wyjątkowo producenci jakiegoś towaru są zarazem głównymi odbiorcami dóbr, wytwarzanych przez konsumentów tego ich towaru – więc w systemie samowystarczalnej społecznej gospodarki, rozwój każdej gałęzi przemysłu i rolnictwa jest uzależniony od równoczesnego rozwoju wszystkich innych działów wytwórczości krajowej.

Brak należytego przyływu kapitałów pieniężnych do jednej gałęzi przemysłu, powoduje w ustroju autarkicznym zatrzymanie się w swoim rozwoju nie tylko jej, lecz i licznych innych działów przedsiębiorczości.

Warunkiem ciągłego i możliwe szybkiego rozrostu sił wytwórczych kraju jest w tych warunkach jak najrówniejsze tempo rozwoju wzajemnie od siebie zależnych gałęzi produkcji.

Nie wyrówna jednak tego tempa prywatna kapitalizacja i prywatna akcja kredytowa.

Może to skutecznie czynić tylko poddany całkowicie kierownictwu państwowemu system kredytowy.

Nie jest – powtarzam – zadaniem polskiej gospodarki planowej upaństwowiać jakikolwiek dział produkcji. Wręcz przeciwnie, powinna ona zachęcać jak najbardziej inicjatywę prywatną, stwarzać nawet warunki, w którychby młodzi przedsiębiorcy, posiadający odpowiednią wiedzę fachową polacy, mogli, nie mając nawet własnego kapitału, zakładać pożyteczne dla gospodarczego i cywilizacyjno-narodowego postępu kraju, czy też pewnych miast i okolic przedsiębiorstwa. Ale zadaniem jej jest poddać planowemu kierownictwu państwa, obliczonemu na 25 lat równania sił wytwórczych w górę, aż do poziomu zachodnich sąsiadów, nie tylko wytwarzania się kapitałów pieniężnych, koniecznych dla uruchomienia istniejących w kraju surowców, sił roboczych i umiejętności technicznych, ale i ruch kapitałów, przypływ ich do poszczególnych gałęzi produkcji i rodzajów przedsiębiorstw.

Ostatnia faza rozwoju kapitalizmu światowego poddała i narastanie i obieg kapitałów, a wraz z tym i całą przedsiębiorczość społeczeństw, planowej gospodarce koncernów i holdingów.

Przyszła teraz czas zamiany tej planowej gospodarki międzynarodowej finansjery na planową gospodarkę narodowo-państwową.

Czyni to po części w Stanach Zjednoczonych Roose-

velt, choć tamtejsza finansiera jest przeważnie rodzima i dominuje nad wielu innymi krajami.

Tembardziej myśmy to powinni zrobić, bo nasza finansiera jest za małymi wyjątkami obca, a przy tem za słaba, by zapewnić nam czynną w świecie gospodarczym pozycję. Niezależność ekonomiczną i konieczny dla mocarstwowej przyszłości postęp sił wytwórczych dać nam może tylko oparta o narodowy system kredytowo walutowy i kierowana przez państwo z myślą o całości naszego życia cywilizacyjno-gospodarczego – gospodarka planowa.

X. RAZ JESZCZE O POLITYCE I MORALNOŚCI.

Powiedziałem w jednym z poprzednich rozdziałów, że pustym frazesem będzie dążenie do państwa chrześcijańskiego bez skutecznej walki z pogłębiającą się dziś z roku na rok biedą najszerszych warstw naszej ludności.

Ale jeśli nie da się realnie uzdrowić naszych wewnętrznych stosunków politycznych i podnieść poziomu moralności publicznej bez równoczesnej poprawy naszego gospodarczego położenia – to z drugiej strony zawiodą wszelkie wysiłki przezwyciężenia ekonomicznego kryzysu – o ileby miał nadal trwać i pogłębiać się kryzys moralno-polityczny. Bo narodowa gospodarka planowa – prowadzona bez wiary w nią całego społeczeństwa i bez rzetelnego współdziałania ogółu obywateli i rządu z ogółem obywateli – będzie karykaturą.

Dziwna rzecz, jak u nas chętnie są powtarzane przezające zdrowemu rozsądkowi paradoksy. Za czasów sa- skich popularnym był nonsens, że Polska nieczładem stoi. Dziś nie tylko wśród licznych władców Polski, województwa, powiatu czy gminy, lecz i wśród o wiele jeszcze licz-

niejszych kandydatów do tych dygnitarstw – z lubością się powtarza słowa Wielopolskiego, że można „dużo dobrego zrobić dla Polski – ale bez polaków“.

A tymczasem właśnie w Polsce niczego się dobrego nie da zrobić bez narodu i właśnie dzieje Wielopolskiego są tego najlepszym dowodem.

Bez szczerego współdziałania władz państwowych ze społeczeństwem zostanie spaczona nawet obwałowywanie rzek, drenowanie gruntów, budowanie nowych gościńców. Bo jeśli nadal będzie trwać dzisiejsze dzielenie wszędzie i zawsze ludzi na „swoich“ i „nieswoich“ – to to wszystko będzie robione nie dla dobra kraju, powiatu, gminy, ale dla „swoich“. A i wśród „swoich“ odepchną zawsze w „wyścigu do korzyści“ prawdziwych pierwszobrygadzystów przeróżni „kombinatorzy“ z dziesiątej, czy piętnastej brygady.

Toć były ostatnimi laty u nas wypadki drenowania choćby piasków z oczywistą stratą dla właścicieli – ale korzyścią dla kombinatora, co te „melioracje“ przeprowadzał...

Dziś przeciętny obywatel, gdy się dowiaduje, że się coś nowego w jego mieście czy powiecie inicjuje, najczęściej nie pyta się: na co to jest potrzebne, jaka z tego będzie korzyść dla postępu życia gospodarczego czy narodowego, jeno „komu to potrzebne, kto ma na tym zarobić?“.

By dojść do lepszej Polski, zmienić musimy radykalnie kierunek całej naszej dotychczasowej ewolucji go-

spodarczej. Poprowadziła nas ona dotychczas i prowadzi jeszcze coraz bardziej w dół, ku stałemu pomniejszaniu przypadającego na głowę ludności majątku i dochodu narodowego. A na rosnącej biedzie nie oprze się postępu moralnego i cywilizacyjnego.

Ale również, by dojść do Polski zdolnej własną siłą wyżywić cały swój przyrost ludności, trzeba zmienić z gruntu kierunek dotychczasowej ewolucji naszej moralności obywatelskiej.

Ani lepszej, ani bogatszej Polski nie stworzy się nakazami jeno z góry. – Trzeba ją budować zarazem od dołu, zbiorowym całego ogółu obywateli wysiłkiem.

A tymczasem coraz mniej się stajemy zdolni do wielkiego zbiorowego wysiłku. Bo całe nasze życie wewnętrzno-polityczne streszcza się coraz bardziej w walkach jeno, rozgrywkach i intrygach o władzę nietylko w państwie, lecz i w każdym mieście, województwie, powiecie a nawet poszczególnych stowarzyszeniach i stronnictwach. Nietylko u góry dzieli się coraz ostrzej polaków na prawomyślnych i nieprawomyślnych. Dzieje się to dziś wszędzie.

Ponastawiono niepomierne wiele dzielących naród przegródek. Bo każdy „wódz” – a kandydatów u nas na Mussoliniego, Hitlera, czy spadkobiercę Marszałka nie brakuje – odgradza skrzętnie swój obóz, czy swoją grupę, by mu się nie zbałamuciła ideowo, zanim przyjdzie „jego godzina”.

I tak skrzętnie zostaliśmy dziś ze wszystkich stron na

swoich i nie swoich podzieleni, że kto, jak Paderewski, swym geniuszem zawsze tylko sprawie narodowej ofiar nie służył, a nigdy nie używał swych wielkich naprawdę zdolności i niemniejszej hojności dla robienia sobie „swoich ludzi” – to nie ma dziś dla niego odpowiedniego miejsca w Polsce.

Nie przewyżcimy potrójnego kryzysu (ekonomicznego, politycznego i moralnego) dławiącego dziś całe nasze życie, nie przewyżając przede wszystkim w nas samych nazbyt rozpanoszonego władczego stosunku do Polski i do ludzi. Tak – i do Polski i do ludzi.

Bo nie tylko fałszywy jest stosunek do narodu i państwa tych wszystkich, co się zapatrzyli na wzory monopartyjnych rządów we Włoszech, Niemczech i ich praźródle – Sowietach. Równie fałszywy jest stosunek wszelkiej dziś u nas władzy, nie tylko państwowej, lecz i partyjnej i kierującej współpracą gospodarczą w fabrykach, kopalniach, warsztatach, na folwarkach, do człowieka.

Każdy, sprawujący „władzę” chce dziś być przede wszystkim „mocnym”, „trzymać za pysk”, żąda ślepego posłuszeństwa. Całą naszą cywilizację i polityczną i społeczno-obywatelską i ekonomiczną od 9 lat na gwałt się „koszaruje”. I pędzi się precz z niej wszelkie współzucie z bliźnim, jako niegodne prawdziwie męskiego narodu. Toć przed ostatnimi wyborami z bardzo wysokiego miejsca powiedziano, że lepszym kandydatem na posła jest podoficer, mający poczucie wojskowej karności, od rozczulającego się nad biedą chłopską inteligenta. Bo-

dej obecni ministrowie już tak nie mówią i nie myślą. Ale czy to idealizowanie koszar, jako wzoru dobrze zorganizowanego społeczeństwa, ustało i we wszystkich urzędach I-ej instansji? Czy nie trwa ono nadal nietylko w rządowych instytucjach, lecz i w przedsiębiorstwach prywatnych i w stronnictwach, a nadewszystko konspiracjach?

Hipnotyzowana bankietowanymi samochwalstwami i zajęta przede wszystkim rozgrywkami, jakie prowadzą między sobą różne koterje a także i stronnictwa, o przodujące w państwie miejsce, opinia nasza nie zdaje sobie dostatecznie sprawy z ogromu wysiłku, jaki jest konieczny, by naprawdę zapewnić Polsce należne jej miejsce w świecie.

Będąc jednym z najbiedniejszych w Europie narodów, w okresie wzmagających się w całym świecie walk ekonomicznych i politycznych między państwami dorównać w ciągu dwudziestu kilku lat wielokrotnie bogatszym sąsiadom rozwojem naszych sił wytwórczych – to naprawdę olbrzymie zadanie. A przecież bez zrealizowania go nie będziemy naprawdę mocarstwem, będziemy tylko nadal przetrzymywać lub nakręcać chwilowo konjunktury zarówno polityczne jak ekonomiczne.

Dla osiągnięcia jednak wielkich celów – trzeba nie tylko jaknajwiększego zespolenia wszystkich twórczych sił narodu, pousuwania więc większości dzielących nas dziś przegródek, lecz również wielkiego napięcia narodowej naszej ambicji.

Ale człowiek ma tylko jedną duszę.

Nie można zabijać w nim godności ludzkiej, samodzielnego myślenia w swym stowarzyszeniu, swej gminie, uczyć go chylenia karku przed każdym silniejszym i oczekiwać odeń bohaterstwa w razie walki z wrogiem zewnętrznym, czynnej o postęp gospodarczy całej Polski troski, ofiar i wysiłków w imię godności narodowej.

Nie zbuduje się potęgę mocarstwowej na słabości narodu i nie zbuduje się siły narodu na słabości człowieka.

Naród – to nie mechaniczny zespół ludzi, złączonych wspólną władzą. Nie tworzy narodu nawet wspólne pochodzenie rasowe, ani jedna nazwa. Tunguzi są rasą, grupą językową – ale nie są narodem.

Naród istnieje przez świadomość narodową swych członków. A treścią świadomości narodowej jest poczucie przynależności człowieka do wyższej ponad wszystkie inne, najbardziej syntetycznej wspólnoty, zespalającej nie tylko wszystkich jej żyjących w tej chwili członków, lecz i wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia w jedną cywilizacyjną, odrębną od innych, całość. I tym, co jednoczy obecną generację z całymi przeszłymi i przyszłymi dziejami narodu jest poczucie odpowiedzialności przed następnymi pokoleniami za przekazanie im nienaruszonego, a możliwie pomnożonego, dziedzictwa kulturalnego i politycznego, otrzymanego od poprzednich pokoleń.

Więc o sile narodu decyduje przede wszystkim istniejące w sumieniu jego członków poczucie odpowiedzialności za przyszłość ojczyzny.

Być może, gdzieindziej da się naprawdę to poczucie odpowiedzialności tresurą koszarową wytworzyć. Choć mam i pod tym względem duże wątpliwości. Ale niewątpliwie nasz naród się do tego zgoła nie nadaje. Im więcej jest państwowej u nas ostatnimi laty tresury – tym więcej jest rzeczywistej na sprawy państwowe obojętności.

Więc budowę lepszej Polski oprzeć musimy o poprawę stosunku nie tylko władz do obywateli, a obywateli, warstw i stronnictw do Polski, lecz i człowieka do człowieka.

A na to nie wystarczą najlepsze nawet programy. Konieczna jest na to idea – wznosząca naszą myśl i nasze uczucie ponad wszelki egoizm, idea narodowa nie pogańska, naprawdę chrześcijańska.

XI. CHŁOPI.

Z powodu Nowosielec opowiadało się u nas dużo rozmaitych plotek: podobno komuś tam nie podano krzesła, podobno kogoś nie zaproszono, podobno ktoś kogoś fałszywie informował, a nawet słyszałem (opowiadający przy tem zaręczał, że jest doskonale poinformowany), iż przemawiał tam gramofon ze sporządzoną w Czechach płytą. I snuło się w prasie, a jeszcze więcej w cichych rozmowach rodaków przeróżne domysły: co oznaczał uśmiech generała Rydza, czy i kiedy Witos wróci do kraju, czy utrzyma się „front Morges“, no i co o tem wszystkim myśli premier Sławoj, jaki będzie teraz kurs rządu wobec stronnictwa ludowego?

Tak samo dziś opowiada się, ale nie pisze, o różnych incydentach strejku chłopskiego, które jednych przerażają, drugich podniecają – snują się domysły o aresztowaniach działaczy stronnictwa ludowego w powiatach województwa warszawskiego, łódzkiego, kieleckiego, poznańskiego, lubelskiego, gdy wedle urzędowego komunikatu zaburzenia miały miejsce tylko w środkowej Małopolsce, – plotkuje się o komunistach, którzy jakoby wy-

sunęli się byli w różnych miejscach na czoło zbuntowanych mas chłopskich, o odgrażaniu się „panom i żydom“, o rozterkach wśród wysokich figur rządzącego obozu, rozbieżne wyciągających wnioski z przebiegu ro-dniowego demonstracyjnego strejku włóścian.

Tak to zawsze bywało i tak samo jest teraz: gdy społeczeństwo jest odsunięte od realnego wpływu na życie państwowe, a prasa podlega ścisłej cenzurze, wtedy nad myślą polityczną bierze górę polityczna plotka, a nad rozważaniem co czynić należy, wrózenie: co będzie.

Przecież jednak ostatnimi czasy zaczyna się budzić w obywatelach naszych poczucie odpowiedzialności za przyszłość Polski.

Sceptycy mówią, że to nieznaczna mniejszość tych, co chcą naprawdę o Polsce myśleć. Ale jutro już mogą oni być większością.

W 1772 r. Józef Wybicki nie mógł znaleźć w całej Rzplitej grodu, któryby się odważył pomieścić w swych księgach, jak wówczas mówiono „oblatować“ protest przeciwko rozbiorowi. A niejeden z tych tak wówczas potwornie obojętnych i tchórzliwych był potem w Sejmie Czteroletnim i w Insurekcji Kościuszkowskiej. Boć nie była tam tylko młodzież.

Niewielu jest u nas podłych, dużo słabych. Więc łatwo gną się u nas karki. Ale giąć ich nie lubimy. I przy pomyślnym wietrze jeszcze łatwiej się one rozprostowują.

Zatem bez względu na chwilową „konstelację“ warto pomyśleć serio, a nie tylko plotkować i snuć domysły

o Nowosielcach i o niedawnym strejku chłopskim... Bo naprawdę są to rzeczy wielkiej doniosłości.

I nie to jest najważniejsze, że w Nowosielcach zebrało się w jednym dniu, na jednym miejscu i w znakomitym ordynku 150.000 chłopów, a 15 sierpnia bieżącego roku na dużej przestrzeni Polski wielokrotnie jeszcze liczniejsze masy włościan, wyzbywając się przez 10 dni dochodu ze sprzedaży swych produktów, demonstrowały swą solidarność i gotowość poniesienia dużych ofiar dla osiągnięcia swych celów.

O wiele ważniejszym od tego wszystkiego jest stosunek do Polski mas chłopskich, jaki się w tych wszystkich demonstracjach przejawiał.

Wyobraźmy sobie, że gdzieś np. w Nieświeżu, Dziko-
wie czy Łańcucie zjechało się 1500 wielkich ziemian
i arystokratów i że przybył do nich jeden z najwyższych
dygnitarzy państwowych. O czym by tam rozprawiano,
jakiemy przedłożono dygnitarzowi temu postulaty? Na-
 pewno proszonoby uniżenie o powstrzymanie reformy
rolnej, o bardziej skuteczne ulgi w spłacie długów, o
opusty podatkowe, o przywrócenie interwencyjnych za-
kupów zboża, no i o parę tek, kilka województw i kilka-
naście starostw dla zawsze wiernych rządowi konserwaty-
stów. A gdyby to był zjazd wielkich przemysłowców, to
ich przemówień byłby bardziej stanowczy i na pierw-
sze miejsce tych żądań wysuniętoby przywrócenie wolno-
ści obrotu dewizami. Ale również wiele mówionoby o
wszelakich „ulgach“, aż do zakupywania przez banki

państwowe bankrutujących przedsiębiorstw. O polityce zaś zagranicznej niktby słowem nie wspomniał. Bo to bardzo niebezpieczny temat dla tych, co przez forsowny obrót dewizami wyprowadzali ze skarbcza Banku Polskiego za granicę złoto.

Tymczasem i w mowie gospodarza Słyża i w rezolucjach wręczonych w Nowosielcach gen. Rydzowi i w uchwałach wieców z 15 sierpnia nie ma ani słowa o jakichkolwiek chłopskich bolączkach, o reformie rolnej, podatkach, długach czy cenach produktów rolnych. Nie ma w nich też najłżejszego tonu nienawiści czy zawiści klasowej, niczego, coby przypominało nie to Szelę, ale choćby Stapińskiego. Natomiast jest mocno a poprostu powiedziane, że chłopci chcą silnej Polski, że się żadnych obcych potęg nie ulękną, że dadzą zawsze życie swe i mienie w obronie Ojczyzny, niczego wzamian dla siebie nie żądając – bo się czują spadkobiercami całej dziejowej chwały Rzplitej, w której pomimo poddaństwa nie mieli biernej jeno roli, a wraz z tem posiadają pełną świadomość obowiązków swych, ale też i praw współgospodarzy Państwa Polskiego. I o to jedno wszystkie te rezolucje się dopominają, by wypełnienie tych obowiązków i praw było chłopom umożliwiające.

Język to swoisty. Inny od tego, jakim przemawiają u nas „sfery gospodarcze“, czy zjazdy zawodowe... Inny też od deklaracyj stronnictw czy obozów, uznających się wedle faszystowskiej czy hitlerowskiej mody za „elitę“, jedynie uprawnioną do rządzenia państwem.

Jeśli gdzie u nas ujawniono sprawność organizacyjną, równą sprawności włoskich faszystów, to właśnie w Nowosieltcach. Było to dzieło naprawdę większe od największych defilad paryskich „Krzyża Ognistego“...

Ale pomimo tej iście faszystowskiej dzielności nie proklamowali zebrani pod kopcem Pyrzowym chłopci faszystowskiej doktryny rządów monopartyjnych.

Słysz z rozmysłem i z całym naciskiem mówił, o prawie nie gospodarczym, ale współgospodarzy Rzplitej, jakiego domagają się chłopci.

To nie jest modne. Rewolucja bolszewicka zapoczątkowała, a Mussolini i Hitler ustalili modę partyjnego jedynowładztwa, hasła „pełni władzy“ dla samych siebie.

Bo też nasz ruch chłopski nie powstał z naśladownictwa zagranicznych wzorów. Swych hasła i dążeń nie zapożycza on z zewnątrz. Próby doczepienia doń „ogólnoludzkich“ doktryn radykalizmu społecznego i beznarodowego, antyreligijnego „postępu“ nie udały się. Jest on wytworem naszego, wyłącznie naszego polskiego życia.

To też nie sposób go zrozumieć i ocenić należycie, patrząc nań przez pryzmat którejkolwiek z formułek zagranicznego pochodzenia. Nie pasuje on ani do socjalistycznej doktryny walk klasowych, ani do koncepcji radykalno-postępowej praw człowieka, ani do teoryjki państwa totalnego, wedle której w całym dziś świecie istnieją jakoby tylko dwa prądy monopartyjne: komunistyczny i nacjonalistyczny, a wszystko, co poza nimi stoi, jest skazanym na zagładę przeżytkiem.

I do bardziej jeszcze fałszywych i płytkich doszlibyśmy wniosków patrząc na Nowosielce, przeszłoroczne wiece 15 sierpnia i tegoroczny strejk chłopski jako na epizody tylko toczących dziś walk i rozgrywek między partiami i koteriami.

Niewątpliwie rola stronnictwa ludowego w tym wszystkim była wielka. Niewątpliwie setki tysięcy chłopów zadokumentowały silnie swe przywiązanie do Witosa.

Ale nie to było najistotniejszą treścią tych wielkich demonstracji. Treść ta przerasta znacznie swą doniosłością wszelkie ramy partyjnych programów, a tembardziej taktyk.

W Nowosielcach było coś o wiele większego, od któregokolwiek stronnictwa: *byli chłopci u początku nowego okresu swej dziejowej drogi.*

A i przeszłoroczne święto ludowego czynu i tegoroczne demonstracje i zaburzenia świadczą, że są oni zdecydowani iść dalej po tej drodze mimo dotychczasowych zawodów i ofiar.

¹ Więc, by wypadki te należycie zrozumieć i ocenić, trzeba spojrzeć na nie z punktu widzenia syntezy całych naszych dziejów i ruchów i przemian społecznych, przede wszystkim historii chłopów od czasów bardzo dawnych, po czasy najnowsze.



Dzisiejszy ruch chłopski ma dużo cech wspólnych z ruchem szlacheckim XV iXVI wieku.

Bo też chłopi i szlachta w Polsce są tego samego pochodzenia plemiennego, a w większości nawet i rodowego.

W Anglii, Francji, Włoszech, Hiszpanii, krajach wschodnio-niemieckich stan rycerski powstał z podboju. Szlachtą stali się tam potomkowie wojowników germańskich, którzy zawładnęli procincjami rzymskimi na zachodzie, a ziemiami słowiańskimi na wschodzie, chłopami zaś poddanymi podbita miejscowa ludność rolnicza.

U nas było inaczej. Wprawdzie i państwo polskie utworzone zostało przemocą. Najprawdopodobniej jeden z książąt plemiennych podporządkował swej władzy inne pobratymcze plemiona słowiańskie przy pomocy drużyny, złożonej z najemnych wojowników gockich. I jeszcze za Mieczysława I. siła zbrojna księcia opierała się przede wszystkim na stałej drużynie, opłaconej wedle współczesnej relacji maurytańskiego kupca Ibrahima złotem. Ale już za Śmiałego drużyna królewska składała się z wojowników posiadających własne dwory i gospodarstwa. Była więc przeważnie miejscowego pochodzenia. A w okresie dzielnicowym znaczenie stałej drużyny słabnie. Siła zaś zbrojna książąt składa się coraz wyłącznie z popolitego ruszenia stanu rycerskiego, stopniowo wytwarzającego się z selekcji, która się dokonywała w łonie zjednoczonych pod panowaniem Piastowiczów plemion i rodów.

Bo rody te nie stanowiły żadnej gospodarczej wspólnoty. Jak o tem świadczą patrymonialne nazwy najstarszych wsi: Raclawice, Bronisławice, Mysławice część puszczy, zajęta przez któregoś z ojców rodzin: Raclawa, Bronisława czy Mysława, stawała się własnością wszystkich jego potomków. Każda rodzina żyła odrębnym życiem gospodarczym. I jak wszędzie i zawsze były rodziny zamożne i niezamożne. Jeszcze za Chrobrego wszystkie one jednakowo żyły z własnej pracy. Bo jeńcy wojenni byli własnością króla, który ich osadzał we wsiach „narokowych“ pracujących na potrzeby grodów. A w razie zawołania, wszyscy bez różnicy ciągnęli na wyprawę wojenną.

Ale wojując głównie z Niemcami, przyjmowaliśmy coraz bardziej ich sposób walczenia i ich uzbrojenie. A uzbrojenie to było kosztowne. Zdobyć się na nie mogli tylko zamożni gospodarze. Ci, których na nie stać nie było, pozostawali przeważnie w domu. Bogatsi chodzili więc głównie na wojnę i z wojny jeszcze bardziej się bogacili. Bo nie tylko zdobywali cenne nieraz łupy, lecz i jeńców, przy pomocy których rozszerzali coraz bardziej przestrzeń swych ról uprawnych i pastwisk. Gdyż w tym samym czasie zanikała grodowa organizacja gospodarstwa monarszego. A gdy potem przyszła recepcja zachodnio-europejskiego stanowego ustroju prawnopaństwowego, przywileje stanu rycerskiego przepołożyły rody, usuwając poza ich ramy rodziny niezamożne, niezdolne do pełnienia na własny koszt służby wojskowej.

Ale długo jeszcze, do końca epoki piastowskiej byli kmiecie dziedzice, byli pośrednie między szlachtą a chłopami zajmujący miejsce włodycy, i wiele rodzin rycerskich nosiło nadal te same nazwy rodowe: Lisów, Wilków, które dziś jeszcze spotykamy po wsiach, szczególnie w Małopolsce środkowej.

Mieli też kmiecie udział w dziejach zjednoczenia Polski za Łokietka, a także i w bitwie grunwaldzkiej.

Ale niewątpliwie zjednoczenie Polski było dziełem przede wszystkim rodów szlacheckich i ściśle z nimi zespolonego duchowieństwa.

Boć wbrew doktrynie stanczykowskiej, dziś powtarzanej gorliwie przez elitarzystów naszych wszelakiego autoramentu, jakoby państwowo-twórczą siłą byli jedynie władcy silnej ręki, — Polskę dzielili właśnie Piastowicze, a o zespolenie jej walczył kościół wraz z rycerstwem. I krzepiła ówczesnych „narodowców“ legenda nie Bolesława Śmiałego — ale skazanego przez sąd królewski na ćwiartowanie buntownika: św. Stanisława.

Świadoma swej siły i roli, jaką spełniła w odbudowaniu Królestwa polskiego, szlachta domagała się niejednokrotnie po wygaśnięciu rodzimej dynastji rozszerzenia przywilejów stanowych i większego dla siebie wpływu na sprawy państwowe.

Ale aż do końca okresu jagiellońskiego i za Batorego popierała ona stale personifikującą całość państwa władzę monarszą przeciwko uniezależniającemu się coraz

bardziej od niej na ziemiach litewskich i ruskich możno-
władztwu.

Ówczesny ruch szlachecki był walką częściowo i o
stanowe interesy szlachty – ale przede wszystkim o jej
prawo współgospodarza Rzplitej. A prawa tego domaga-
ła się szlachta XV i XVI. wieku, bo miała równocześ-
nie silne poczucie swych wobec Ojczyzny obowiązków.
Naczelnym celem związanej za pierwszego bezkrólewia
Konfederacji Warszawskiej była obrona całości granic
państwa. I ten patriotyczny motyw skłonił ją też wów-
czas do proklamowania tolerancji religijnej.

Na szlachie też opierali swe wielkie plany mocarstwo-
we Batory i Jan Zamoyski.

Czemuż ten tak patriotyczny początkowo ruch
szlachty następnie za Wazów skarłał i spodłał?

Nigdy wielka przemiana dziejowa nie jest skutkiem
jednej tylko przyczyny.

Więc i zwyrodnienie szlachty w XVII i XVIII wie-
ku spowodował szereg przyczyn. Nie wyszła jej na do-
bre zbyt ścisła symbioza z wychowanym w niewolniczej
zależności od grodów książęcych i w bizantyjskim prawo-
sławiu bojarstwem litewsko-ruskim.

Nie pdniósł tężyzny moralnej szlachty raptowny wraz
z rozwojem zamorskiego eksportu zbóż rozrost folwar-
ków.

Przedem wszystkim jednak zmarnowała patriotyzm i
zdrowy instynkt państwowy szlachty antynarodowa poli-
tyka Zygmunta III.

Bo nieprawdą jest, jakoby nadmiar „złotej wolności“ zrodził pierwszy rokosz Zebrzydowskiego. Rokosz ten przygotowywał już Wielki Kanclerz, kierując go przeciwko sprzecznej z dziejowymi interesami Polski i narodową świadomością szlachty polityce króla.

Od dwóch już z górą stuleci, od czasów łokietkowych Polska z państwa dynastycznego przetwarzала się coraz bardziej w państwo narodowe. (Podobnie działo się też w Anglii). Szlachta, łącząca w sobie dążenie do własnego dźwigania się w górę z ekspansją narodowo-państwową, zdobywała sobie coraz większy obok króla i Senatu wpływ na dzieje Ojczyzny. Ale, jak widać ze sprawy choćby Samuela Zborowskiego, w pierwszych jeszcze po Unii Lubelskiej czasach miała żywe poczucie prawa i szacunek dla władzy monarszej. Nie żądała bynajmniej wówczas pełni władzy dla siebie. Nie pociągało jej warcholstwo, ani nie przerażały silne rządy.

Parę jednak dziesięcioleci systematycznego marnowania przez personalną politykę Zygmunta III zwycięstw rycerstwa, które pod Kirchholmem i Kluszyńem biło wielokrotnie liczniejszych nieprzyjaciół, nie mogło nie wzbudzić w szlachcie głębokiej nieufności do władzy królewskiej.

A to tembardziej, że Zygmunt III nie własną tylko samowolą się kierował, lecz modną wówczas na wszystkich dworach europejskich, włoską, przez Machiavela przedziwnie sformułowaną doktryną państwa totalnego, która całe życie narodów podporządkowywała państwo-

wej racji stanu, a tę rację stanu utożsamiała z interesem panującej dynastji. Próbował ją zaszcześcić w Polsce już Kalimach. Usiłowała ją wprowadzić w czyn Bona. Ale ród Jagielloński nie był podatnym dla niej gruntem. A jeszcze trudniej zapuszczała ona korzenie w umysłach i duszach naszej szlachty.

Więc nie zdołali przerobić Polski na państwo totalne i Wazowie, choć wszyscy trzej tego chcieli. Ale udało im się zepchnąć Polskę z dotychczasowej jej drogi dziejowej, wiodącej ku państwu narodowemu. Szlachty nie ujarzmili – lecz odepchnęli ją od tronu, oddzielili ją od steru spraw państwowych murem nie bezzasadanej nieufności, w konsekwencji wytworzyli zupełną jej niemal obojętność na wielkie mocarstwowe interesy Rzplitej. Szlaczyc zaczęli myśleć o własnych swych tylko sprawach. Polska stała się państwem stanowem, ginącym wskutek powszechnej swych obywateli obojętności na sprawy ojczyzny. Odrodzenie przyszło dopiero w przeddzień Sejmu Czteroletniego, który pod wpływem liberalnej na zachodzie reakcji przeciwko absolutnej monarchii przywrócił Polsce przez Konstytucję 3 Maja znów charakter państwa narodowego.

W tych dziejach dawnej szlachty zawarta jest jedna i dla dzisiejszych czasów przestroga.



Długosz pisał o chłopach polskich, że jest to lud rosły, pracowity, skory do bójki. Wszyscy zaś pisarze XVIII wieku i obcy i nasi, i zwolennicy reformy włościańskiej i obrońcy państwa charakteryzowali chłopów naszych jako niedbałych leniuchów i pijaków, którzy tylko pod przymusem pracują. Silny napływ do Polski kolonistów niemieckich XIII, XIV i jeszcze początkach XV stulecia świadczy wyraźnie, że chłopci niemieccy otrzymywali wówczas u nas lepsze warunki „lokacji“, niż we własnej ojczyźnie. A jak wiadomo w tymże czasie ogół dawnych wsi polskich otrzymał ustrój podobny do nowo zakładanych niemieckich, przeszedł na „prawo niemieckie“.

Natomiast wszyscy bez wyjątku podróżujący, zwiedzający w XVIII w. Niemcy i Polskę stwierdzali dobrobyt włościan niemieckich, a nędzę – polskich.

Kmieć polski czasów piastowskich, właśnie dlatego, że w przeważnej swej masie z tych samych co szlachta pochodził plemion, miał się lepiej od rolnika słowiańskiego nad Łabą, podbitego przez najeźdźców niemieckich. Bo że poczucie tej plemiennej jedności stanu rycerskiego i chłopskiego istniało naprawdę jeszcze na przełomie XIV i XV. stulecia, wskazuje na to choćby przydomek Króla chłopków, dany Kazimierzowi, którego jednocześnie nazwano Wielkim.

Gdy jednak Polska, ku państwu narodowemu idąca, przerodziła się w państwo stanowe – nastąpiło wraz z tym uciśnienie chłopów. Został on przywiązany do ziemi.

Wszelkie nowo pod uprawę brane grunty szły jeno na powiększanie folwarków. Natomiast gospodarstwa chłopskie się dzieliły. I wraz z tym rosły pańszczyzny. W XV wieku wynosiły one najwyżej jeden dzień na tydzień z łanu tj. z 30 morgów. Pod koniec XVIII stulecia chłopci odrabiali z półłanków przeciętnie po jednym dniu sprzężajnej i po 2 dni pieszej pańszczyzny tygodniowo. Niewiele już jednak było wtedy półłanów. Przeważały 7 do 10 morgowe gospodarstwa obciążone trzema dniami pieszej, a niekiedy jednym dniem sprzężajnej oraz jednym pieszej co tydzień pańszczyzny.

Jedną z głównych przyczyn upadku znaczenia Polski w ówczesnej wschodniej Europie był zanik niemal zupełny jej naturalnego przyrostu, gdy w reszcie państw europejskich ludność szybko zwiększała się po ustaniu wojen religijnych. A nie przyrastała ludność Rzplitej wskutek nędzy chłopów.

Więc gdy się zaczęło w kilka lat po pierwszym rozbiore odrodzenie narodowe, które dało nam Konstytucję 3-go Maja i powstanie kościuszkowskie, wszyscy bez wyjątku pisarze, domagający się naprawy Rzplitej, za niezbędny jej warunek uznali wzięcie chłopów pod obronę prawa, zmniejszenie pańszczyzn lub zamianę ich na czynsze i powiększenie ich nadziałów gruntowych.

W szkołach komisji edukacyjnej budzono „czułość ku poddanym“. Z odrodzeniem narodowo-państwowych ambicji szlachty odradzała się też w niej, choć bardzo powoli, dawna świadomość etnicznej z chłopami jedności.

A w ludzie kmiecym nigdy bodaj nie zanikła ona. Na każde zawołanie stawał on chętnie do obrony Ojczyzny: i za Jana Kazimierza i za Kościuszki. I nieprawdą jest, jakoby pociągnęły chłopów do Insurekcji zapowiedziane przez Naczelnika ulgi w pańszczyznach. Uniwersał polaniecki zjawił się już po bitwie raclawickiej. I dopiero po ataku kosynierów na artylerję rosyjską wziął na siebie Kościuszkę chłopską sukmanę.

Ale od tej chwili stała się ona symbolem najżarliwszego naszego patriotyzmu.

Wszystkie dążenia powstańcze łączyły się z żądaniem wolności i własności dla włościan.

Lecz – stwierdzić to trzeba z całym naciskiem – nie obietnice poprawy doli chłopskiej pociągały chłopów do powstań.

Najgorętsza była agitacja za „uwłaszczeniem bez odškodowania“ emisariuszów Towarzystwa Demokratycznego w Galicji w 1845 i 1846 r. I właśnie tam – i jedynie tam, chłopci w obronie „Cysorza“ różnili spiskującą szlachtę.

Natomiast najsilniejszy był ich udział w powstaniu wielkopolskim 1848 r. Bo większość ich była już tam uwłaszczona. A powstanie 1863 i 1864 r. mogło się trzymać przez dwie zimy po lasach tylko dzięki temu, że powszechnie chłopci dostarczali „partjom“ żywności, oraz ostrzegali je o ruchach wojsk rosyjskich. Nie poszli oni masowo do powstania – bo zdrowy rozsądek mówił, że kosami nie wiele zwojują, a lepszej broni dla nich nie by-

ło. Ale nie było ani jednego oddziału powstańczego bez kompanii kosynierskiej, z włościan złożonej. Więc wsie nie tylko sprzyjały ale i pomagały na ogół powstaniu. Było w nich nawet sporo zapaleńców. Bo choć uwłaszczenie zostało w Królestwie przeprowadzone dopiero w 1865 r., ale wolność osobistą dostali tamtejsi chłopci w 1807 i 1809 r., przeszło zaś połowa pańszczyzn została zamieniona drogą umów prywatnych na czynsze już przed 1846 r., a Wielopolski w 1861 z urzędu dokończył oczynszowania.

Chłopi w Wielkopolsce i w Królestwie w pierwszej już połowie XIX w. odzyskali utraconą w XVII w. samodzielność gospodarczą. I wraz z tem poczuwali się coraz silniej do swych wobec Polski obowiązków. W Galicji natomiast, która nie przeszła ani przez okres Sejmu Czteroletniego, ani przez powstanie kościuszkowskie, ani przez epopeję Księstwa Warszawskiego, chłopci aż do 1848 trącili nadal jak w XVIII w. coraz bardziej charakter gospodarzy, a stawali się coraz wyłącznie robotnikami folwarcznymi. Przed nadmiernym zaś wyzyskiem ze strony dworów bronił ich tylko cesarski mandatarjusz. I dlatego stali się patriotami austriackimi.

Jeszcze na początku obecnego stulecia na terenie rzezi 1846 r. chłopci chętnie słuchali, gdy się im mówiło o ustawie łowieckiej, o szarwarkach, o wszelkich krzywdach chłopskich – ale rozmowy o Polsce uważali za „pańską podrywkę“. A już w 1907 r. chłopci wybrali do parlamentu wiedeńskiego w powiecie Tarnobrzeskim –

„wszechpolaka“ Wiącka, który zdobył był sobie mir organizowaniem obchodów patriotycznych. I równocześnie wybrał lud wiejski w pierwszych wówczas powszechnych wyborach posłów narodowo-demokratycznych w Nowo-Sądeckiem, Nowo-Targkiem, Limanowskiem, Żywieckiem, Bialskiem, Sanockiem. A nieco później został wybrany do Sejmu galicyjskiego z rzeszowskiego włościanin endeck Tomaka, a do parlamentu również endeck gospodarz Lewicki.

Stałem wówczas na czele organizacyjnej pracy Demokracji Narodowej w Galicji. W 1913 r. należało do niej i opłacało wkładki członkowskie zgórą 30.000 chłopów. Mógłbym przechwalać się sukcesami ówczesnej mej pracy agitacyjnej. Ale byłoby to formalnie tylko prawdą.

Bo jednocześnie i wśród ludowców świadomość narodowa brała zdecydowanie górę nad stanowym egoizmem chłopskim. Przeciwno wyłącznie stanowej polityce Stapińskiego, Witos zorganizował silną i skuteczną reakcję, która doprowadziła do powstania nowego, na prawdę głęboko patriotycznego stronnictwa chłopskiego: Piast.

A ten tak szybki wzrost świadomości narodowej wśród chłopów środkowej Małopolski powstał przede wszystkim stąd, że dzięki dużym zarobkom emigracyjnym chłopci nawet małorolni poczuli się niezależnymi gospodarzami i dziedzicami ziemi polskiej, która szybko przechodziła do ich rąk, bo wielcy właściciele, skuszeni wysokimi

cenami, ofiarowywanymi przez włościan, masowo parcelowali swe folwarki.

Pierwszymi, którzy to należycie zrozumieli, że nie należy ludu wiejskiego zjednywać dla Polski obietnicami korzyści stanowych, ale że trzeba poprostu zaznajamiać go z przeszłością Polski, a zarazem podnosić gospodarczą jego niezależność i rozszerzać jego prawa obywatelskie, by czuł się spadkobiercą dziejowej chwały polskiej – byli w Królestwie Jan Popławski, a w Galicji ksiądz Stojałowski.

Dziwnym zrządzeniem losu, a raczej wskutek kunsztownie przez Stańczyków krakowskich przeprowadzonej intrygi, obaj ci ludzie namiętnie się wzajem zwalczali. Ale Popławski był naprawdę nie mniej ludowcem od Stojałowskiego, a Stojałowski nie mniej narodowcem od Popławskiego. Toć Popławski przeprowadził wybór Bojki ze Lwowa. A jeszcze przed 1890 r. gorszył on konserwatywną opinię warszawską, dowodząc w „Głosie“ pożytku dla sprawy polskiej uwłaszczenia, pomimo, że je przeprowadził rząd carski, i powtarzając z uporem: „wszystko dla ludu i z ludem“. Ks. Stojałowski zaś zaczął swą „demagogiczną“ działalność od organizowania wielkiej pielgrzymki chłopskiej do Szczepanowa, miejsca rodzinnego świętego Stanisława i na Wawel do grobów królewskich.

Ale to już historia ruchu narodowego i ruchu ludowego i ich wzajemnego stosunku.

*

*

*

Poczynając od ośmdziesiątych lat XVIII wieku sprawa włościańska wchodziła w skład wszystkich patriotycznych naszych programów, nasamprzód ratowania upadającej Rzplitej, potem walki o niepodległość. Były różnice zapatrywań na nią. W dobie Sejmu Czteroletniego fizjokraci domagali się zamiany pańszczyzn na czynsze, gdy kameraliści żądali zmniejszenia powinności pańszczyźnianych i powiększenia nadziałów gruntowych. Przed powstaniem styczniowym toczyły się zacięte w publiczności i na posiedzeniach Towarzystwa Rolniczego spory między zwolennikami uwłaszczenia a oczynszowania. Ale wszyscy, którym dźwignięcie Polski z upadku i niemoce leżało na sercu, uznawali, że niezbędne ku temu jest również podniesienie społecznej, gospodarczej i cywilizacyjnej pozycji włościan. Upadek powstania 1863 r. wzmógł jeszcze zainteresowanie sprawą włościańską. Zaczęła się nasamprzód w Wielkopolsce i w Królestwie, a następnie w Galicji usilna walka patriotycznej inteligencji przeciwko państwom zaborczym o duszę ludu polskiego. Ten był naczelny cel kółek i spółek rolniczych, organizowanych we wszystkich trzech zaborach nie tylko przez wiejską, lecz i miejską inteligencję, tajnej oświaty ludowej w zaborze rosyjskim, a Towarzystwa Szkoły Ludowej w Galicji, teatrów i chórów włościańskich i całej wogóle pracy kulturalno-społecznej po wsiach.

Były to nasamprzód tylko prace dla włościan. Ale już w pierwszych latach 20-go wieku przetwarzają się one samorzutnie w prace i dążenia samych włościan, w ruchy chłopskie. I stały się nimi nietylko dążenia do samopomocy gospodarczej drobnych rolników, ale i walki polityczne mas ludu wiejskiego...

W zaborze rosyjskim na przełomie przeszłego i obecnego stulecia czynne były trzy polityczne organizacje: 1) nieliczne stronnictwo realistów, obejmujące najbogatsze tylko grupy ziemian i nie oddawna polskich przemysłowców i bankierów, – 2) pracująca konspiracyjnie wśród robotników PPS, oraz 3) najsilniejsza z nich również zakonspirowana Liga Narodowa. Między 1900 a 1907 Liga była faktycznym moralnym rządem w Królestwie. Przy pierwszych wyborach do Dumy zostali wybrani jedynie wskazani przez nią kandydaci. Działała ona jednak nie bezpośrednio, lecz za pomocą odrębnych dla każdego działu pracy narodowej organizacyj filialnych. Był autonomiczny Związek Młodzieży szkół wyższych i kierowany już przez ten ostatni Pet, pracujący wśród młodzieży gimnazjalnej. Był tajny związek organistów. Była konspiracyjna organizacja nauczycieli. Była narodowa organizacja robotnicza. I była doskonale rozwijająca się tajna organizacja chłopska, posiadająca własne swe organy legalne w Warszawie tygodniki: „Zorzę“ i „Gazetę Świąteczną“, oraz przemycanego z Krakowa „Polaka“. Na czele jej stało obok paru inteligentów, przeważnie redaktorów tygodników i broszur ludowych

oraz niewielu umiejących naprawdę z ludem współpracować ziemian, kilkunastu włościan dużego naprawdę rozumu i serca, wśród których najwybitniejszym bodaj był nieodżałowanej pamięci Nakonieczny.

Dziełem tej organizacji była prowadzona w 1905 i 1906 r. na terenie całego Królestwa walka o spolszczenie gminy. Ona też złamała ówczesne próby partij socjalistycznych wciągnięcia przez strejki rolne wsi polskiej w wir rewolucyj rosyjskiej. Więć ruch ludowy w zaborze rosyjskim był nasamprzód nawskroś narodowy i szedł, choć samodzielnie, lecz równolegle i w ścisłej ideowej łączności z patriotycznymi dążeniami i walkami inteligencji i polskiego mieszczaństwa. Łączności tej nie zerwała nawet tak radykalnie w pierwszej dumie stawiana sprawa reformy agrarnej.

Dopiero rozłamy w Lidze, spowodowane przez politykę dumską p. Dmowskiego i jego nagły zwrot przeciwko strejkowi szkolnemu, odepchnęły od Narodowej Demokracji, narówni z Narodową Organizacją Robotniczą, znaczną też część działaczy ludowych, szczególnie na południu: w lubelskim i kieleckim, i zapoczątkowały społecznie radykalne „Wyzwolenie“.

Był też, jak na to już zwróciłem uwagę, narodowym i patriotycznym, pierwszy, zbudzony przez księdza Stojalskiego w Galicji ruch ludowy. I był on niezwykle umiarkowany społecznie. Nie wysunął on żądania jakiegokolwiek reformy rolnej. Najradykalniejszym jego żądaniem było, by nie narzucono chłopom przez presję

administracyjną na posłów z kurji wiejskiej „obszarników“, którzy mieli przecież swą odrębną kurję wielkiej własności, lecz by pozwolono im wybierać na swych posłów ludzi, do których mają zaufanie, przede wszystkim znających z własnego doświadczenia życie i potrzeby wsi, drobnych również rolników.

Ale Galicją rządili wówczas niepodzielnie konserwatyści. I niepodzielność swych rządów uważali za nienaruszalny dogmat. A wszystko, co ten ich monopol polityczny podważało, było antynarodowe i groźne dla ładu i porządku społecznego. Ich to wzory kopiowali później „pułkownicy“. Więc ks. Stojałowski co roku szedł na szereg miesięcy do więzień. I nie było oszczerstwa, któregooby na niego nie rzucono. I nie było szykan administracyjnych, którychby nie stosowano wobec chłopów, co szli za nim. A co najważniejsze, wciągnięto do walki z ruchem chłopskim i część episkopatu.

Wraz z postępem oświaty budziła się samorządnie w chłopach chęć samodzielnego o swych sprawach stanowienia i własnej czynnej w życiu narodowym roli. Konserwatyści galicyjscy każdy objaw samodzielnosci chłopskiej bezlitośnie zwalczali. A w konsekwencji odrzucili chłopów od spójni narodowej. Ponad ks. Stojałowskiego wysunął się na pierwszego w Galicji wodza ludowego Stapiński, głoszący skrajny stanowy separatyzm chłopski i nienawiść do szlachty oraz wszystkiego, co od niej pochodzi i pochodziło. Podczas pierwszych powszechnych do parlamentu austriackiego wyborów w 1907 r. stron-

nictwo ludowe Stapińskiego rozwinęło szaloną agitację przeciwko solidarności Koła Polskiego w Wiedniu i pod tym sztandarem uzyskało około połowy mandatów polskich z okręgów wiejskich.

Był to jednak kulminacyjny punkt, do jakiego doszedł był w Galicji prąd chłopskiej wyłączności stanowej. Wobec tego, że konserwatyści utracili większość w Kole Polskim – wstąpili doń nasamprzód stojałowczycy, a następnie i stapińszczycy. Wkrótce zaś potem nastąpiło wspomniane już oddzielenie się Witosa od Stapińskiego.

Gdy chłopci galicyjscy poczuli się silni i zaczęli patrzeć z ufnością we własną i swych dzieci przyszłość, świadomość współodpowiedzialności ich na równi z inteligencją i mieszczaństwem za przyszłość Polski wzięła górę nad pamięcią wszystkich krzywd, jakich tak wiele byli od rządów konserwatywnych doznali. W czasie wojny światowej stanowisko galicyjskich piastowców było równie wszechpolskie jak narodowej demokracji. Innej coprawda orientacji byli wyzwolenicy w Królestwie. Ale i oni kierowali się w swej polityce nie klasowymi względami – lecz tak zwanym „niepodległościowym“ poglądem na sprawę polską, stawiającym ponad zjednoczeniem Polski samodzielność państwową jakiejś choćby części ziem polskich.

W pierwszym naszym Sejmie konstytucyjnym piastowcy w sprawie reformy rolnej poszli łącznie z wyzwolencami i socjalistami.

I pod naciskiem agitacji stronnictw ludowych za u-

stawowym ograniczeniem maksymalnych rozmiarów większej własności ziemskiej, część posłów włościańskich opuściła Związek Ludowo-Narodowy, który chciał o-
przeć reformę rolną na dobrowolnej, ale finansowanej i kierowanej przez państwo parcelacji. Pomimo jednak sojuszu z Wyzwoleniem i Socjalistami, a walki przeciwko Związkowi Ludowo-Narodowemu w sprawie reformy rolnej – piastowcy szli zawsze solidarnie z tym ostatnim w sprawie i Małopolski Wschodniej i Ziemi wileńskiej, stanowczo sprzeciwiając się pomysłom federacyjnym lewicy.

A w drugim Sejmie ponad solidarnością chłopską i w Wyzwoleniu i w Piaście wzięła górę rozbieżność ich poglądów na całokształt narodowo-państwowej naszej polityki, rozbieżność, która się tak dramatycznie ujawniła w maju 1926 r.

Pomajowe wszakże doświadczenia rozwiały złudzenia tych wszystkich, co łączyli z przewrotem majowym nadzieję na rewolucję społeczną. Więc zawiodły one i tych działaczy chłopskich, którzy w Legionach i P. O. W. nauczyli się iść ręką w rękę z socjalizującą, radykalną, lubującą się w krańcowych negacjach inteligencją. Dziś znaczna większość partyjnych ugrupowań włościańskich złączyła się w jednym stronnictwie ludowym pod przewodnictwem byłego premiera Witosza.

Ale treść ruchu ludowego nie da się jednak wypowiedzieć w jednym haśle. I zbyt uproszczonym jest pogląd, przeciwstawiający stronnictwo ludowe, jako ruch stano-

wego separatyizmu chłopskiego, stronnictwu narodowemu, jako kierunkowi, podporządkowującemu interesy klasowe dobru całego narodu.

Są w ruchu ludowym niewątpliwie momenty stano-
wej solidarności chłopskiej i klasowego ich egoizmu. Ale
są w nim też wielkie narodowo-państwowe ambicje i u-
mie on podporządkować interesy chłopskie mocarstwo-
wej potędze i cywilizacyjnemu postępowi Polski. Nie-
raz mawiał Witos do chłopów, że nie Polska dla nich,
ale oni dla Polski – tak samiutko jak my starzy naro-
dowi demokraci, nie eliciarze, pouczaliśmy młodzież, że
nie władczy, ale służebny powinien być jej stosunek do
Polski.

Wytwarza się w tej chwili w ruchu ludowym synteza
tych wszystkich momentów, jakie wytworzyły w nim
jego dotychczasowe dzieje, z tak różnych źródeł biorące
początek i które tak różne przechodziły koleje.

Przyjrzyjmy się bliżej tej syntezie.



Podczas pierwszych i drugich wyborów sejmowych, tj.
wyborów, na których wynik administracja nie wpływała
– dlatego też o nich mówię – połowa głosów włościań-
skich padła na kandydatów, głoszących hasła jedności
narodowej, a nie solidarności czy polityki chłopskiej.

Szczególnie znamienne są pod tym względem wybory

1922 r. Sejm uchwalił był w 1920 r. radykalną reformę rolną. Ale wykonanie jej stanęło na martwym punkcie wskutek fatalnej sytuacji finansowej państwa. Zaczęła się więc po wsiach agitacja za wywłaszczeniem bez odškodowania.

Nie brali w niej udziału piastowscy – ale i nie zwalczali jej wyraźnie. Natomiast przeciwstawiał się jej zdecydowanie Związek Ludowo-Narodowy wraz ze stronnictwem Chrześcijańsko-Narodowym i z Chrześcijańską Demokracją. A jednak blok wyborczy tych trzech stronnictw otrzymał więcej mandatów z okręgów wiejskich od wszystkich razem stronnictw ludowych.

Na wynik wyborów w pojedynczym okręgu wpływa zawsze w znacznym stopniu popularność, jaką się w nim cieszą miejscowi działacze poszczególnych stronnictw. O ogólnym ich jednak wyniku w całym kraju, czy dużych jego częściach, decydują przyczyny głębsze.

Otóż w Małopolsce Wschodniej, w Wielkopolsce, na Pomorzu oraz w północno-zachodniej części b. Królestwa większość głosów włościańskich uzyskały listy stronnictw zgrupowanych przy Związku Ludowo-Narodowym, a w Kieleckim, Lubelskim, Krakowskim i zachodnich czysto polskich powiatach województwa lwowskiego otrzymały większość listy Wyzwolenia i Piasta.

Był to wynik równoczesnego oddziaływania na myślenie polityczne mas chłopskich dwóch czynników: tradycji i bieżącej społeczno-gospodarczej sytuacji.

W Małopolsce wschodniej i w b. zaborze pruskim ży-

wa była pamięć przede wszystkim walk o utrzymanie narodowego stanu posiadania, prowadzonych solidarnie ze wszystkimi innymi warstwami społeczeństwa polskiego. W Małopolsce zachodniej żyła natomiast tradycja walk, jakie chłopci toczyli o swe prawa obywatelskie przeciwko „polskim“ rządowi konserwatystów galicyjskich.

A w b. Królestwie, gdzie udział masowy włościan w życiu publicznym zaczął się być dopiero około 1900 r., tradycje polityczne słabiej oddziaływały. Większy natomiast wpływ wywierała struktura rolna. Na południu silne rozdrobnienie własności chłopskiej sprzyjało agitacji ludowców za przymusową i jak najszybszą parcelacją. W północno-zachodnich natomiast województwach, posiadających przeważnie samowystarczalne gospodarstwa włościańskie, siła atrakcyjna haseł społecznie-radykalnych była słabsza.

Dziś dawne tradycje zostały silnie przytłumione przez doświadczenia ostatniego dziesięciolecia. A doświadczenia te wytworzyły dużo żalu do biurokracji. Gdy zaś więksi właściciele ziemscy niemal bez wyjątku wysuwali się na czoło B.B., lub obarczali ich odpowiedzialnością i za wszystkie „cuda nad urnami“ i za nie znaną z żadnych dawniejszych czasów sprawność egzekutorów i za tak gruntownie przez wsie zbojkotowaną 2 lata temu ordynację wyborczą. W większości jednak powiatów lud nie widzi prawie innych poza urzędnikami i obszarnikami warstw wykształconych. Po wsiach szerzyła się w ostatnich kilku latach głęboka niechęć do inteligencji i

do miast wogóle. Jednocześnie zaś masy włościańskie widząc, że nie wolno im samodzielnie decydować nawet o składzie rady gminnej, coraz mniej się interesowały Polską.

Masy włościańskie zamykały się w sobie i odseparowywały się od miasta. I albo zupełnie obojętniały na wszystkie sprawy naszego życia publicznego, zasklepiając się jedynie we własnych, osobistych troskach materialnych, z roku na rok coraz cięższych. Ta część ludności wiejskiej chodziła w ordynku z muzyką pod przewodem mianowanych wójtów i sołtysów głosować na listy Bloku Bezpartyjnego. Albo też dochodzili chłopci do doświadczenia, że mogą tylko sami na siebie liczyć. W 1933 r. i 1934 r. odbyłem szereg wieców w całej Wschodniej Małopolsce o polityce i pracy narodowej na południowo-wschodnich kresach. Przychodzili na nie tłumnie – ale sami włościanie. Inteligencja bała się. Więc nic dziwnego, że w tych samych powiatach, w których w r. 1922 dużą większość polskich głosów włościańskich uzyskały stronnictwa, idące do wyborów pod znakiem jedności narodowej, obecnie górują po wsiach wpływy ludowców tak, iż bez porozumienia się z piastowcami żadna tam dziś szersza akcja polityczna się nie udaje.

A gdy równocześnie rosnące bezrobocie czyniło młodzież wiejską coraz podatniejszą na hasła społecznie radykalne – nastroje wsi szły w bardzo niebezpiecznym kierunku.

Wyrazem ich były i wybuchające w różnych częściach

kraju chłopskie krwawe zaburzenia i gotowość do każdej radykalnej rozprawy.

Szedł przez wsie całego kraju prąd beznadziejności i rozgoryczenia do wszystkiego, co jest poza nimi, a wraz z tym i zwątpienie nie tylko w państwo ale i naród.

Przed zupełną utratą wiary w Polskę coraz szersze masy włościańskie szukały ratunku bodaj jeszcze tylko w idei Polski ludowej.

Bo udział w Legionach i w Korpusach Dowbora i Michelisa i w Armii Hallera i w Obronie Lwowa i w Dywizji Syberyjskiej i nade wszystko w zwycięskiej wojnie 1920 r. ugruntował tak silnie w duszach chłopskich miłość Polski, że mimo całego rozżalenia na obecną rzeczywistość polską, wyprzec się jej nie chcą i nie mogą.

Ale osłabła wiara w jedność narodową. A to tym bardziej, że po przeobrażeniu Związku Ludowo-Narodowego na Stronnictwo Narodowe bez pierwiastka demokratycznego, społeczno-kulturalną pracę dla ludu i z ludem, na której w myśl wskazań jeszcze Jana Popławskiego cała polityka wiejska Narodowej Demokracji się opierała, zamieniono na niby faszystowskie komenderowanie ludem, odprawy i zbiórki. Mogą się wprowadzić takie odprawy i zbiórki podobać i włościańskiej młodzieży, lecz nie wzbudzają szacunku wśród starszych gospodarzy. A ci ostatni wciąż jeszcze o zachowaniu się wsi decydują. Prasa stronnictwa narodowego stale zapewnia, że ludowcy stracili zupełnie mir wśród chłopów, że natomiast wieś staje się coraz bardziej nacjonalistyczna. I na dowód przy-

tacza ona sprawozdania z „odpraw“, na których bywało po kilkaset a tu i ówdzie nawet zwyż tysiąca włościan. W porównaniu jednak z liczebnością tego – i przeszłorocznych zgromadzeń z racji święta ludowego, a i dawniejszych zjazdów Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego – czy Związku Ludowo-Narodowego cyfry to niestety znikome.

Tak, w ostatnich pięciu latach wieś odgradzała się coraz bardziej od reszty Polski. Nie rokowało to dobrze w razie konieczności wielkiego narodowego wysiłku.

Ale od dwóch lat szerzy się w całym społeczeństwie i po wsiach przekonanie, że musi nastąpić w Polsce gruntowna jakaś odmiana.

I wystarczyło tej nadziei, by wieś się ruszyła i by odżyła w niej w pełni wiara w Polskę. Jenó chce ona teraz sama własnymi siłami budować lepszą od obecnej Polskę. Obok sztandaru państwowego, jenó nieco niżej od niego, na kopcu Pyrza w Nowosielcach zatknięto zielony sztandar ludowy.

Jest to fakt, który może się jednym podobać, drugim nie podobać. Ale każdy realny polityk uznać go musi. Warstwa chłopska w całym kraju chce być samodzielnym czynnikiem życia państwowego. Nie chce ona być nadal bierną jenó masą płatników i rekrutów, nie chce ani trzymania jej za pysk, ani dobrodziejstwowania jej przez jakąkolwiek obcą jej sposobem myślenia elitę, chce natomiast być, jak mówił Słyż, „jeśli nie gospodarzem – to współgospodarzem Polski“.

I jest to wielkiem w tej chwili szczęściem naszym, że przeżycia ostatnich lat wytworzyły w ludzie wiejskim przekonanie, że nie będzie chłopom polskim lepiej, jeśli nie odmieni się wszystko w całej Polsce na lepsze.

Szerzy się wśród ogółu chłopskiego dążenie do wywalczenia lepszej przyszłości nie dla samych siebie, lecz dla Polski. Ambicje stanowe stapiają się w jedno w duszach włościańskich z ambicją narodowo-państwową.

Ale nie potrzeba się ludzić: mimo wysoce patriotycznego nastroju jest po wsiach nadal dużo nieufności i do inteligencji i do miast, dużo żalu do wielkiej własności ziemskiej. I z łatwością może wziąć w nastrojach wsi górę prąd wyłączności stanowej.

Zależać to będzie przede wszystkim od stanowiska, jakie władze państwowe i ogół patriotycznej inteligencji zajmą wobec ruchu ludowego.

Jeśli nadal będziemy chcieli naśladować zagraniczne państwa totalne i ich rządy monopartyjne – to pchniemy ruch ludowy na takie same tory egoizmu stanowego, na jakie wszedł był w XVII wieku ruch szlachecki: wskutek wzorujących się na włoskiej nauce Machiavela o prymacie panującego nad narodem rządów Wazów.



Ruch ludowy zaczął się nie od ekonomicznych żądań. Zarówno w Królestwie jak i w Galicji pierwsze politycz-

ne organizacje chłopskie służyły narodowym głównie celom. Na tory wyłączności i nienawiści stanowej zapchnęły były – i to przejściowo – ludowców galicyjskich tylko prześladowania znajdujących się niepodzielnie wówczas w ręku wielkiej własności ziemskiej władz administracyjnych.

Nie znają zgola chłopów ci, co w nich widzą jedynie troskę o gospodarcze interesy.

Zapewne, chłop nasz jest od świtu do nocy zajęty pracą i myślą gospodarczą. Ma on za mało ziemi, by mógł sobie pozwolić na zlekceważenie najmniejszego choćby, możliwego do uzyskania dochodu. I nie cofnie się on przed żadnym wysiłkiem, by zdobyć więcej ziemi. Bo ma on dużo dzieci i całą siłą duszy pragnie dla nich lepszej przyszłości.

Z jak potężną siłą działa ten mus: tem intensywniejszego dbania o swe gospodarstwo – im jest ono mniejsze, świadczy fakt, że, jak to stwierdziły ściśle badania naszego instytutu Puławskiego i wszystkich bez wyjątku tego rodzaju naukowych ekonomiczno-rolniczych instytutów zachodnio-europejskich, dochód brutto z hektara jest tym większy, im gospodarstwo mniejszy posiada obszar.

Ale chociaż mamy dziś ze wszystkich na północ od Alp położonych krajów europejskich najmniej ziemi na jedną pracującą w rolnictwie osobę – to jednak nie mamy bynajmniej najbardziej zmateralizowanego ludu wiejskiego

Znam więc tak biedną, że w niej uchodzi za niezwykle dobrą matkę gospodyni, co zostawi pół litra mleka dla dzieci. Pomimo to wieś ta postanowiła wybudować u siebie kościół i nie ma gospodarza, coby się od datku na ten cel wstrzymał. Na cele religijne chłopci są dziś u nas najofiarniejszą warstwą. I najlepiej umieją wspomagać biednych sąsiadów. Przeszłego roku w całej środkowej Małopolsce na przednówku przeszło 20 procent gospodarstw nie miało zgoła zboża. A jednak i ci biedacy, choć nędznie, wyżyli, bo karmili ich zamożniejsi chłopci. I robiły to nie żadne „towarzystwa“ czy „komitety”; każdy z osobna posiadający zapasy dzielił się z niemającym co jeść. Odejmują też sobie od ust tysiące rodiców chłopskich, – by dzieciom dać wykształcenie. Mamy o 30 procent mniej ludności a 14 razy mniej pieniędzy niż Francja, ale więcej uczniów w szkołach średnich.

I narode całe i ich poszczególne warstwy przeżywają okresy wielkiej życiowej ekspansji: pędu ku górze, ku wydźwignięciu się na wyższy szczebel cywilizacyjnego życia i hierarchii mocarstwowej czy społecznej. Wtedy nad wszystkimi ich dążeniami góruje zbiorowa ambicja.

Najsilniejszą ostoją potęgi państwa jest zespolenie się w duszach warstwy, przeżywającej moment swej najsilniejszej ekspansji, ambicji osobistych i stanowych z narodowo-państwowymi.

Sienkiewicz znakomicie odtworzył syntezę tej potrójnej ambicji w osobie Maćka z Bogdańca.

Dziś jest ona w duszach chłopskich.

I dlatego kupić ludu nie można żadnymi ekonomicznymi klasowymi korzyściami.

Nie pozyskały go dla siebie dobrodziejstwem nasamprzód uwłaszczenie a potem naprawdę niezwykle taniego i łatwego kredytu parcelacyjnego rządu carskie. A było to przecie wówczas dopiero początek przebudzenia się ludu wiejskiego.

Więc naiwne są złudzenia tych co wyobrażają sobie, że przyspieszonym i radykalniejszym przeprowadzeniem reformy rolnej oderwą masy chłopskie od dotychczasowych ich przewódców. Opuścić ich nie pozwoli ludowi przede wszystkim jego ambit chłopski. A przy tym, póki nie będzie w zupełności zlikwidowane bezrobocie po wsiach, – nie będzie argumentu, któryby się dało skutecznie przeciwstawić powtarzanemu dziś powszechnie przez włościan powiedzeniu: „za Witosa było lepiej“.

Reformę rolną trzeba naprawdę spieszenie i gruntownie przeprowadzić. Wierutnym jest głupstwem insynuowanie, że żądanie jej wzmogło się ostatnimi czasy wskutek poduszczeń żydowskich – dla odwrócenia uwagi chłopów od walki o spolszczenie handlu.

Chłopi lepiej znają stosunki rolne od większości próbujących ich pouczać inteligentów. Wiedzą oni wszyscy doskonale, że ziemi folwarcznej niewiele już zostało, że więc reforma rolna nie zlikwiduje w zupełności przeludnienia wsi. Ale również wiedzą oni, że z tą odrobiną pieniędzy, jakie posiadają, mogą conajwyżej odebrać żydom małomiasteczkowe kramarstwo, oraz przez organizacje

współdzielcze detaliczny handel wiejski i pośrednictwo w zbycie nabiału i jaj. A w tych gałęziach przedsiębiorczości pracuje zaledwie 2 procent ogółu zarobkującej ludności. Więc żadną miarą ani reforma rolna nie zastąpi ruchu kooperatywnego i uprzemysłowienia się wsi; ani walka o spolszczenie handlu nie zastąpi reformy rolnej. Są to dwie zupełnie różne sprawy. Każda z nich jest ważna, ale każda musi być na innej płaszczyźnie rozważana i załatwiana. Przecistawianie ich sobie może wydawać się doskonałym chwytem agitacyjnym, a nawet nie zwykłe bystrym, rewelacyjnym spostrzeżeniem ludziom znającym wieś z wakacyjnych wyjazdów. Ale na tego rodzaju kawały chłopi się brać nie dają. Zasadniczym rozwiązaniem niedomagań wsi – jest tylko szybkie i silne uprzemysłowienie Polski. Nie ustanie bowiem bieda mas małopolskich, dopóki nie wytworzymy odpływu do przemysłu i handlu całego prawie naszego przyrostu ludności, wynoszącego obecnie około 400.000 ludzi, z których przeszło połowa musi, by żyć, zarabiać. Naczelnym zadaniem całego naszego, a więc i wiejskiego życia gospodarczego jest wzmoczenie naszych wytwórczych sił tak, byśmy byli w stanie stwarzać co roku 250.000 nowych zatrudnień w przemyśle i handlu. I w pracach, zmierzających do osiągnięcia tego celu odegra pewną rolę również wyparcie żydów z dotychczasowych ich monopolicznych pozycji gospodarczych. Ale demagogicznym frazesem jest zapewnianie, że gdy się wyrzuci żydów z Polski – będzie przez to samo u nas dość pracy dla wszyst-

kich. Zawodowo czynnych żydów jest u nas conajwyżej 2 miliony. Przybywa nam natomiast w ostatnich 4 latach rocznie po 250.000 bezrobotnych. Więc gdybyśmy mogli dowolną ilość żydów z Polski wysiedlać i na wszystkie zajmowane przez nich stanowiska wprowadzać bezrobotnych polaków, dając im dotknięciem różdżki czarodziejskiej potrzebne dla tego wiadomości i kapitały – to po 8 latach jużby wszystkie możliwości zarobkowe, wynikające z emigracji żydów, były wyczerpane. A co wtedy? Kogobyśmy z kolei usuwali poza nasze granice?

Sprawa żydowska jest ważna, bardzo ważna. Stałem przez długie lata na czele wyzwalającej handel i kredyt wiejski z rąk żydowskich akcji w Kółkach Rolniczych. Ale nie jest ona ani jedyną, ani nawet najważniejszą w Polsce, a szczególnie dla wsi naszej.

Najważniejszą dla niej sprawą ekonomiczną jest usunięcie przeludnienia rolnictwa przez planową gospodarkę narodową podnoszącą siły wytwórcze kraju.

A najpilniejszą – jest naprawdę sprawa reformy rolnej. Bo zanim rozwinie my na tyle własny przemysł, by zatrudniał on cały przyrost ludności, przejdzie lat co najmniej 20. Więc trzeba czynić teraz wszystko możliwe, by zwiększać dochód brutto naszych pól uprawnych. Da się to w pewnym stopniu osiągnąć przeoz forsowanie z inicjatywy państwa i przy pomocy tanich państwowych kredytów wykonywane meliorowanie gruntów włościańskich. Ale dużo do tego może dopomóc i należyście przeprowadzona reforma rolna. Bo

przypominam, dochód brutto z roli jest tem większy, im mniejsze są gospodarstwa. Każde 1000 morgów podzielone na 8-10 morgowe gospodarstwa daje 40% więcej pracy i wyżywienia, niż pozostając w niepodzielnej całości.

Mamy w tej chwili 20% ról, pastwisk i łąk w posiadaniu folwarcznej własności. W Badenie należy do niej 8%. I tyleż może jej wystarczyć w Polsce, byle skasować doszczętnie latyfundia i pozostawić te 8% w posiadaniu niewielkich, rozrzuconych na przestrzeni całego kraju folwarczaków. Wtedy mielibyśmy do parcelacji jeszcze około 2,5 milionów hektarów. Według obecnie obowiązującej ustawy jest ich ledwo 1,5 miliona, (a przeszło 2 miliony już zostały zużyte). Tworząc z parcelacji tylko nowe osady, a nie rozdrabniając parcelowanej ziemi na powiększanie sąsiednich małych rolnych gospodarstw, we wschodnich województwach przeważnienie polskich, a przy tem przydzielając osadnikom od 8-10 morgów (dotychczasowa przeciętna wynosiła około 20 mg) możemy przez rozparcelowanie 2 i pół milionów hektarów usunąć w 80% małość rolności polskiej ludności wiejskiej poza okręgami przemysłowymi i położonymi w sąsiedztwie wielkich miast.

Zwiększenie o 40% zarobków i wyżywienia na 2 i pół miliona hektarach, danie samodzielności gospodarczej 80% polskich małorolnych – to cel naprawdę wielki w dzisiejszych czasach rosnącego bezrobocia i przeludnienia wsi.

Głoszę go też od wielu lat na wykładach. I naprawdę żaden mi go nie podszeptał żydowin. Więc mogli się tego samego domyślać i ludowcy, a także i niektórzy z obecnych ministrów – bez inspiracji żydowsko-masońskiej.

A dyktuje mi ten postulat nie tylko troska o chleb powszedni dla ludu naszego, lecz i myśl o całości naszych granic. Nic tak ich nie umocni, jak zamiana niemieckich gruntów folwarcznych na Pomorzu na polskie grunty chłopskie, oraz przewaga liczebna chłopów polskich nad Zbruczem nad chłopami ruskimi. Brakuje nam do tej przewagi w województwie tarnopolskim niecałe 10% tamtejszej ludności wiejskiej Tych zaś 10 procent da sparcelowanie między polskich chłopów rzekomych „twierdz polskości“, jakimi są latyfundia Małopolski wschodniej, częściowo żydowskie, a jeszcze częściej dzierżawione lub zarządzane przez żydów i w których nieraz poza rodziną dziedzica, nie ma ani jednego polaka – bo służba ruska jest potulniejsza. Więc jest to niemniej ważne z punktu widzenia narodowego, jak społeczno-gospodarczego. Byle oczywiście przestrzegać ściśle zasady, że ziemia jest własnością nietylko jednostek, lecz i narodu, że więc ziemia pol-

ska może przechodzić tylko w ręce polskie.

Szybkie i rozumne dokończenie reformy rolnej jest jednym z głównych zadań, jakie powinna rozwiązać polska planowa gospodarka narodowa. Ale stwierdzam, pomimo całej swej doniosłości, nie wyczerpuje ona całości ruchu ludowego.

I najlepsze jej załatwienie przez rząd nie odda pod jego komendę umysłów i serc chłopskich. Związać ściśle z państwem ruch ludowy, zespolić w jedno z naszymi narodowymi i mocarstwowymi ambicjami, nie w deklaracjach jeno i odświętnych demonstracjach, lecz w codziennej pracy ekspansję gospodarczą i społeczno-cywilizacyjną mas chłopskich zdoła jeno polityka, śmiało powołująca je do obowiązków i praw współgospodarzy Polski.

*

*

*

Nie ma jednej drogi rozwoju ludzkości i jednego zbawczego dla wszystkich narodów ustroju społecznego i politycznego.

Są wprawdzie okresy, w których ogół krajów biedniejszych i mniej cywilizowanych stara się upodobnić jak najbardziej do bogatszych i bardziej oświeconych.

Tak się działo już kilkakrotnie w znanych nam dziejach, ostatnio w ubiegłym stuleciu. W ciągu niespełna 80 lat po wojnach napoleońskich, wszystkie państwa eu-

ropejskie i amerykańskie wraz z azjatycką Japonią, wprowadziły u siebie kapitalizm i ustrój parlamentarny.

Ale kapitalizm w Polsce był jednak odmienny od angielskiego, a parlamentaryzm rosyjski mocno się różnił od francuskiego. Naśladownictwo to było powierzchowne. I zaczerpnięte z Francji i Anglii formy ustrojowe nie zapuściły dość głębokich korzeni nie tylko w Rosji, lecz i we Włoszech i w Niemczech.

Po wojnie światowej wraz z międzynarodową współpracą gospodarczą ustaliło i upodobniało się wzajemnie do siebie wszystkich objętych kapitalistyczną kulturą krajów. Każdy naród musi sam sobie torować drogi swej dziejowej przyszłości. Ustroje i społeczno-gospodarcze i prawno-państwowe się różniczkują.

Pomimo to jednak jest u nas wielu, bardzo wielu, którzy w dalszym ciągu szczyt rozumu społeczno-politycznego widzą w naśladowaniu obcych wzorów, jeno już nie przedwojennych, a najnowszych, najświeższych kreacji.

Gdy to robią ideolodzy wszechludzkiego postępu, członkowie łóż masonskich czy międzynarodówki socjalistycznej, wreszcie komuniści, jest to logiczne

Ale gdy nacjonałiści każą wierzyć we wszechzbawczość doktryn choćby włoskiego faszyzmu tak dalece, iż od powodzenia włoskich i niemieckich wojsk wspierających gen. Franco w niszczonej wojnę domową Hiszpanii uzależniają przyszłość ruchu narodowego w Polsce – jest to przykra karykatura.

Rządy monopartyjne mogą być dobre albo w społe-

czeństwach o odwiecznej niewolniczej, jak w Rosji, kulturze, albo w narodach, które, jak Niemcy i Włochy zespalają się dopiero w jedną duchową całość z różnych części co przez setki lat żyły odrębnym, ale bujnym życiem cywilizacyjno-państwowym, w których więc nie ma braku sił twórczych, może nawet jest nadmiar pędu do wielkości, siły te jednak, tradycyjnie dążąc w rozbieżnych kierunkach, nie wytwarzały samorzutnie harmonii, koniecznej dla wewnętrznej zawartości narodu-państwa.

Polska jednak zespoliła swe dzielnice w jedno narodowe państwo już za Łokietka. I zespoliła się ona tak silnie, że naszej jedności narodowej nie rozerwał nawet 100 lat z górą trwający podział między 3 różne zupełnie kulturą i organizacją prawną państwa.

Ujednolicania narodowego więc nie potrzebujemy. Natomiast mamy najslabszą ze wszystkich krajów środkowej Europy warstwę przedsiębiorczą, nie wielką naprawdę produkcję naukową, zgoła niedostateczny ruch spółdzielczy.. Brak nam na każdym polu życia gospodarczego i publicznego koniecznych dla zdobycia prawdziwej potęgi mocarstwowej sił twórczych. Nie powiększy się ich jednak braniem wszystkich inicjatyw, a nawet wierzeń pod jedną komendę.

Dzieje ostatnich u nas 10 lat – to dzieje coraz większego ujednolicania całego naszego życia publicznego. W wyniku dało ono odwrócenie się podczas ostatnich wyborów trzech czwartych społeczeństwa od jakiegokol-

wiek współdziałania, choćby przez rzucenie kartki do urny, z władzami państwowymi, -- cięższy niż gdziekolwiek w Europie kryzys gospodarczy, -- oraz zastój wszystkich niemal prac społeczno-kulturalnych.

I nie dlatego tak smutne dały wyniki rządy sanacyjne, że na czele ich stali źli ludzie, lub że nie miały one należytej idei przewodniej. Toć legioniści i Brygady nie byli bezideowymi karierowiczami. Niewątpliwie też pragnęli oni wprzągnąć cały naród do pracy dla wielkości Polski

Kardynalnym ich wszakże grzechem była monopartyjność. I gdyby jakiegokolwiek inne stronnictwo chciało również „brać za pysk“ społeczeństwo -- osiągnęłoby takie same rezultaty, z aferą Parylewiczowej łącznie.

Bo nie ma w narodzie naszym warstwy społecznej wybijającej się ponad wszystkie inne czy to gospodarczą potęgą, czy doświadczeniem w sprawowaniu władzy, czy jednolitością swych dążeń, jasnością myśli, siłą charakteru.

Była nią jeszcze w dziewięćdziesiątych latach ubiegłego stulecia -- szlachta. Ale w ostatnich 40 latach nie tylko odprzedała chłopom przeszło połowę posiadanej przez się ziemi, odstąpiła ona również ludziom pochodzenia włościańskiego, drobnomieszczańskiego i robotniczego prymat w literaturze, sztuce i nauce. Więc nie ma dziś ona żadnego już tytułu nietylko do rządzenia, lecz choćby do przodowania w politycznym życiu Polski. Nieraz mówiono u nas o inteligencji zawodowej jako o natural-

nym przodowniku narodu. Większość jej – to urzędnicy. W rzeczywistości, w ostatnich 5 latach rządziła u nas państwem niepodzielnie biurokracja, a więc urzędnicza inteligencja. I cóż się okazało? Oto, że nie ma ona żadnej własnej ideologii, że gotowa jest spełniać wszystko, co jej rozkazują ci, którzy w danej chwili decydują o karierach, awansach i uposażeniach. Bo minimalna część obecnej naszej inteligencji ma dzięki fachowej swej wiedzy, czy posiadanemu majątkowi, niezależność gospodarczą. Olbrzymia jej większość, to zupełny proletariat, nie posiadający nawet zamożniejszych krewnych, o którychby można się oprzeć w razie utraty posady.

Nie posiadamy zdolnej do rządzenia warstwy społecznej. Lecz może za to jest górujące wpływy swymi we wszystkich warstwach stronnictwo?

Miał być nim Blok Bezpartyjny. Ale się rozleciał. Chciał być tym Obóz Wielkiej Polski. Ale zdobył większość tylko wśród młodzieży akademickiej. Młodzi stronnictwa narodowego nie potrafią uruchomić dziś ani czwartej części tych mas chłopskich, które idą za ludowcami, i ani połowy tych zastępów robotniczych, jakie słuchają dyrektyw socjalistycznych.

Więc jakiegokolwiek byłyby u nas rządy monopartyjne, będą to zawsze rządy mniejszości, nie mającej żadnej naturalnej nad resztą społeczeństwa przewagi i utrzymującej się w charakterze rzekomej elity – tylko mechanicznym, przy pomocy presji administracyjnej, uzależnianiem od siebie ogółu ludności, typowe rządy policyjne

Tragedią wszakże takich rządów jest, że muszą wszystko inne, wszystkie swoje zasady podporządkować samej sztuce trzymania kraju w posłuszeństwie. Trzymanie się u władzy staje się celem samym dla siebie. Realizm polityczny zabija wszelki idealizm. I to nie tylko w grupie rządzącej – również we wszystkich zależnych od niej grupach społecznych, a następnie u jej przeciwników. Bo gdy naczelnym celem „rządzącej elity“ jest trzymanie się u władzy, to naczelnym celem opozycji musi być odebranie jej rządów. Polityka przestaje być służbą narodowi, umiejętnością uzyskiwania zamierzonych celów mocarstwowych, ekonomicznych, społecznych, doskonalenia życia narodowego, – staje się sztuką zdobywania władzy nad narodem i trzymania jej w swym ręku.

Jest różna dusza narodów. Są narody umięjące na rozkaz wierzyć. Polak na rozkaz potrafi tylko udawać, że wierzy i wtedy – podleje Wbijanie pałką policyjną w głowy obywateli jednolitego poglądu na sprawy państwowe – naród nasz nie tylko ogłupia, lecz i pozbawia ambicji. Bo już tacy jesteśmy: Kto z nas nie ma własnej ambicji obywatelskiej i zawodowej – ten nie ma również ambicji narodowo-państwowej. Dążenia do Wielkiej Polski na niewolnictwie duchowym polaków oprzeć nie można.

Więc zagadnieniem naszej przyszłości nie jest: Kto i jak, jaka „elita“ i jakimi sposobami ma podporządkować swej dyktaturze naród, lecz jak i jaką wytworzyć narodowo-państwową syntezę, ze wszystkich twórczych,

posiadających własną ekspansję warstw i kierunków społeczno-politycznych.

Powtarzam: Syntezę – a nie kompromisowy podział korzyści władzy.

Przedmajowe koalicje zawiodły, bo było w nich za dużo takiego kompromisowego dzielenia tek, województw, starostw, instytucyj. I powracać do nich nikt bodaj nie ma zamiaru.

Syntezą jednak a nie kompromisem był rząd obrony narodowej w 1920 r.

Syntezę tworzy wspólna wielka idea, z którą poszczególne warstwy narodu chcą i potrafią zharmonizować swe stanowe czy zawodowe dążenia

Tak, właśnie: zharmonizować, a nie podporządkować. Bo naród jest syntetyczną całością: nie przekreśla on istnienia klas, stanów, generacyj, samorządów zawodowych i terytorialnych, nie tłumi ambicyj, ekspansji poszczególnych swych warstw, nie jest zazdrosny o miłość rodziny, własnego osiedla, nie podporządkowuje sobie żadnej twórczości swych członków. Lecz wszystkie w nim istniejące twórcze dążenia i ukochania zespala, harmonizując z naczelną swą treścią. A jest nią żywe w każdym obywatelu poczucie obowiązku przekazania następnym generacjom nie pomniejszonej, lecz możliwie zwiększonej cywilizacyjnej i politycznej spuścizny, odziedziczonej po poprzednich pokoleniach, i wypływająca z obowiązku tego świadomość odpowiedzialności przed całą przeszłą i przyszłą historią.

W czasie wojny światowej masy chłopskie dały dowód gorącej miłości Polski i dużej narodowej ambicji. Cóż bo jak nie ta ambicja kazała dziesiątkom tysięcy chłopów skupiać się pod sztandarami polskich formacji wojskowych, zarówno legionów, jak korpusu Dowbora, armii Hallera, dywizji syberyjskiej, murmańskiego oddziału.

Od początków odzyskanej niepodległości chłopci stanowili najpewniejszy fundament, na którym mogła się opierać mocarstwowa nasza polityka.

Ale dziś nie chcą być oni jeno fundamentem narodo-wo-państwowego naszego gmachu. Bo jest w nich nie tylko żywa miłość Polski. Wykształciło się w nich poczucie ich własnej odpowiedzialności za przyszłość Polski. Nie pragną oni jedynie, by Polską rządził rząd, prowadzący Ją do lepszej przyszłości. Chcą oni sami iść do lepszej i silniejszej Polski. Jest dziś w chłopskim naszym ogóle to samo poczucie roli, jaką powinien on spełnić w dalszych dziejach Polski, jakie było w szlachcie w XV w.

I jak szlachta wówczas – tak dziś chłopci muszą się stać ośrodkiem narodo-wo-państwowej naszej syntezy. A naczelnymi elementami tej syntezy powinna być wraz z nimi po pierwsze armia, po drugie patriotyczna i demokratyczna, umiejąca szczerze z ludem współpracować inteligencja, do społu ze średnio-zamożnym polskim mieszczaństwem i średnim ziemiaństwem przechowująca tra-

dycję ofiarnej, w czasach najcięższych nawet prześladowań, służby narodowi.

Ale z tych wszystkich czynników naszego życia narodowego wolę przeprowadzenia swych zamierzeń mają na prawdę tylko dwa: chłopci i armia. Mogło dojść do zespolenia się ich w Nowosielcach. A wtedy powstałby był ośrodek energii narodowej, któryby nadał Polsce silny pęd ku górze. Nie stało się to jednak. – Ale też nie doszło do starć między wojskiem a chłopami. I nie daj Boże, by do tego kiedykolwiek dojść mogło. „Rokosz“ byłby prawdopodobnie stłumiony, ale niewątpliwie zostałby przy tem zabity raz na zawsze patriotyzm warstwy włościańskiej, nie tylko najliczniejszej lecz i posiadającej dziś najsilniejszy ze wszystkich naszych warstw aktywizm społeczno-polityczny.

Swego czasu w Rosji Stołypin powiedział: „nasamprzód uśmierzenie – potem reformy“. I uśmierzył. Lecz w wojnie światowej chłopci rosyjscy, na których bezwzględny oddaniu carowi i ojczyźnie opierała się od wieków siła armii rosyjskiej – zawiedli.

Dwa są – powtarzam – w narodzie naszym ośrodki dużej energii i silnej woli: armia i ruch chłopski. Gdyby zamiast wejść w ścisłe współdziałanie dla ziszczenia obu im wspólnego dążenia do potężnej, bogatej i szczęśliwej Polski, – weszły te dwie siły wskutek jakichś prestiżowych rozgrywek w ostry konflikt – byłoby to najgorszą, jaka nas spotkać może, katastrofą.

Gdy wszakże w narodzie są dwie wielkie energie, nie

mogą one rozwijać swej ekspansji, nie zahaczając o siebie. Więc żeby nie stanęły kiedyś przeciwko sobie – trzeba by się zespoliły we wspólnym do jednego celu dążeniu.

Ale nie może nim być jakakolwiek, choćby najszlachetniejsza i w danej chwili najpożądańsza (jak np. pogodzenie się obecnych sterników naszej nawy państwowej z przewodcami ruchu chłopskiego) wyłącznie personalna kombinacja.

Co więcej nie może nim być samo tylko zespolenie chłopów z armią i armii z chłopami, Polska chłopsko-żołnierska, choć niewątpliwie – raz jeszcze stwierdzam – przede wszystkim na energii i dynamice wojska i chłopów musi się zdolna wydzwignąć Polskę z dzisiejszej rozterki synteza nasza narodowa oprzeć .

Bo ani chłopci, ani armia nasza, ani armia z chłopami nie wydobędą Polski z biernego kapitalizmu, w którym tkwimy i który nie pozwala nam nadać rozwojowi naszych sił wytwórczych tempa koniecznego na to, by cały przyrost ludności wiejskiej odpływał do zajęć przemysłowo-handlowych.

Ale póki to się nie stanie – nie przestanie wieś biednieć. I mimo dojścia mas włościańskich do roli rzeczywistego, czynnego współgospodarza Polski – bez równoczesnej naprawy, a nawet przebudowy całego naszego ustroju społeczno-gospodarczego, życie wsi stawałoby się coraz gorsze, coraz bardziej beznadziejne. A ten straszny

zawód dzisiejszych nadziei chłopskich – stałby się fermentem już nie politycznej ale socjalnej rewolucji.

Zagadnienie naszej przyszłości nie jest politycznym jeno problematem. Jest ono zarazem sprawą nowej zgoła u nas ekonomii społecznej i nowej moralności obywatelskiej. A nie sposób tworzyć silnego przemysłu-wojskowymi jeno rozkazami, czy pracą kooperatyw włościańskich. Musi w tym wziąć czynny udział cała nasza istniejąca już i nowo przez szkoły wytwarzana warstwa przedsiębiorcza, nasze polskie mieszczaństwo. Dziś jednak jest w nim duch co najwyżej obrony swych stanowisk. A nadchodzą czasy, w których ostoi się ten tylko naród, co mieć będzie silną wolę zwycięstwa i to nie dopiero w chwili orężnej rozprawy, lecz budującą latami wytrwałym, konsekwentnym i entuzjastycznym wysiłkiem materialne i moralne podstawy przyszełego tryumfu.

Tę wolę wydobyć z naszego dziś tak biernego mieszczaństwa zdoła tylko silny prąd ideowy. Wytworzenie go jest zadaniem inteligencji.

Siła dynamiczna armii chłopów daje pewność, że oparta na ich patryotyzmie synteza narodowa da Polsce wolę, potrzebną dla zwycięstwa. Ale gospodarcze, materialne jego podstawy musi stworzyć wielokrotnie wzmożony rozwój przemysłu i handlu. Więc do naszej syntezy narodowej musi wejść polska warstwa przedsiębiorcza. Potrzebne jest w niej również i średnie ziemiaństwo. Im silniejsze jest dziś bowiem dążenie masy chłopskiej do społecznego i kulturalnego wywyższenia się, tem koniecz-

niejszy jest szybki postęp naszej wiedzy rolniczej. Nie tworzą go jednak nigdzie same tylko akademie rolnicze i stacje doświadczalne. Wypływa on wszędzie ze współpracy uczonych z przedsiębiorcami rolniczymi o możliwie najwyższym wykształceniu technicznym. Większy jest dochód z hektara w gospodarstwach chłopskich. Ale lepsza jest uprawa, racjonalniejsze karmienie inwentarza, lepsza hodowla zarodowego bydła, umiejętniejsza produkcja nasion na folwarkach. Więc trzeba, by w każdym powiecie była pewna ilość przewodników postępu rolniczego, pracujących na własnych paruset morgowych folwarkach.

Ale dalsze istnienie obok siebie włościan, właścicieli folwarków, kupców, rzemieślników, przedsiębiorców fabrycznych choćby w lepszym niż dotychczas liczebnym stosunku, nie stworzy narodowej syntezy, kładącej kres dzisiejszej rozterce i biedzie, by poprowadzić Polskę do nowego lepszego życia.

Wszystkie te warstwy muszą się stać składnikami nowego lepszego życia. Ale praca ich wszystkich nie może nadal służyć bezpośrednio ich własnemu jedynie dobrobytowi, pośrednio tylko przyczyniając się do ogólnego gospodarczego i cywilizacyjnego postępu kraju.

By Polska zajęła nie za lat 100, ale jaknajprędzej odpowiadające jej mocarstwowym ambicjom miejsce w ekonomicznej hierarchii europejskich narodów – na to trzeba, żeby każda warstwa stała się organem całości narodowo-państwowej, bezpośrednio postępowi, sile i do-

skonaleniu się tej całości służącym. Minęły już czasy, gdy najmądrzejszym wskazaniem były słowa Brodzińskiego: „rób każdy w swoim kółku, co każde duch Boży, a całość sama się złoży“. Dziś już nawet w Stanach Zjednoczonych całość się sama nie składa: Tym mniej może się ona u nas sama złożyć! Musi ją u nas stworzyć planowa gospodarka narodowa. Ona jedynie zabezpieczy wieś naszą przed dalszym przeludnieniem i podniesie dobrobyt masy chłopskiej. Tylko ona da armii niezbędne dla zwycięstwa zaopatrzenie w sprzęt bojowy.

I wyłącznie ona uniezależni nas od rozporządzającej światowymi zasobami złota międzynarodowej finansjery, da możliwość szybkiego narastania rdzennie polskiej warstwy przedsiębiorczej, przemieni szerzące się w całym społeczeństwie zniechęcenie na silną wiarę w własne siły i lepszą przyszłość.

Ona musi stworzyć materialne podstawy naszej dziennej przyszłości, której naczelnym motorem powinno się stać – zespolenie energii ruchu chłopskiego i armii, a przewodnią myślą – idea państwa chrześcijańskiego, przeciwstawiającego się wyraźnie zarówno sowieckiemu bezbożnictwu jak – i pogańskiemu totalizmowi dzisiejszych Niemiec.

XII. CZEGO SIĘ MOŻEMY NAUCZYĆ Z REFORM FINANSOWYCH WIELKICH PAŃSTW?

Dłużej niż w całym świecie trwa u nas depresja gospodarcza. I dłużej też od innych państw pozostajemy wierni zasadzie waluty złotej. Tak – zasadzie waluty złotej, a nie walucie złotej. Bo złotą walutę miały po wojnie i aż do ostatnich nawet czasów różne kraje, gdzie banknot był wymienialny łatwo na złoto, jak w Anglii przed dewaluacją funta, w Stanach Zjednoczonych przed reformą Roosevelta, albo gdzie przynajmniej był pokryty w ośmdziesięciu i więcej procentach złotem, jak do niedawna we Francji i Szwajcarji, a przy tym czynny bilans płatniczy zapewniał mu kurs na równi złota bez jakichkolwiek ograniczeń wolnego obrotu dewizami. Tam naprawdę pieniądzem było złoto, a banknot był jego zastępcą.

Ale myśmy nie mieli nigdy rzeczywistej waluty złotej. Bo banknoty, za które ogromna większość ich posiadaczy nie ma nawet prawa żądać złota – gdyż nie posiada potrzebnych do tego warunków – i które są pokryte sztabami złota mniej niż w połowie – nie reprezentują złotych pieniędzy, ale są same pieniędzmi.

Realne, znajdujące się w skarbcu banku emisyjnego złoto służyło u nas zawsze tylko dla wyrównywania deficytu naszego bilansu płatniczego – było więc naprawdę nawet nie kruszcowem „jądrem” naszej waluty, ale jej kruszczową rezerwą, potrzebną dla rozrachunkowych na międzynarodowych rynkach operacyj. Poza tym złoto – ale nie realne, jeno idealne (bo bez względu na to, wiele go było w kraju) – służyło za miernik wartości naszych pieniędzy. Siłę nabywczą naszego banknotu mierzyliśmy i mierzymy wartością pewnej, prawnie określonej, ilości złota.

Z chwilą wszakże wprowadzenia ograniczeń dewizowych znaczenie dla bieżącego życia gospodarczego rezerwy kruszczowej, złożonej z realnych zasobów złota, znajdujących się w Banku Polskim, spadło do minimum. Konieczna jest nam ona naprawdę dopiero na wypadek wojny. Dziś więc złoto spełnia w naszym systemie walutowym rolę jeno idealnego miernika wartości. Ten idealny miernik w ciągu ostatnich 5 lat wszystkie inne państwa po kolei zmieniły i obniżały; ostatnio i państwa „złotego bloku” z Francją na czele. My jedni pozostajemy od lat dziesięciu niezmiennie wierni idealnej, ustanowionej po dewaluacji z 1925 r. teoretycznej zawartości złota w naszym złotowym banknocie.

Możnaby być dumnym z tak wyjątkowej wierności zasadzie... gdyby nie inercja nasza na tylu innych punktach, z których bardzo trzeba już zejść...

Ale nie bezmyślne naśladownictwo tego, co inni robią,

jeny uczenie się z doświadczeń narodów przodujących jest potrzebne, by wysunąć się z ostatniego miejsca w gospodarczym postępie narodów na jakieś bardziej odpowiadające naszym mocarstwowym koniecznościom.

Trzy państwa wielkie, bogate, posiadające duże doświadczenie i dużą wiedzę w sprawach walutowych przeprowadziły kolejno wraz z wzorującymi się na nich mniejszymi państwami planową dewaluację swych banknotów.

Zaczęła Anglia. Wnet za nią padały państwa skandynawskie i cały „blok szterlingowy“. Po paru latach obniżyły kurs swych banknotów Stany Zjednoczone. Ostatnio uczyniły to państwa „bloku złotego“.

Bezpośrednie motywy każdej z tych dewaluacji były inne. Anglia dopuściła do spadku banknotów funtowych poniżej równi złota dla obniżenia kosztów swej produkcji w złocie – by w ten sposób ułatwić eksporterom walkę konkurencyjną na rynkach światowych. Płace robocze, liczone w szylingach i funtach, pozostały bez zmiany. Ale liczone w złocie i innych walutach, trzymających się wówczas równi złota, np. w dolarach czy frankach, spadły. Więc fabrykanci angielscy mogli dzięki tej dewaluacji obniżyć cenę w dolarach czy frankach oferowanych przez się zagranicznym odbiorcom towarów. Rachuba okazała się trafną. Eksport angielski wzrósł, zmalało bezrobocie, a koszty żywienia w kraju nieznacznie tylko wzrosły.

Inny był cel dewaluacji w Stanach Zjednoczonych. Są

one jednym z najbardziej samowystarczalnych w świecie krajów. Eksport ich przed kryzysem w czasach największego ożywienia międzynarodowej wymiany nie osiągał jednej piątej produkcji. Ale kryzysowy spadek produkcji wynosił przeszło 40%. Nie w ożywieniu więc wywozu, lecz rynku wewnętrznego trzeba było szukać sposobu przełamania kryzysu w Stanach. Roosevelt zdevaluował dolara, żeby: 1) oddłużyć farmerów, których dochody ledwo na opłatę procentów starczały, 2) wywołać wzrost cen, zachęcającą do powiększenia produkcji, – 3) zwiększyć emisję banknotów i rozszerzyć kredyty na prywatne i publiczne prace inwestycyjne. Ponowny tryumfalny wybór Roosevelta świadczy, że i ten „eksperyment” się udał.

Pomimo że dewaluacja dolara przekreśliła ostatecznie nadzieje, że świat wróci z powrotem do przedwojennego wolnego obiegu pieniędzy złotych – Francja nadal gromadziła u siebie jak największe zasoby złota, a wobec tego też trzymała kurs swych banknotów na najwyższym ich legalnym poziomie. Kierowały tą jej polityką dwa głównie względy: wzgląd na bezpieczeństwo kraju i wzgląd na interesy niezwykle licznej we Francji warstwy rentierskiej, posiadaczy pieniędzy i papierów wartościowych, opiewających na franki.

Frank był jedyną walutą cieszącą się zaufaniem na całym świecie. Płynęły stąd różne dla Francji korzyści. Ale płynęły i straty: Koszty produkcji, liczone w zlocie, były nadmierne; malał wskutek tego eksport; nadmierny

też był liczony w dolarach czy funtach koszt życia we Francji, malał więc ruch turystyczny; produkcja się kurczyła, dochody przedsiębiorstw spadały, a wobec tego rentierzy chowali pieniądze; około jednej trzeciej pieniężnych zasobów narodu francuskiego leżało bezczynnie – czekając na lepsze czasy.

Gdy już od półtora roku kryzys minął był w całym świecie, bo wskaźnik produkcji światowej podniósł się ponad poziom z 1928 r. – to we Francji nadal rosło bezrobocie. I to było główną przyczyną przesunięcia się masy wyborców francuskich na lewo. Zwycięstwo frontu ludowego było tam przede wszystkim reakcją świata pracy przeciwko nadmiernie rentierskiej polityce ekonomicznej poprzednich rządów. A logiczną konsekwencją tej reakcji – była dewaluacja franka. Francja zmniejszyła zawartość złota we franku, nie dla oddłużenia wzorem Stanów swych farmerów (bo nie byli oni tam zadłużeni) i nie tyle nawet dla zniżki kosztów produkcji, bo dziś wymiana międzynarodowa opiera się o wiele mniej na konkurencji taniością, co na wyrównawczych umowach kontygentowych; głównym tej dewaluacji celem jest wyciągnięcie z ukrycia i skierowanie do handlu i produkcji tezauryzowanych zasobów pieniężnych francuskich rentierów.

Na tę różnorodność celów dewaluacji przeprowadzonej w ostatnich 5 latach w różnych państwach – należy specjalnie zwrócić uwagę.

Świadczy ona bowiem, że w całym cywilizowanym

świecie, niezależnie od takich czy innych warunków i potrzeb życia ekonomicznego poszczególnych krajów, zarówno w państwach wielkiego eksportu (Anglia), jak i samowystarczalnych (Stany), o silnie rozwiniętej gospodarce kredytowej (Stany) jak i o gotówkowych przeważnie obrotach na swych rynkach wewnętrznych (Francja) – odstąpiono od wyznawanego przed wojną powszechnie aksjomatu stałości pieniądza, jako głównej podstawy równowagi życia gospodarczego. Obecnie, wręcz na odwrót, wszystkie wielkie, bogate i – powtarzam raz jeszcze – posiadające duże doświadczenie i dużą wiedzę w sprawach walutowych państwa przywracają zwichniętą w latach kryzysowych równowagę swego życia ekonomicznego przez manipulowanie ruchomym, zmiennym w swej wartości, pieniądzem.

XIII. SYSTEMY PLANOWEJ GOSPODARKI AMERYKI, NIEMIEC, ROSJI I WŁOCH.

Prezydent Roosevelt uzyskał przy powtórnym wyborze znacznie silniejszą większość niż kandydując po raz pierwszy.

Więc zaufanie ludności Stanów do jego planowej gospodarki po kilkuletnich doświadczeniach wzrosło. Dotychczas jej wyniki przekonały liczne miliony obywateli, którzy do zapowiedzi jej odnosiły się sceptycznie, o jej zaletach.

A północni Amerykanie to ludzie praktyczni. Każdego człowieka i każdą akcję osądzają wedle realnie uzyskiwanych korzyści.

Więc triumf wyborczy Roosevelta wymowniej od wszelkich indeksów statystycznych stwierdza, że życie gospodarcze mas ludności i rolniczej i przemysłowej Stanów dzięki „eksperymentom“ prezydenta się poprawiło i że poprawa ta nie ustaje.

Zgryźliwe uwagi na temat polityki Roosevelta, których tak wiele było we wszystkich niemal naszych dziennikach, świadczą jeno, jak trudno jest nie tylko starym ale i młodym wyznawcom pewnych doktryn uznać nowo zjawia-

jące się fakty i przemiany stosunków, przeczące dotychczas głoszonym „prawdom“.

Są okresy historii, w których rozwój gospodarczy narodu idzie prostą, równą drogą. Tak było w wieku XIX i aż do wojny światowej. Droga ta prowadziła wszędzie przez wyzwolenie się inicjatyw indywidualnych z krępujących ją pozostałości państw stanowych i policyjnych, coraz większe bezpieczeństwo zdobywanego pracą i oszczędnością mienia, rozszerzenie się rynków, rosnącą międzynarodową wymianę dóbr, kapitałów i sił roboczych, coraz większą mechanizację produkcji i coraz silniejsze uprzemysłowienie się krajów. W takich czasach podstawową cechą dobrej polityki ekonomicznej jest stałość jej zasad. Ale są i okresy inne rosnących dążeń do świadomej przebudowy istniejących stosunków społeczno-gospodarczych, tworzenia przez każdy naród z osobna nowych własnych swej przyszłości podstaw. Wtedy wierność zasadom, nie dopuszczająca do wprowadzania wczas należytych wniosków z przemian, naokoło nas zachodzących – jest błędem.

Dewaluacja franka przekreśliła ostatecznie w dzisiejszym powojennym świecie jedną z naczelných zasad przedwojennej polityki ekonomicznej: zasadę trwałości waluty.

Jej miejsce zajmuje inna zasada: trwałość zarobków i cen.

Zacząło się to już w chwili podpisywania traktatu wersalskiego. Podpisujące go państwa zobowiązały się

zapewnić robotnikom swych krajów „przyswoite zarobki“, pamiętając, że „praca nie jest towarem rynkowym”.

Może nie wszyscy uczestnicy kongresu wersalskiego zdawali sobie w pełni sprawę z dziejowego znaczenia tej deklaracji. A jednak – jeśli przez co został stworzony nowy po wojnie okres historii społecznej – to nie przez organizację Ligi Narodów, która poto chyba tylko istnienie, by na jej tle tym silniej zarysowywała się rozbieżność dróg, którymi zdążają do swych przyszłości poszczególne państwa – lecz przez zmianę zasadniczego poglądu wszystkich narodów i wielu pozaeuropejskich na pracę i płacę roboczą.

Praca – nie jest towarem rynkowym. Robotnikom należy się zarobek nie ten, który wynika ze stosunku podaży i popytu na rynkach pracy – ale przyswoity. I to mają im gwarantować – państwa.

Ale od wysokości płac roboczych zależą koszty produkcji, a od kosztów produkcji, ceny towarów. Więc nieuchronną konsekwencją państwowego rozjemstwa o płacę między robotnikami a przedsiębiorcami staje się rozjemstwo państwowe i w sporach między producentami a przetwórcami i konsumentami, – ceny normowane, a nie rynkowe, coraz większej ilości towarów.

W imię czego wszakże państwo ma prawo narzucać sprzedawcom i kupującym takie czy inne ceny? Jedyne i wyłącznie w imię dobra *całości społeczno-narodowej*.

Kapitalizm w swych początkach był nawskroś indywidualistyczny. Ale już w drugiej połowie XIX wieku fa-

bryki stawały się coraz bardziej własnością spółek a nie jednostek. Również o placach roboczych zaczęły decydować walki i umowy nie pojedynczych robotników i przedsiębiorców, lecz ich zrzeszeń. A już w 1880 r. coraz więcej fabryk i kopalń wyzbywało się części swej samodzielności na rzecz trustów i karteli. W Anglii, Niemczech i Stanach Zjednoczonych w pierwszych po wojnie latach większość robotników pracowało w skartelizowanych przedsiębiorstwach. W przede dniu ostatniego światowego kryzysu kierownictwo całym gospodarczym życiem Stanów skoncentrowała się w ręku kilkuset magnatów finansowych, stojących na czele wielko-kapitalistycznych zrzeszeń. Wytworzyła się planowa gospodarka holdingów i karteli. Wynikiem jej był kryzys światowy.

Błędy planowej gospodarki giełdowo-spekulacyjnej finansjerji – zwróciły myśl Roosevelta i jego wyborców ku planowej gospodarce państwowej. A po paru latach stosowania jej o wiele jeszcze znaczniejsza większość obywateli Stanów zaaprobowała ją.

Istnieje planowa gospodarka państwowa w Z.S.S.R. Do diametralnie odwrotnych celów zmierza i na innych opiera się siłach psychicznych społeczno-gospodarcza polityka Włoch oraz Niemiec. Ale i one są planowymi gospodarkami państwowymi, tj. gospodarkami, w których nie z tego się całość składa, że każdy czyni, co mu własny jego interes dyktuje, lecz w których działanie poszczególnych przedsiębiorstw i gospodarstw jako organizacyjnych komórek narodowo-państwowej całości wy-

nika z roli, jaką mają one do wypełnienia dla realizacji celów i zamierzeń tejże całości.

Wszakże nie ma żadnego na to dowodu, czy ludność Włoch i Niemiec czuje się w tej państwowej gospodarce planowej lepiej, niż poprzednio. Bo nikt się tam naprawdę o zdanie obywateli nie pyta.

Ale Stany Zjednoczone pozostały nadal państwem i demokratycznym i liberalnym, o którego polityce decyduje niczym nie krępowana wola większości społeczeństwa.

Więc planowa gospodarka narodowo-państwowa nie musi być koniecznie dziełem mniejszości narzucającej swoje cele i swe metody działania biernej większości. Może ona wypłynąć również z przeświadczenia ogółu obywateli – i to przeświadczenia, opartego nie tylko na budzących zaufanie obietnicach, lecz i na kilkoletnich realnych doświadczeniach.

Głosując na Roosevelta olbrzymia większość wyborców w Stanach, nie tylko oświadczyła się za rozbudową planowej gospodarki państwowej, ale zaaprobowała również jej kierunek i jej sposoby działania.

Kierunek jej jest swoisty, krańcowo przeciwny bolszewickiemu upaństwowianiu życia gospodarczego, a różny też od narodowo-socjalistycznego podporządkowania potędze państwowej całej cywilizacyjnej twórczości narodu.

Ze wszystkich współczesnych systemów gospodarki planowej – system Roosevelta pozostawia najszersze pole

działania indywidualnym inicjatywom przedsiębiorczym. Nie niszczy jej, ani nie zamienia przez działalność państwową – jak to się dzieje w Rosji. Nie podporządkowuje jej nawet nakazom i zakazom administracji państwowej jak w Niemczech, ale stara się harmonizować interesy i dążenia poszczególnych grup zawodowych ludności z naczelnymi celami całości społeczno-gospodarczej Stanów. A sposobem do tego prowadzącym jest regulacja cen za pomocą polityki walutowo-kredytowej.

Zwycięstwo wyborcze Roosevelta, to jednocześnie przegrana doktryny, że pieniądź jest tylko miernikiem wartości i że wszelkie dewalucyjne oddziaływanie na koniunkturę rynkową może stwarzać tylko chwilowe podniety, po których musi przyjść nieuchronnie tym gorsza depresja.

I tę prawdę trzeba dziś złożyć do zabytków niedawnej, świetnej, ale minionej bezpowrotnie przeszłości.

XIV. WŁASNA DROGA POLSKI.

Są narody przebuduwujące cały swój ustrój społeczno-gospodarczy w myśl ideałów. Są inne, które, pozostając wierne dawnym ideałom, wprowadzają częściowo je-
no ulepszenia swego ekonomicznego życia.

Często i jedne i drugie używają tych samych sposobów działania, stosują podobne nakazy i zakazy, powołują do życia takie same instytucje.

A jednak choć drogi ich polityki ekonomicznej idą na różnych odcinkach równolegle, zmierzają one do zasadniczo innych celów.

I Niemcy i Francja starają się podobnie za pomocą wysokich cel i ścisłego kontyngentowania przywozu podnosić ceny produktów rolniczych do poziomu, któryby zapewnił włościanom wynagrodzenie za ich pracę rolniczą nie wiele mniejsze od otrzymywanego przez robotników przemysłowych, by w ten sposób powstrzymać wzmogoną nadmiernie po wojnie emigrację ludności wiejskiej do miast.

A przecież Francja zgoła nie idzie ku państwu totalnemu jak Niemcy.

Liczne są analogie współczesnej polityki społeczno-go-

spodarczej ogromnej większości państw. W całym niemal świecie koniunktura już nie przebiega „naturalnie“, nie tworzy się „automatycznie“, lecz kierują nią rządy państw, banki emisyjne, odpowiednio manipulując kursami i emisjami. Wszystkie też prawie państwa starają się o zrównoważenie swych bilansów handlowych za pomocą umów wyrównawczych, przyznających obcym krajom kontyngenty importu równe uzyskanym wzamian kontyngentom własnego do nich eksportu. Niemal też wszędzie dla zwalczania bezrobocia państwa organizują lub organizowały do niedawna wielkie roboty inwestycyjne.

Interwencjonizm państwowy wzrósł wszędzie po wojnie. Wszystkie rządy uważają za swój obowiązek pośredniczyć i rozstrzygać w zatargach między robotnikami a pracodawcami, starać się o przyzwoity zarobek dla chcących pracować, a nie znajdujących zatrudnienia w prywatnych przedsiębiorstwach, dostarczać bezrobotnym zapomóg, chroniących ich przed nędzą. Wszystkie one w tym czy innym kierunku oddziałują na kształtowanie się handlu zagranicznego, na siłę nabywczą rynków wewnętrznych, rozwój przedsiębiorczości, na stosunek cen rolniczych i przemysłowych, oraz na ogólny ich poziom.

Pomimo to jednak żaden rząd w Anglii, nawet socjalistycznej partii pracy nie nazywał swego interwencjonizmu „rewolucją“, nie rzucał potępieniem na całą dotychczasową rzeczywistość, nie głosił wprowadzania w

życie nowego zupełnie ustroju. Nie czyni tego i obecny rząd „frontu ludowego“ we Francji.

Natomiast we Włoszech wdraża się w umysły obywateli nieustannie rewolucję faszystowską, a w Niemczech rewolucję narodowo-socjalistyczną. I prezydent Roosevelt nie tai, że pragnie on przyszłość społeczno-gospodarczą Stanów oprzeć na nowych podstawach, na odebraniu giełdom i koncernom bankowym kierowniczej roli w życiu ekonomicznym kraju, a przejęciu jej przez państwo, na postawieniu interesów warstw pracujących, zarówno farmerów jak robotników po nad interes posiadaczy pieniędzy, na usunięciu wszelkich na przyszłość kryzysów a nawet silniejszych wahań koniunktury przez stworzenie pieniądza o zmiennej w stosunku do złota, ale stałej w stosunku do towarów sile nabywczej.

Więc są narody i państwa, których ambicją jest stworzyć nowe, zasadniczo odmienne i lepsze od dotychczasowego życie, i narody zadowolające się pewnymi tylko ulepszeniami istniejących u nich urządzeń i stosunków.

Wśród których z nich powinniśmy się chcieć znaleźć.

Słyszeliśmy niedawno okrzyk: w górę! Ale równocześnie słyszeliśmy przestrożę, by nie chcieć odrazu za wiele – bo poprawa gospodarczego życia kraju musi być naturalnym procesem, a naturalne procesy uzdrowienia nie są nigdy gwałtowne.

To też naprawdę nie tylko nie skoczyliśmy w górę, ale nawet nie rozprostowaliśmy całkowicie grzbietów zbyt przygiętych kilkoletnim deflacyjnym równaniem w dół.

Zapewne – lepiej jest, że już zmierzamy od roku ku górze. Ale gdy nasi sąsiedzi pędzą coraz wyżej szturmowym biegiem, my posuwamy się naprzód wolniutkim kroczkiem rekonwalescentów. Niebezpieczeństwo jakim nam grozi niewspółmierność tempa rozwoju sił wytwórczych, przede wszystkim przemysłu metalurgicznego i chemicznego w Niemczech, Rosji a u nas, powinna wywołać i w rządzie i w społeczeństwie naszym większe – o wiele większe ambicje od tych, które zaspakaja już wzrost wskaźnika produkcji z 66 na 72 ; bo jest to wciąż jeszcze indeks najniższy w całej Europie.

Wzgląd na bezpieczeństwo granic nie jest jednak jedynym motywem nie pozwalającym nam na zadawalanie się drobnymi ulepszeniami. Równie imperatywnie nakazuje nam przebudowę całego naszego ustroju społeczno-gospodarczego fakt, że w ustroju obecnym nie zdołamy nigdy sami własnymi siłami wyżywić swego przyrostu ludności.

Mamy ustrój zasadniczo taki sam, jak zachodnia Europa, ustrój kapitalistyczny. Ale nasza nauka i publicystyka ekonomiczna nie dość na to dotychczas zwraca uwagi, że są dwa rodzaje krajów o kapitalistycznej strukturze: kraje kapitalizmu czynnego i kapitalizmu biernego.

Nasz kapitalizm był zawsze i jest nawskroś bierny. Wszystkie czynniki naszego przedwojennego, naprawdę szybkiego postępu gospodarczego, znajdowały się poza Polską.

W wyniku wojny światowej odzyskaliśmy niepodleg-

łość państwową. Ale nie zdobyliśmy samotności gospodarczej. Pozostaliśmy nadal krajem kapitalizmu biernego. A przy tem zostaliśmy obcej pomocy pozbawieni. Musimy, by nie dostać się znów w niewolę, rozstrzygnąć zadanie, któregośmy dotychczas nie próbowali nawet rozwiązywać: jak bez przyływu obcych kapitałów, przy zgoła niedostatecznej prywatnej drogą oszczędności kapitalizacji, wytworzyć tempo narastania kapitałów, dość silne, byśmy mogli nie tylko wyżywiać cały nasz, dzięki Bogu, szybki przyrost ludności, lecz i zapewniać mu coraz lepszy tryb życia.

Na to trzeba stworzyć nowy zupełnie ustrój gospodarczy.

Nie mała to ambicja rozwiązać nierozwiązalne dotychczas zadania, wydobyć się z tak zadawnionej bierności gospodarczej, przebudować najgłębsze podstawy swego ustroju.

Ale nie małą też była ambicja mego pokolenia odzyskania niepodległości po tylu przegranych powstaniach. Nie przerażała nas jednak jej wielkość, raczej wzmagała siły.

Dziś czynną generację powinno być stać na niejmnieszą ambicję: przełamania gospodarczej bierności Polski, dania jej nowego ustroju, zapewniającego nie tylko równe przyrostowi ludności tempo przyrostu produkcyjnych zatrudnień, lecz i zajęcie lepszego, jeśli nie na samym przedzie, to przynajmniej po środku, a nie na samym końcu, miejsca w cywilizacyjnym pochodzie narodów.

*
* *
*

Zawsze cieszyły się dużą popularnością formuły jak-
najbardziej uproszczające zagadnienie życia społecznego.
Pozwalają one bowiem, bez dokładnego badania skom-
plikowanego zazwyczaj splotu faktów, wydawać o
wszystkim sąd zdecydowany.

W końcu XVIII wieku wszystko złe było dziełem
„ducha tyranów“ a dobre „prawem natury”.

Marks znów uczył, że całe życie współczesnych spo-
łeczeństw jest jedynie przejawem przeciwieństw i walk
między kapitalistami a proletariatem. Dla jego wyznaw-
ców z walki tej płynęły nie tylko dążenie i przemiany
polityczne, ale i rozwój filozofii.

Dziś w ojczyźnie marksizmu panuje nacjonalizm hit-
lerowski. Narodowi socjaliści chętnie wymordowaliby co
do jednego wszystkich marksistów na świecie. Ale meto-
dę myślenia przyjęli od nich całkowicie. I oni wszystko,
co się dzieje w życiu gospodarczym narodów i w ich
polityce wewnętrznej i zewnętrznej, tłumaczą zmaganiem
się dwóch zawsze sił. Jenó, że gdy marksieści dzielili
ludzkóść na kapitalizm i proletariat, hitlerowcy dzielą go
na żydo-komunę i totalny nacjonalizm.

Ta „linia podziału“ jest zresztą bardzo pożyteczna dla
propagandy niemieckiej, odwracającej uwagę świata od
niebezpieczeństwa zbrojeń Rzeszy.

Ale tak bardzo upraszcza ona wyjaśnienie i ocenę

każdego nowego faktu, czy to będzie dyskusja w parlamencie francuskim, czy walka między dwoma generałami chińskimi, że skwapliwie posługuje się nią publicystyka nacjonalistyczna nawet tych narodów, któreby powinny z największą ostrożnością przyjmować wszelkie tezy niemieckie.

I utrwała się w opinii naszej, szczególnie wśród młodzieży przeświadczenie, że przed Polską, jak zresztą i przed całym światem, stoją otworem tylko dwie drogi: ku komunizmowi, albo ku faszystowsko-korporacyjnemu, czy hitlerowsko-stanowemu, integralnemu nacjonalizmowi. Lecz obie one wiodą do państwa totalnego. W Niemczech skasowana jest już, tak samo jak w Rosji, swobodna nawet krytyka literacka. A ściślej są tam bodaj, niż w Z.S.S.R., przepisy normujące i ograniczające ilość dań na obiad.

Nie wszystkich jednak podobne perspektywy nęcą. Ogół inteligencji niezamożnej, ale nie cierpiącej jeszcze skrajnej biedy, z dwojga złego woli naszą gospodarczą stagnację od całkowitego podporządkowania jednostki ludzkiej nakazom i zakazom policyjnym, nie tylko jej pracy i działalności publicznej, ale nawet życia domowego i upodobań estetycznych. Więc mając to sobie nieustannie w głowę wdrażane zarówno przez pisarzy komunistycznych, jak i nacjonalistycznych, że są tylko dwie możliwe przemiany ustrojowe, ku dyktaturze komunistycznej lub faszystowskiej, przeciętny obywatel polski na żadną z nich zdecydować się nie może! Biada nad

tym co jest, ale nie wie, czy każda zmiana nie pogorszy jeszcze życia. Stąd też tak powszechna jest dziś u nas we wszystkich politycznych obozach inercja myśli społeczno-gospodarczej.

Czy jednak naprawdę Polska ma tylko te trzy ewentualności do wyboru:

Albo wlec się nadal na szarym końcu postępu gospodarczego Europy, albo zespolić się ze Związkiem Socjalistycznych Sowieckich Republik, albo naśladować ustrój faszystowski czy narodowo-socjalistyczny podobnie do tego jak w XII i XIII wieku wprowadzała do siebie „prawo niemieckie“.

Nie i jeszcze raz nie!

Frazes, że cały świat musi się stać komunistycznym lub faszystowskim wyraża tylko życzenie pewnych grup, ale fakty go nie potwierdzają.

Nie zmierza jednak w żadnym z tych dwóch kierunków ani Anglia ze wszystkimi swymi dominiami, ani Holandia, ani Belgia, ani Dania, ani Szwecja, ani Norwegia, ani Czechosłowacja, ani nawet Francja, w której rządzi wprawdzie „front ludowy“, lecz coraz silniej zarysowują się w nim przeciwieństwa między radykałami i socjalistami a komunistami.

Są to jednak kraje zadowolone naogół ze swych ustrojów, nie myślące o zasadniczej ich przebudowie.

Ale planowa gospodarka Roosevelta, tak silnie w wolnych wyborach przez ludność Stanów poparta, zmienia

podstawy tamtejszego życia społeczno-gospodarczego nie mniej radykalnie od „karty pracy“ Mussoliniego.

Pomimo to jednak Stany Zjednoczone pozostały państwem równie demokratycznym i liberalnym, jak Anglia czy Holandia.

Więc zachowanie swobód politycznych i demokratycznych form państwowych bynajmniej nie wymaga trwania przy liberalizmie gospodarczym. I odwrotnie żądanie narodowej gospodarki planowej nie jest równoznaczne z wyrzeczeniem się swobód obywatelskich i inicjatyw indywidualnych.

Istotą bowiem narodowej gospodarki planowej jest kierowanie rozwojem gospodarczym w narodzie stosunków ku z góry określonemu celowi.

Różni się planowa gospodarka od liberalizmu ekonomicznego tym przede wszystkim, że całość narodowo-społeczna nie jest dla niej automatycznie powstającą wytworową krzyżujących się indywidualno-gospodarczych interesów – ale organicznym zespołem, posiadającym samoistne cele nadrzędne w stosunku do dążeń jednostek i celów tych świadomym.

Różni się ona też od interwencjonizmu państwowego. Bo ten ostatni pośredniczy tylko w starciach indywidualnych, czy klasowych interesów i koryguje ich wyniki, gdy zaczynają one się stawać niebezpieczne dla całości narodowo-państwowej. Więc nie wierzy on już w automatyzm życia społeczno-gospodarczego, jako najlepszą gwarancję harmonii interesów. Ale całość społeczną poj-

muje nadal tak samo jak liberalizm, wyprowadzając jej cele z dobra jednostek i potrzeb ich współżycia, polegającego przede wszystkim na wymianie rzeczy i prac o równej wartości.

Narodowa gospodarka planowa nie chce tylko zapobiegać szkodom, któreby egoizmy indywidualne mogły przynieść narodowi.

Jej punktem wyjścia jest wyraźne sformułowanie celu, do którego naród jako całość nadrzędna i wieczna, bo zespalająca nie tylko wszystkie swe warstwy, ale i wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia, ma w danym czasie zdążyć po swej dziejowej drodze. Bo cel ten wypływa przede wszystkim z dziejowych zadań narodu; gdyż naród – przypominam – przez to tylko istnieje, że ogół jego członków poczuwa się do odpowiedzialności przed swym potomstwem, iż przekaże mu nie pomniejszone, lecz powiększone dziedzictwo, zbudowane pracą i ofiarą wszystkich poprzednich pokoleń.

Ale by był realnym, musi cel planowej gospodarki narodowej wynikać jednocześnie z dokładnej oceny istniejących potrzeb i sił.

Egoizm jednostkowy jest w gruncie rzeczy taki sam na całym świecie. Więc biorący go za podstawę życia społecznego liberalizm mógł stworzyć ogólnoludzkie systemy polityki ekonomicznej. Ale planowa gospodarka narodowa, dlatego właśnie, że jest narodowa, musi być w każdym państwie inna. Bo różne są wszystkich narodów cele, siły i potrzeby. Powtarza to wielokrotnie naj-

wybitniejszy z jej teoretyków w Niemczech – Sombart.

I to samo jeszcze przed 5 laty mówił Mussolini, przestrzegając swych współpracowników, by pamiętali, że „faszyzm nie jest towarem na eksport“.

Jeśli dziś na odwrót chętnie korzysta on z każdej okazji, by reklamować faszyzm, jako jedyny ustrój przyszłości, czyni on to, ponieważ przekonał się, jak cennym dla dyplomacji włoskiej narzędziem są faszysci wszystkich innych krajów. Więc też z dużym nakładem pracy i pieniędzy Rzym organizuje dziś nie bez współdziałania z Berlinem obok międzynarodówki masońskiej i międzynarodówki komunistycznej, jeszcze jedną międzynarodówkę: faszystowską.

Już sama tego świadomość powinna nas odstręczać od naśladownictwa jakichkolwiek bądź obcych wzorów. Bo recepcja obcego ustroju, czy bolszewickiego, czy faszystowskiego, czy narodowo-socjalistycznego wprowadziła by nas w orbitę jakiejś międzynarodówki, służącej interesom mocarstwowym kierującego nią państwa, w żadnym razie nie naszym. Propaganda międzynarodowej solidarności faszystowskiej jest równie nienarodową, jak marksowskie hasło: „proletariusze wszystkich krajów łączcie się“.

Jeśli nie chcemy pozostać nadal w ustroju biernego kapitalizmu, na ostatnim miejscu w postępie gospodarczym Europy, bez możliwości wyżywienia własnymi siłami naszego przyrostu ludności – to musimy planowo

przebudować wszystkie podstawy naszego życia społeczno-gospodarczego.

Nie wystarczy na to obecny interwencjonizm państwowy.

Musimy się zdobyć na planową gospodarkę, równie śmiałą jak prowadzona we Włoszech, Niemczech, Stanach Zjednoczonych a nawet w Z.S.S.R.

Ale nasza polska gospodarka planowa musi pójść nie bolszewicką, nie włoską, nie niemiecką, nie amerykańską – jeno własną naszą polską drogą do naszych własnych polskich celów wiodącą. Ta nasza polska droga jest drogą cywilizacji chrześcijańskiej i drogą narodu wolnego, co sam przez wieki swoje dzieje tworzył.

Nie może ona więc iść zbieżnie do bolszewizmu czy hitleryzmu, do żadnego totalizmu państwowego, zabijającego wolność i podporządkowującego prawo Boskie nakazom wodzów. Ale też nie może ona za swój naczelny drogowskaz stawiać – jak to się dzieje dziś w Stanach, rentowność przedsiębiorstw. Bo nasza indywidualna przedsiębiorczość jest za słaba, by przy najsilniejszej nawet pomocy i zachęcie ze strony państwa zdołała dać przyzwoity zarobek dla całego nowo w życie wstępującego rocznika poszukującego pracy.

*

*

*

Celem planowej gospodarki sowieckiej, jest wedle for-

muły Lenina „dyktatura zbrojnej awangardy proletariatu“ i potęga materialna państwa.

Publicystyka zachodnio-europejska nieraz wykazuje „sprzeczność wewnętrzną“ sowieckiego ustroju, który wytworzył militarną i ekonomiczną potęgę, większą od posiadanej przez Rosję carską, ale dobrobyt i chłopom i robotnikom obniżył. Naprawdę nie ma w tym żadnej z punktu widzenia doktryny bolszewickiej niekonsekwencji. Jednostka jest bowiem dla niej narzędziem działania państwa. Lepsze odżywienie się, mieszkanie, odziewanie pojedynczych chłopów i robotników jest zgodnie z tym – sprawą drugorzędną. Naprawdę ważnym jest, by ogół robotników i chłopów, tj. państwo bolszewickie posiadało jaknajwięcej maszyn, sprzętu bojowego i złota.

Również niemiecki narodowy socjalizm na czele zadań planowej swej gospodarki stawia materialną potęgę państwa. To też nie waha się ograniczać stopę życiową Niemców dla większej siły Niemiec. Ale różni się on zasadniczo od bolszewizmu – bo tę siłę chce zużyć dla zapewnienia przewagi nie jednej klasy nad innymi, lecz swego narodu nad innymi. A dalej nie upaństwawia on przedsiębiorczości prywatnej, nawet ją zachęca, lecz jednocześnie podporządkowuje ją swym absolutnym nakazom, by służyła nie tyle zyskom właścicieli przedsiębiorstw, co niezależności Niemiec od międzynarodowych rynków pieniężnych i zapewniała pełną na wypadek wojny samowystarczalność.

Włoski faszyzm powstał z reakcji przeciwko wybuja-

łościom walki klasowej. Naczelnym jego celem jest wewnętrzna spójność narodu włoskiego. Jej przede wszystkim służą korporacje, zespalające robotników z pracodawcami nie dla walki o ich odrębne interesy, lecz dla harmonizowania wedle wskazań partii faszystowskiej ich obopólnych potrzeb. A i imperialistyczna polityka Mussoliniego służy przede wszystkim duchowemu złączeniu Włoch, które przecież dopiero od połowy XIX w. stanowią jedno państwo, przez wspólną wielką ambicję dziejącą.

Planową gospodarkę w Stanach Zjednoczonych prowadzi również państwo. Ale nie jest jej celem potęga państwa. Służy ona przede wszystkim dobru obywateli. Jest ona z istoty swej nie ograniczającą i podporządkowującą człowieka, lecz raczej wyzwalającą drobnego i średniego człowieka z pod przemocy wielkiego kapitału, w szczególności kapitału spekulacyjno-giełdowego.

Kapitał ten sprawował między 1919 a 1932 r. bezwzględna w Stanach dyktaturę. Roosevelt postanowił podważyć ją w jej najgłębszych fundamentach, stwarzając stałość cen za pomocą pieniądza ruchomego w stosunku do złota, ale niezmiennej w stosunku do towarów siły nabywczej. Boć oczywiście gdy ceny będą stałe, zniknie możliwość jakiegokolwiek spekulacji. A wraz z tym ustanie zależność całego przemysłu i rolnictwa od giełd i panujących na nich magnatów finansowych.

Zdaje sobie sprawę z tego ogół obywateli Stanów. Rozumie on dobrze, że polityka ekonomiczna Roosevelta od-

wraca cały dotychczasowy bieg ewolucji społeczno-gospodarczej ich ojczyzny. Pomimo to olbrzymia większość stanowczo ją popiera. Bo chce zmiany drogi, po której szło ich życie po wojnie światowej.

I my również musimy chcieć zmiany pod ostrym kątem kierunku naszego gospodarczego powojennego rozwoju.

A że zmiana taka sama się nie dokona – więc musi przeprowadzić ją państwo przez swą gospodarkę planową.

Nie możemy jednak wprowadzić u nas jakiegokolwiek z wypróbowanych już gdzie indziej systemów gospodarki planowej.

Nie możemy iść za przykładem Z.S.S.R. Bo nie na to walczyliśmy przez półtora wieku o wolność – by ją teraz podeptać.

Nie potrafilibyśmy nawet, gdybyśmy chcieli, naśladować Niemiec. Bo Niemcom przed opanowaniem ich przez Hitlera groził raczej nadmiar kolosalnych indywidualnych inicjatyw, a u nas brak ich przeraźliwy.

I nie potrzebujemy wzorem Mussoliniego jednoczyć naszego narodu, bo okres Polski dzienicowej skończył się był już w XIV wieku. A korporacje można tworzyć z patriotycznych fabrykantów włoskich i niemniej patriotycznych włoskich robotników – ale nie z fabrykantów niemieckich i żydowskich oraz robotników polskich. Naprzód trzeba unarodowić nasz handel i przemysł, za-

nim będzie można myśleć u nas serio o ustroju korporacyjnym.

A niepoważną demagogią byłoby u nas mobilizowanie społeczeństwa, na podobieństwo tego, co się dzieje w Stanach, przeciwko dyktaturze kapitalistycznych potentatów giełdowych, gdy nie mamy ani jednej giełdy, której notowania ktokolwiek by poza Polską czytał, a największe dochody mają nie właściciele kapitałów, lecz najemni dyrektorowie państwowych czy pół-państwowych przedsiębiorstw.

I cele i metody naszej gospodarki planowej musimy wyprowadzać z dziejowych zadań, potrzeb i sił gospodarczych wyłącznie polskich, a nie żadnej międzynarodówki: spekulacyjno-giełdowej, masońskiej, komunistycznej czy faszystowskiej.

Ale nie żyjemy na wyspie odcięci od reszty cywilizowanego świata, lecz w nim. I dlatego powinniśmy z doświadczeń innych narodów chcieć i umieć korzystać.

Celem naszym, wyłącznie naszym – bo nie ma go żadna inna gospodarka planowa – jest zapewnić własnymi siłami przyzwoity zarobek całemu naszemu przyrostowi ludności, nie pomniejszając go ułatwionem życiem.

Jest to nasz cel naczelny. A z niego bezpośrednio wypływa zadanie: wzmóc i uzupełnić zbyt słabą przedsiębiorczość prywatną, niezdolną zatrudnić całej poszukującej pracy ludności krajowej. Więc nie upaństwowiać, raczej odpaństwowiać. Nie tamować uczciwego dorabiania się, raczej zachęcać doń i popierać je. Ale równo-

częśnie organizować z inicjatywy i przy finansowej pomocy państwa wielkie roboty inwestycyjne, dające pracę i chleb tym wszystkim, których nie może zatrudnić przedsiębiorczość prywatna.

I z tym łączy się bezpośrednio wprowadzenie Polski z ostatniego w Europie miejsca pod względem dobrobytu mas ludności, na miejsce odpowiadające naszym mocarstwowym ambicjom, co więcej – koniecznościom.

A dla ziszczenia tych specyficznie naszych zadań dają nam wiele środków obce nawet przykłady.

Planowa gospodarka Sowieców uczy nas, że można, gdy się naprawdę chce, stworzyć w kilku latach własny wielki przemysł wojenny.

Planowa gospodarka niemiecka daje nam przykład zespolenia, bez niszczenia, indywidualnych inicjatyw dla walki o niezależność gospodarczą narodu.

Planowa gospodarka Włoch uczy nas, jak zespalać budowę potęgi państwowej ze wzmożeniem duchowej zwarłości i siły narodu, jak przez odpowiednią politykę społeczno-gospodarczą tworzyć *naród – państwo*.

A planowa gospodarka Stanów Zjednoczonych wskazuje jasno, że najskuteczniejszym narzędziem gospodarki planowej nie poniżającej człowieka, lecz harmonizującej ekspansję indywidualizmów ludzkich z ekspansją całości narodowo-państwowej, jest oderwany od złota narodowy system polityki walutowo-kredytowej.



Dziś już i rząd i ogół publicystów, piszących o sprawach ekonomicznych, uznaje za najważniejsze i najpilniejsze zadanie naszej polityki społeczno-gospodarczej – zatrudnienie bezrobotnych.

I coraz więcej jest zdających sobie sprawę z tego, że bezrobocie nasze nie jest tylko „koniunkturalne“, że wpływa ono z budowy całego naszego ustroju społeczno-gospodarczego i że bez silnego uprzemysłowienia kraju, nie usunie się coraz groźniejszego przeludnienia wsi.

Z tym zgadzają się prawie wszyscy. – Ale nie ma jeszcze zgody na środki odpowiedniego działania. Najczęściej pytanie, jak uprzemysłowić Polskę, zbywa się ogólnikami bez głębszej, realnej treści, w rodzaju: przywrócenia rentowności przedsiębiorstw, odetatyzowanie naszego życia gospodarczego, oszczędności budżetowe...

Bo przecież w czasie „radosnej twórczości“ między 1927 a 1930 aż nadto dbano u nas o „rentowność“. Pomimo to i wtedy około 200 tysięcy ludzi co roku szukało zarobku zagranicą, gdyż w kraju go nie znajdowało. A co się tyczy naszego etatyzmu – to powstało go o wiele więcej z konieczności ratowania przez Bank Gospodarstwa Krajowego bankrutujących przedsiębiorstw, niż z planowych zamierzeń rządu. Wszystkie zaś, jakieby można zrobić oszczędności w wydatkach administracji państwowej, powinny być obecnie zużywane na lepsze uzbrojenie armii. O poważnym więc zmniejszeniu ciężaru gospodarki skarbowej i jej nacisku na przedsiębiorczość prywatną myśleć teraz nie możemy.

Na razie radzimy sobie „pomocą zimową“ i robotami publicznymi wykonywanymi za pieniądze wydobywane ze społeczeństwa podatkami i pożyczkami przymusowo – dobrowolnemi.

Są to wszakże doraźne tylko „koniunkturalne“ zabiegi, nie tyle leczące nasze niedomagania społeczno-ekonomiczne, co przynoszące chwilową ulgę.

Wszelkie bowiem zwiększanie podatków, choćby dochodowego od uposażeń, i każda mniej czy bardziej dobrowolna pożyczka zmniejsza prywatną oszczędność i co za tym idzie gromadzenie się z oszczędności tych powstających kapitałów pieniężnych.

W bogatszych krajach rentierskich, jak Francja, wypłoszenie oszczędności przechowywanych na lepsze czasy z ukryć, w jakich się znajdują, może istotnie przezwyciężyć zastój gospodarczy.

Ale w krajach o tak małych, jak u nas zasobach pieniężnych, trwałe zwiększenie zatrudnień nie da się osiągnąć przez przeniesienie pewnych kwot z dyspozycji prywatnej do dyspozycji państwa, choćby na najkonieczniejsze i najracjonalniejsze publiczne roboty inwestycyjne – jeno przez przyspieszenie tempa narastania kapitałów.

Od roku rośnie liczba godzących się i na tę tezę. Przyznają oni, że mamy zbyt powolne tempo przyrostu kapitałów, nie wystarczające dla zatrudnienia przyrostu naszej ludności. Ale równocześnie odzégnują się od pokusy „sztucznego manipulowania pieniądzem“, bo aksjo-

matem naukowym jest rzekomo, że kapitały rosną tylko przez oszczędność.

Naprawdę jednak od lat 10 teza ta została silnie podważona nawet w teoretycznej ekonomii społecznej. Uczynili to uczeni tej miary co Hahn, Schumpeter, Diehl, Sombart. Wskazali oni, że wszystkie banki emisyjne, poczynając od Banku Anglii z XVII wieku wypuszczają banknotów więcej, niż wynoszą złożone w nich depozyty. Więc zawsze w mniejszych lub większych rozmiarach banki te tworzą za pomocą akcji kredytowej, nie opartej na poprzednich wkładach, nowe sumy wartości, wchodzące w obieg rynkowy i służące przedsiębiorstwom do zdobywania zysków, za tym nowe „kapitały“. Stąd płynnie wniosek nieodparty, że obok oszczędności może tworzyć nowe kapitały kredyt, przez jednych zwany „pierwiastkowym“, bo nie poprzedzony oszczędnością, przez innych „inflacyjny“, bo zwiększający ilość środków płatniczych.

I nieprawdą jest, że każde zwiększenie ilości pieniędzy obniża ich wartość nabywczą proporcjonalnie do wzrostu ich obiegu. Tak się dzieje tylko wtedy, gdy inflacja zostaje zużyta w całości, albo dużej większości na wydatki nieprodukcyjne, np. na wojnę, nie powiększającą, lecz niszczącą bogactwo narodów.

Ale mamy liczne przykłady historyczne inflacji tworzącej, powiększającej nie tylko ilości pieniędzy, lecz i wyzwalającej nowe siły produkcyjne społeczeństw. Taką była inflacja spowodowana przyływem mas złota i sre-

bra z Ameryki w XVI i XVII wieku. Cały nowoczesny system pieniężnej kapitalistycznej gospodarki, który nadał postępowi powszechnego dobrobytu narodów zgola w poprzednich okresach historycznych nieznane tempo, – został przez nią zapoczątkowany.

Bo są w społeczeństwach obok czynnych energii produkcyjnych, działających w istniejących już przedsiębiorstwach, fabrykach, kopalniach, warsztatach, kolejach, folwarkach, chłopskich zagrodach – jeszcze energie potencjalne: nie znajdujące zatrudnienia siły robocze, nadające się do eksploatacji a nie eksploatowane surowce, talenty organizacyjne i wiadomości techniczne, nie wykorzystywane z powodu braku potrzebnych na to kapitałów.

Dzieje naszego całego gospodarczego postępu w ostatnich 40 latach przed wojną – to dzieje wyzwalań istniejących w Polsce potencjalnych energii produkcyjnych i zamiany ich na energie czynne – przez przypływ kapitałów pieniężnych z zagranicy.

Była w Borysławiu ropa, był w Dąbrowie węgiel, byli w Polsce potrzebni dla wydobywania tych surowców robotnicy i inżynierowie. Ale kopalnie powstały dopiero wtedy, gdy przypłynęły z Niemiec czy Ameryki kapitały pieniężne.

Zamiana potencjalnych energii gospodarczych na czynne może się dokonywać i bez pomocy pieniędzy, na przykład aktem woli absolutnego władcy. Faraonowie w starożytnym Egipcie uruchamiali swymi rozkazami liczne

tysiące chłopów, by budowali drogi, rozszerzali sieć nawadniających kanałów, sprowadzali z odległych gór bloki granitowe. I dziś w Z.S.S.R. istnieją przymusowe roboty publiczne...

Potrochę i my sobie pomagamy szarwarkami; a jeszcze więcej mówi się o „obozach pracy“.

Więc poza oszczędnością może zwiększać kapitały wszystko to, co zespala w pracach inwestycyjnych nowe ilości pracy z nowymi zasobami surowców i należyтым kierownictwem organizacyjnym. Może być tym nawet rozkaz władzy państwowej.

Ale przy systemie wymiennej gospodarki pieniężnej, narzędziem wyzwalającym energię potencjonalną i zespalaającym je w czynnych procesach produkcyjnych, są przede wszystkim pieniądze.

System ten zaś okazuje się o tyle lepszym od systemu bezpośredniego przymusu – że utrzymuje go nadal u siebie i Z.S.S.R.

Tym bardziej my go porzucać nie możemy. Ale nie będzie już nam uruchamiać sił roboczych, których mamy nadmiar nie tylko fizycznych, ale i umysłowych, przypływ pieniężnych kapitałów zagranicznych.

A gdy mamy dziś na głowę o przeszło 40% mniej pieniędzy, niż mieliśmy złotych i dolarów w 1928 – żadną miarą nie zwiększymy przyrostu kapitalizowanych oszczędności po nad normą z lat 1926–1929. A i wtedy – przypominam – nie wystarczała ona dla zapewnienia

dostatecznej ilości nowych dla całego naszego przyrostu ludności zatrudnień.

Na szczęście jednak wkłady w bankach i kasach oszczędności, krajowych i zagranicznych, nie są jedynym źródłem, z którego może przedsiębiorczość czerpać pieniądze dla zakładania nowych przedsiębiorstw czy rozszerzania istniejących.

Odkąd istnieją banki emisyjne tj. od połowy XVII wieku, istnieje również kredyt pierwiastkowy. Przed wojną rola jego była tak nieznaczna, że ogół tedretyków nie zwracał nań uwagi. Ale obecnie rośnie szybko jego znaczenie. I w Stanach i w Niemczech na nim oparto cały prawie program robót publicznych. Pokrycie marki spadło do 2%. Ale ilość bezrobotnych w Niemczech spadła też z 6 milionów na niecałe półtora.

Jedyny sposób zapewnienia pracy i zarobków w kraju całemu naszemu przyrostowi ludności – to uzupełnić niedotrzymujące naszej rozrodczości tempo nagromadzania się oszczędności – przez kredyt pierwiastkowy.

Na nim powinniśmy oprzeć główny motor naszej narodowej gospodarki planowej – narodowy nasz system kredytowo-walutowy.



Między 1925 a 1929 w latach naszej najlepszej koniunktury, najhojniej przez nasze banki i prywatne i państwowe dostarczanych kredytów, oraz najwyższych

kursów na giełdach papierów wartościowych – prywatna przedsiębiorczość, oparta o prywatną kapitalizację, stwarzała u nas co najwyżej po 150.000 nowych zatrudnień rocznie w przemyśle, górnictwie, rzemiośle i handlu oraz tzw. „innych zawodach“. Tymczasem roczny przyrost liczby ludzi poszukujących pracy wynosi 250 do 300 tysięcy.

By więc wyprowadzić Polskę z biernego kapitalizmu trzeba wzmóc dwukrotnie po nad najwyższy powojenny poziom naszą przedsiębiorczość i naszą kapitalizację.

Jak to uczynić?

Komunista odpowiedziałby: niech państwo stworzy wzorem Z.S.S.R. własne fabryki i kopalnie w ilości potrzebnej dla zatrudnienia tych wszystkich, którzy nie znajdują pracy w przedsiębiorstwach prywatnych.

Ale kto nie chce, by Polska znalazła się kiedyś znów pod rozkazami, a conajmniej hegemonią Moskwy – ten radę tę musi natychmiast i zdecydowanie odrzucić.

W społeczeństwie o silnie rozwiniętych inicjatywach przedsiębiorczych i dużych zasobach prywatnych kapitałów, może ostać się wolność człowieka mimo upaństwowienia jakiejś wielkiej gałęzi przemysłu, np. przemysłu wojennego. Ale u nas przedsiębiorczość prywatna jest tak przeraźliwie słaba, a tak silna skłonność do biurokratyzowania całego życia publicznego, że niechbyśmy raz tylko weszli na drogę upaństwowiania, jak tego chcą niektórzy nawet narodowcy, przemysłu surowcowego, albo zaczęli tworzyć na wielką skalę konkurujące z prywat-

nymi fabryki państwowe – to po tej drodze niechybnie dojdziemy do być może czynnego, ale państwowego kapitalizmu w stylu rosyjskim.

Za tym nie przez rozbudowę przemysłu państwowego powinniśmy uzupełnić niewystarczającą dla zatrudnienia całej naszej ludności kapitalizację prywatną.

Droga naszego postępu iść musi po linii zwiększania liczby oraz umacniania i rozszerzania istniejących przedsiębiorstw prywatnych i to raczej indywidualnych niż akcyjnych.

Bo głupstwem jest wyobrażać sobie, że może bogacić się naród złożony z ludzi bez umiejętności, bez ambicji nawet dźwigania się własną inicjatywą i pracą na wyższy szczebel dobrobytu czy bogactwa, a zapatrzonych jedynie w „posadę“.

Największą tragedją naszego dzisiejszego życia ekonomicznego jest brak dość silnej warstwy przedsiębiorczej.

I choćby poza tym najmądrzej była pomyślana nasza gospodarka planowa – zawiedzie ona, nie będzie naprawdę narodową, da co najwyżej materialną potęgę państwu, ale nie postęp dobrobytu i cywilizacyjnej skali życiowej narodowi – jeśli nie oprze naszej przyszłości na wzmacnianiu ducha indywidualnej przedsiębiorczości w najszerzych warstwach społeczeństwa polskiego.

Ale pierwszym warunkiem koniecznym dla powstania i wzrostu przedsiębiorstwa jest zbyt na jego wytwory czy usługi.

Zamieranie międzynarodowej wymiany – każe nam opierać i uprzemysłowienie kraju i podniesienie wydajności naszego rolnictwa prawie wyłącznie na zwiększaniu zapotrzebowań i siły nabywczej naszego rynku wewnętrznego.

Dotychczasowy wzrost zapotrzebowań rynku krajowego pochodzi głównie ze wzrostu dochodów prywatnych przedsiębiorstw i gospodarstw. Ale jest on zbyt powolny, by mógł wywołać rozwój produkcji, konieczny dla usunięcia rosnącego ciągle przeludnienia wsi.

Zatym trzeba niedostateczne ze strony prywatnych przedsiębiorstw i gospodarstw zapotrzebowanie na naszym rynku wewnętrznym uzupełnić przez zapotrzebowanie państwa i inicjowanych oraz kierowanych przez państwo samorządów lokalnych i zawodowych oraz spółek uprzywilejowanych.

Obecnie zapotrzebowanie naszego państwa jest wyłącznie prawie konsumcyjne. I jako takie ciąży ono na przedsiębiorczości prywatnej, a nie wzmaga jej.

Ale jeśli państwo przystąpi do wzmożonej rozbudowy handlowych linii kolejowych, regulacji rzek, elektryfikacji kraju, – to tego rodzaju zwiększona konsumpcja, podnosząc dochody społeczeństwa, jednocześnie będzie ożywiać przedsiębiorczość prywatną.

A więcej jeszcze od bezpośrednich zapotrzebowań państwa ożywić mogą nasz rynek wewnętrzny inicjowane przez państwo zapotrzebowania wszelkiego rodzaju samorządów: powiatów na budowę gościńców, gminnych

i powiatowych spółek melioracyjnych na drenowania, odwodnienia i nawodnienia, izb handlowo-przemysłowych czy wytworzonego przez nie w tym celu koncernu na okręty handlowe, boć już 80% naszego handlu zagranicznego idzie drogą morską...

Jesteśmy najbiedniejszym krajem w Europie – bo mamy najmniej dróg, zmeliorowanych pól i łąk, obwałowanych rzek, wyzyskanych przemysłowo sił wodnych, najmniej wszelakiego rodzaju gospodarczych inwestycji.

By dorównać pod tymi wszystkimi względami już nie Anglii czy Niemcom, ale Czechosłowacji czy Danii – trzeba by zatrudnić w odpowiednich pracach przez lat conajmniej 20 po sto kilkadziesiąt do dwustu tysięcy ludzi.

I to trzeba sobie powiedzieć: nie tylko prywatne zapotrzebowania nie są i nie będą w stanie w możliwej do przewidzenia przyszłości wywołać wzrostu przedsiębiorczości, zdolnej tyle ludzi zatrudnić, ale nie będą one również mogły nadać rozwojowi naszych inwestycji gospodarczych tempa koniecznego dla wysunięcia się Polski z ostatniego miejsca w gospodarczym pochodzie Europy na jedno ze środkowych.

Pierwszą funkcją państwa w planowej naszej gospodarce narodowej powinno być nie, jak w Z.S.S.R., organizowanie produkcji, ale zapotrzebowania na prace i urządzenia produkcyjne.

Realnym wszakże gospodarczo jest zapotrzebowanie, dysponujące odpowiednią siłą płaćniczą.

Organizowanie więc przez państwo zapotrzebowania na prace inwestycyjne musi być u nas ściśle związane z finansowaniem tego zapotrzebowania.

A że zbyt szczupłe są i będą nagromadzające się u nas oszczędności, więc finansowanie to może się odbywać tylko przez pierwiastkowy kredyt inflacyjny.

Ale przeżyliśmy już inflację, która doprowadziła do całkowitej deprecjacji pieniądza.

Więc niodzownym warunkiem powodzenia planowej gospodarki, opierającej rozwój prac i urządzeń inwestycyjnych na pierwiastkowym kredycie, musi być stworzenie gwarancji, zabezpieczających w zupełności naszą walutę przed utratą swej siły nabywczej wskutek nadmiernej emisji banknotów.

*

*

*

Zanik międzynarodowej współpracy ekonomicznej pozbawił nas przyływu zagranicznych kapitałów inwestycyjnych, zamknął granice Stanów i Niemiec dla naszych emigrantów, odebrał nam najważniejsze przedwojenne rynki zbytu.

Ale jednocześnie zmniejszył on do minimum rolę złota w międzynarodowej wymianie towarowej. Dziś złoto służy jedynie do wyrównywania deficytów w bilansie płatniczym – o ile państwa chcą je jeszcze wyrównywać pieniężnymi spłatami. Gdy coraz większa ilość państw swe stosunki handlowe normuje wyrównawczymi umo-

wami kontygentowymi i równocześnie ogranicza wolny obrót dewizami – wymiana międzynarodowa staje się coraz bardziej bezgotówkową, wyrównawczo – rozrachunkową.

To też nie ma dziś – bo jest naprawdę niepotrzebny – pieniądza międzynarodowego. Były nim po wojnie wymieniane czas dłuższy na złoto banknoty funtowe i dolarowe. Gdy i ich wymienialność na złoto została zawieszona, a kurs ich spadł poniżej pierwotnej równi złota, rolę pieniądza międzynarodowego pełnił po części frank. Ale i on został zdewaluowany.

Obecnie więc istnieją tylko waluty krajowe. Ale też wobec tego możemy stworzyć własną naszą politykę walutowo-kredytową, nie zależną od posiadanych ilości złota, którego kopalń przecież nie mamy, które więc otrzymywaliśmy zawsze z zagranicy.

Bo pieniądzem krajowym może być każdy przedmiot, któremu państwo nada moc zwalniania ze zobowiązań płatniczych. I mamy przykłady z początku ubiegłego wieku pieniądze papierowych, które nie mając żadnego pokrycia kruszcowego funkcjonowały przez lat kilkadziesiąt nie gorzej od wielu powojennych banknotów.

Rosyjskie papierowe ruble asygnacyjne, które w 1790 r. miały o 15% tylko niższy kurs od rubli złotych – dopiero w 1815 r. spadły na 0,23 rubla złotego.

Była to więc dewaluacja częściowa nie większa od powojennego franka, a owiele powolniejsza. Ale jeśli nie każdy pieniądz papierowy musi tak tracić całkowi-

cie po kilku już latach swą wartość, jak ją straciła nasza marka – za tem nie z samej istoty pieniądza papierowego wynika jego dewaluacja – ale ze sposobu jego emitowania. Gdy zaś można ograniczyć spadek siły nabywczej pieniądza papierowego – to musi być możliwe i całkowite doń niedopuszczenie. Bo nie ma zasadniczej różnicy między przeznaczonym dla rynków krajowych pieniądzem papierowym, a zdawkową monetą kruszcową, która zazwyczaj zachowuje swą wartość pierwotną.

Wartość naszej dwuzłotówki jest większa od wartości zawartego w niej srebra. Więc nie zależy ona od wartości materiału, z którego została sporządzona; tak samo jak też nie od wartości papieru zależy wartość pieniądza papierowego.

Skąd więc czerpią swą wartość oba te rodzaje pieniędzy: bilon i pieniądze papierowe?

Przede wszystkim z autorytetu władzy państwowej, która pewien krążek metalu czy kawałek papieru zaopatrzony specjalnymi znakami uczyniła miarą wartości wszelkich dóbr o określonej tradycyjnie wielkości.

Ale sam autorytet państwa nie wystarcza, aby zapewnić pieniądźowi trwałe posiadanie nadanej mu w stosunku do innych dóbr wartości; świadczy o tym historia wszystkich dewaluacji.

Pieniądz bowiem, którego wartość nie wypływa z wartości materiału, z jakiego został sporządzony, a jest mu tylko nadaną przez państwo, reprezentuje pewną idealną część ogólniej wartości dóbr wchodzących w da-

nym kraju w obrót wymienny, względnie – co na jedno wychodzi – dochodu społecznego i odpowiadającego mu zapotrzebowania dóbr gospodarczych ze strony danego społeczeństwa.

Ale dochód społeczeństwa, jego zapotrzebowanie i wywołany nim obrót wymienny w kraju nie są wielkością stałą. Normą jest postęp gospodarczy, stagnacja chorobą. Wraz z postępem jednak sił wytwórczych narodu rośnie jego dochód i rosną jego obroty handlowe. I dochód i obroty wyrażają się w coraz większych ilościach tradycyjnych jednostek wartości (rubli, marek, funta, dolarów, złotych). I w tym samym stopniu rośnie zapotrzebowanie na krążki metalu czy kawałki papieru reprezentujące te jednostki wartości.

Jeśli emisja bilonu czy pieniędzy papierowych odpowiadać będzie ściśle wzrostowi zapotrzebowania na nie, wynikającemu ze wzrostu dochodu społecznego, który znów jest skutkiem wzrostu sił wytwórczych kraju, to pieniądze te będą nadal reprezentować w pełni tradycyjne jednostki miary wartości.

Jeśli natomiast wzrost emisji będzie szybszy od wzrostu dochodu społecznego – to każdy z wprowadzonych w obieg pieniężny krążków metalu czy kawałków papieru reprezentować będzie odpowiednio też mniejszą część dochodu społeczeństwa, część niższą od tej tradycyjnej miary wartości, której miał być on materialnym wyrazem. Pieniądz spada wtedy poniżej swej wartości nominalnej.

Wszelka też dewaluacja pieniędzy papierowych była skutkiem nadmiernie szybkiego powiększenia ich ilości w stosunku do wzrostu dochodu społecznego.

Bynajmniej nie brak tzw. pokrycia kruszcowego spowodował dewaluację choćby naszej marki. Obecna marka niemiecka trzyma się silnie w swym kursie, a ma pokrycie 2%, tj. tyle co nic, a frank szwajcarski miał pokrycie przeszło 100% i pomimo to został zdewaluowany.

Pokrycie złotem decyduje o kursie banknotów tylko wymienialnych każdej chwili na złoto. Bo też banknoty te nie są same przez się pieniędzmi, ale tylko zastępcami pieniędzy kruszczowych.

Banknoty jednak niewymienialne są pieniędzmi, jeno papierowymi, a nie kruszczowymi. Różnią się one jednak od wspomnianych poprzednio rubli asygnacyjnych z początku przeszłego stulecia, czy powojennej naszej marki, tym, że wprowadza je w obieg nie skarb państwa, ale bank emisyjny. A ma to doniosłe znaczenie. – Bo gdy pieniądze papierowe emituje skarb państwa, czyni to wyjątkowo dla zasilenia nimi sił wytwórczych społeczeństwa, lecz przede wszystkim dla potrzeb swej własnej gospodarki; wprowadza je więc w obieg głównie przez swą konsumpcję. Natomiast bank emisyjny wprowadza swe noty w obieg rynkowy, udzielając pożyczek, tj. przez akty kredytu. I dlatego dzisiejsze wymienialne banknoty możemy określić jako papierowe pieniądze kredytowe.

Trwałość ich wartości zależy całkowicie od polityki kredytowej emitującego je banku.

Jeśli bowiem bank będzie udzielał kredytów konsumpcyjnych np. państwu na wypłatę uposażeń urzędniczych, czy miastom na budowę parków, boisk, gmachów reprezentacyjnych – w takim razie ilość banknotów rósł będzie szybciej od dochodu społecznego i spadną one poniżej swej nominalnej wartości.

Podobnie się stanie, jeśli udzielane przez bank emisyjne kredyty zostaną zużyte w dużej części na handel spekulacyjny nieruchomościami, drogimi kamieniami, czy nawet papierami procentowymi. Spekulacje te bowiem zawsze tylko zmieniają podział dochodu społecznego, ale nie powiększają ogólnej jego sumy.

Natomiast kredyty, które wyzwalają istniejące w narodzie potencjalne energie produkcyjne, umożliwiają zaspalanie nie znajdujących zatrudnienia rąk roboczych ze znajdującymi się w kraju, ale do tej chwili nie eksploatowanymi, surowcami pod kierunkiem należycie wykształconych organizatorów – pomnażają siły produkcyjne i dochody społeczeństwa w tejże proporcji, co i ilość kursujących w obrotach rynkowych pieniędzy.

Oczywiście poza kredytem istnieje szereg innych przyczyn wywołujących rozrost produkcji. Więc często wzrost produkcji powoduje zwiększone zapotrzebowanie pieniędzy i nowe emisje banknotów. Wtedy pieniądz idzie za towarem. I w społeczeństwach bogatych, w których ludność ma z czego oszczędzać – tak się przeważnie dzieje.

Ale bywa i odwrotnie: wzrost produkcji staje się możliwym dopiero dzięki kredytowi pierwiastkowemu. tj. kredytowi, który antycypuje wartość i dochody, jakie dzięki niemu dopiero powstaną. A w takim razie towar idzie za pieniądzem.

I czy naprzód zjawia się towar, a za nim idzie pieniądz, czy też nasamprzód wchodzi w obrót pieniądz, a dzięki niemu powstają nowe zasoby dóbr i wartości – to byle była utrzymana należyta proporcja między powiększaniem się ilości pieniędzy, a wzrostem dochodu społecznego, – pieniądze papierowe zachowują swą wartość nie gorzej od pieniędzy kruszcowych.

Więc kredyty choćby największe, ale produkcyjne, nie dewaluują banknotów. Toć stale wzrostowi sił wytwórczych i dobrobytu kraju towarzyszy wzrost obiegu pieniężnego. Jest on dziś we Francji przeszło 15 razy większy na głowę ludności niż u nas. I chyba nie może napawać nas dumą i radością, że mamy najmniejszy ze wszystkich państw europejskich w stosunku do liczby ludności zasób pieniędzy w kraju.

Możemy śmiało nasamprzód wrócić w ciągu paru lat do ilości pieniędzy z 1929 r. A mieliśmy wówczas złotych i dolarów łącznie na 2½ miliarda, gdy dzisiejszy nasz obieg pieniężny wynosi niespełna 1,400 milionów. I możemy następnie w ciągu lat kilkunastu przybliżyć się stopniowo do zachodnio-europejskiej normy obiegu pieniężnego, byleśmy jednocześnie przybliżyli się i do za-

chodnio-europejskiej normy produkcji oraz dochodu społecznego.

A gdy możemy, nie dewaluując naszych banknotów, emisją ich na cel kredytów, zamieniających potencjalne nasze energie gospodarcze na czynne procesy produkcyjne, wyprowadzić definitywnie Polskę z biernego kapitalizmu i zapewnić całemu naszemu przyrostowi ludności przyzwoity zarobek – to należy to uczynić.

*

*

*

By zatrudnić cały nasz przyrost ludności musimy uzupełnić przez szeroko stosowany kredyt pierwiastkowy zbyt słabe nagromadzenie się oszczędności.

Ale rozwinięcie takiego kredytu wymaga ostatecznego uniezależnienia naszej waluty od międzynarodowych rynków pieniężnych i śmiałego zerwania z zasadą, naprawdę dziś już fikcyjną, niemniej przeto mocno nas jeszcze krępującą, kruszcowego pokrycia banknotów.

Popularny więc już dziś program wielkich robót inwestycyjnych, dla zatrudnienia bezrobotnych a jednocześnie podniesienia sił wytwórczych kraju, nie może być w pełni wykonany bez gruntownej reformy całego naszego systemu walutowo-kredytowego.

By jednak spowodowany szerokim stosowaniem kredytów pierwiastkowych wzrost emisji banknotów, pieniędzmi jedynie kredytowymi będących, nie spowodował

dewaluacji podobnej do tej, jaką zakończyły się były czasy markowej inflacji, – trzeba gwarancji, zapewniających, że udzielane przez bank kredyty w nowo wypuszczanych banknotach będą w całości zużyte na cele produkcyjne, na podnoszenie sumy dochodu społecznego.

Lecz, jak już poprzednio powiedziałem, nie jest produkcyjną praca, która wytwarza, dobra nie znajdujące zbytu. A że siła nabywcza naszego społeczeństwa jest minimalna – więc podniecanie produkcji przez szeroko udzielane kredyty musiałoby doprowadzić do szkodliwej nadprodukcji, o ile by państwo nie zapewniło równocześnie odpowiedniego wzrostu zapotrzebowania naszego rynku wewnętrznego.

W pewnym stopniu czyni to ono zresztą już od dawna, boć jest przecie samo przez się olbrzymim konsumentem.

Ostatnimi zaś czasy we wszystkich niemal państwach inicjuje ono wielkie publiczne roboty, nieraz nawet czysto konsumcyjne, jak np. niemieckie zbrojenia, dla zatrudnienia bezrobotnych.

U nas wszakże, przypominam, nie o usunięcie jedynie koniunkturalnego bezrobocia chodzi, ale o wydobyć nas z dotychczasowej bierności gospodarczej. A na to trzeba o wiele szybszego niż dotychczas rozwoju inwestycji gospodarczych. I znów niedostateczne ich zapotrzebowanie ze strony prywatnych przedsiębiorstw musi uzupełnić swą inicjatywą państwo. Jednym z naczelných jego zadań gospodarczych jest zorganizowanie zapotrzebowania na melioracje rolne przez tworzenie i finan-

sowanie obdarzonych odpowiednimi uprawnieniami wobec pojedynczych właścicieli ziemi gminnych i powiatowych spółek drenarskich i wodnych. Również może i powinno ono skłonić samorządy gminne i powiatowe, zapewniając im potrzebne na to tanie, najwyżej na 2% wraz z amortyzacją oprocentowane kredyty na forsowną rozbudowę dróg. Nie jest też niemożliwe inicjowanie przez państwo krajowych kompanii handlu morskiego i budowy okrętów, o ile dostarczone im będą dostateczne i dość tanie kredyty. Poza tem już bezpośrednio państwo nasze powinno przystąpić co najprędzej do silnej rozbudowy naszej zgoła nie wystarczającej nie tylko na wypadek wojny, ale i dla uprzemysłowienia kraju, sieci kolejowej i dróg wodnych. Przez połączenie choćby Wisły z Dniestrem uzyskujemy jakże cenną i gospodarczo i strategicznie taną komunikację z Czarnem Morzem.

Lecz cóż pomoże podniesienie przez melioracje gruntów włościańskich wydajności rolniczej do poziomu np. czeskiego, tj. o 50%, jeśli nie będziemy mieli dostatecznego zbytu za granicę na nasze płody rolnicze, bo nie potrafimy ofiarować krajom importującym nasze bekonny, masło, jaja, żyto dostatecznych wzamian kontygentów importu do Polski przemysłowych wytworów, a siła nabywcza naszych miast nie wzrośnie na tyle, by ta nadwyżka produkcji rolniczej została zakupiona w kraju, po przyzwoitych cenach?

By więc kredyty pierwiastkowe szły na cele wyłącznie produkcyjne, nie wystarczy jaknajściślejsze nawet prze-

strzeżenie, by nie dostały się w ręce tych, co by je mogli użytkować na cele konsumpcyjne albo spekulacyjne, na upiększanie naszego życia przez gmachy i aleje reprezentacyjne, lub bogacenie jednostek udanymi operacjami handlowymi bez podnoszenia jednak sumy dochodu społecznego.

I nie wystarczy nawet w tym celu, by państwo inicjowało i organizowało roboty inwestycyjne, zdolne podnieść naszą produkcję do poziomu koniecznego dla zatrudnienia całego naszego przyrostu ludności.

Trzeba jeszcze, by umożliwiony tymi inwestycjami wzrost produkcji znajdował zbyt na naszych krajowych rynkach.

Bo złudą jest niezależność naszego systemu walutowo-kredytowego od międzynarodowych rynków pieniężnych bez równoczesnej niezależności rozwoju naszej produkcji od zagranicznych rynków towarowych, zarówno zakupu jak zbytu.

To też wielkie może mieć dla nas znaczenie ekonomicznie popierana przez władze wojskowe zamiana bawełny przez len i konopie, a wełny zagranicznej przez krajową. Nie tylko bowiem poprawimy przez to nasz bilans handlowy i płatniczy z krajami, do których eksportujemy dziś o wiele mniej, niż od nich zakupujemy -- ale, rozwijając silnie hodowlę owiec oraz uprawę lnu i konopi dla potrzeb naszego rynku wewnętrznego, zmniejszymy tym samym produkcję naszą choćby masła i bekonów na wywóz.

A dążeniem naszym musi być, by wzrost naszej produkcji rolniczej i dochodu naszych włościan opierał się nie na większym eksporcie, lecz na większym spożyciu mięsa, jaj, masła, warzyw, owoców przez naszych robotników przemysłowych i rzemieślników.

W systemie wolnej międzynarodowej wymiany może naród oprzeć postęp swego bogactwa na rozwoju szczególnie silnym paru gałęzi produkcji, dla których zdobędzie prymat na rynkach światowych.

Ale w systemie samowystarczalności gospodarczej państw, trwały postęp gospodarczy musi opierać się na jaknajbardziej równomiernym rozwoju tych wszystkich gałęzi produkcji i dochodu związanych z nimi zawodowych grup ludności, które nawzajem konsumują wytwarzane przez nie dobra.

Że zaś niezależny od międzynarodowego obrotu pieniężnego, oderwany od zasady kruszcowego pokrycia i operujący kredytem pierwiastkowym system walutowy może normalnie funkcjonować tylko przy jaknajwiększej niezależności produkcji od międzynarodowych rynków towarowych, a przy samowystarczalności postęp gospodarczy jest niemożliwy bez równomiernego rozwoju wszystkich gałęzi produkcji, nie dającego się żadną miarą osiągnąć w systemie liberalnej gospodarki, uzupełnianej nawet daleko posuniętym interwencjonizmem państwowym – zatem obrońcy liberalizmu postępują zupełnie konsekwentnie, zwalczając wszelkie inflacyjne manipulowanie pieniądzem.

Natomiast niekonsekwentni są ci wszyscy, co propagują odrodzenie gospodarcze lub gospodarczą niezależność Polski oraz wielkie roboty publiczne – ale odzégnują się jak od obrzydłej herezji od planowej gospodarki, przekreślającej zasadę, że jedynym motorem przedsiębiorczości jest jaknajwiększy zysk.

Zapewne, samowystarczalna planowa gospodarka narodowo-państwowa spowoduje, iż nieraz będziemy produkować niejedno większym nakładem pracy, niż to się dzieje przy wolnej międzynarodowej wymianie dóbr. Niewątpliwie produkcja krajowej wełny, czy krajowego lnu pochłonie więcej pracy, niż zakup wełny australijskiej lub amerykańskiej bawełny. Ale naród mający ponad półtora miliona rąk roboczych, nie znajdujących produkcyjnego zajęcia, nie ma racji się tym zbytnio przejmować! Za samowystarczalność gospodarczą zapłacimy – ale zapłacimy tym, czego mamy nadmiar, tj. zwiększonym nakładem pracy. A zyskamy za to wyżywienie całego przyrostu ludności i wydzwignięcia się na bardziej odpowiadające naszym ambicjom narodowym miejsce w gospodarczej hierarchii państw.

By wszakże zapewnić równomierny rozwój wszystkich gałęzi produkcji trzeba na to, by kredyty pieniężne szły nie tam, gdzie spodziewają się największych zysków, ale tam, gdzie są potrzebne dla postępu całokształtu społeczno-gospodarczego postępu.

Nie wystarczy więc przyspieszanie tempa tworzenia się kapitałów przez kredyty pierwiastkowe, nie wystarczy

inicjowanie i organizowanie przez państwo zapotrzebowania tych kredytów, nie wystarczy nawet kontrola, by kredyty te szły wyłącznie na cele produkcyjne – trzeba jeszcze planowego rozdziału ich między poszczególne warstwy zawodowe i gałęzie produkcji tak, by był przez to zapewniony jaknajbardziej równomierny ich rozwój, podnoszący niezależność gospodarczą i bogactwo całego narodu.

A na to trzeba przebudować cały nasz obecny ustrój społeczno-gospodarczy.

W tym nowym ustroju organizacja produkcji pozo-
stanie funkcją jednostek i możliwie jaknajwiększej ich
liczby. Dbać więc powinniśmy, by, gdzie to nie jest
technicznie niezbędne, rozwijał się u nas przede wszy-
stkim średni i drobny przemysł, nie wyłączając produk-
cji chałupniczej, uzupełniającej szczupłe dochody mało-
rolnych włościan.

Ale ta indywidualna przedsiębiorczość musi być przez
państwo usilnie wspomagana kredytami pierwiastkowy-
mi, bo własnymi siłami nie zdoła zatrudnić całego przy-
rostu naszej ludności. A wzamian za tę pomoc, pod gro-
zą dewaluacji musi się ona zgodzić na zrezygnowanie
z wolności rozwijania się w kierunku jedynie najwięk-
szych spodziewanych zysków, musi poddać się kierownic-
twu władzy państwowej, która nad nią według jednoli-
litego, opracowanego na lat co najmniej 25, planu gospo-
darczego uniezależnienia i z bogacenia Polski, organizo-
wać będzie zapotrzebowanie rynku wewnętrznego i roz-

dzielać kredyty między poszczególne grupy zawodowe.

Państwowy plan, państwowa organizacja kredytu, państwowy rozdział przepływu pieniędzy do przedsiębiorstw produkcyjnych – wedle potrzeb postępu ekonomicznego całości narodowo-państwowej, i jaknajbardziej indywidualna produkcja – oto fundamenty polskiej planowej gospodarki narodowej, zdolnej dać nam siły materialne, konieczne dla spełnienia naszej dziejowej roli w ludzkości.



Pierwszym zadaniem polskiej gospodarki planowej musi być zwiększenie naszych sił wytwórczych, podniesienie dochodu społecznego i wzmożenie naszej produkcji do poziomu zachodnio-europejskiego.

Ale bogactwo nie powinno być dla nas samo w sobie celem.

Dążyć do niego musimy, bo bez wielokrotnego zwiększenia naszych dochodów nie będziemy mogli być sobą, nie mając gospodarczej samodzielności, i nie wypełnimy naszej misji dziejowej.

Tak – misji dziejowej.

Bo naród, który nie ma swej myśli historycznej, nie poczuwa się do obowiązku dania czegoś z siebie ludzkości, staje się niepotrzebnym nikomu konsumentem twórzony przez innych cywilizacji i w chwili najazdu prze-

możnych nieprzyjaciół zostaje przez wszystkich opuszczony.

Tak było z nami podczas pierwszego i drugiego rozbioru. A odzyskaliśmy niepodległość nie tylko naszymi czynami orężnymi i naszą dyplomacją w czasie wojny światowej – lecz przede wszystkim dzięki szacunkowi, jaki odzyskaliśmy wśród innych narodów niezmordowaną siłą przeszłą, walką o ideał powszechnej, nie tylko naszej wolności, twórczością naukową i artystyczną o dużej ogólnoludzkiej wartości, a zarazem nawskroś narodową, oraz patriotyzmem mas robotniczych i chłopskich, które się nie dały wynarodowić ani najsroższym uciskiem, ani hojnymi dobrodziejstwami państw zaborczych.

Naród – to ciągłość pokoleń. Ale z pokolenia w pokolenie zmienia się tryb życia. Inne mamy dziś uwarstwienie społeczne, inne obyczaje, mieszkania, ubióry, inne pojęcia prawne – niż za Kazimierza Wielkiego. Ale któż z nas nie poczuwa się do stokroć silniejszej łączności z ówczesnymi Polakami, tak bardzo od nas różnymi, niż z o wiele podobniejszymi do nas dzisiejszymi Czechami lub Duńczykami. Zaliczamy do narodu polskiego tych nawet przodków, którzy żadnego jeszcze poczucia narodowego nie mieli, jak np. wojów Chrobrego.

A tę łączność naszą ze wszystkimi poprzednimi i przyszłymi pokoleniami stwarza nie jedność rasowa. Toć nie byli polskiej rasy ani Kościuszko, ani Mickiewicz, ani Smolka, ani Pol, ani Matejko. Dużo w narodzie na-

szym krwi białoruskiej, ruskiej, ormiańskiej, niemieckiej, czeskiej, nawet tatarskiej. Ale się żadnej z nich nie wyprzemy.

Nie rasową, ale moralną, że zużyję słów genialnego Staszica, jesteśmy jednością.

I tę jedność moralną stwarza nie co innego, jeno myśl historyczna, formułująca kierunek zarówno dotychczasowego rozwoju jak i przyszłych dążeń cywilizacji narodowej.

Poczuwaliśmy się przed wiekami i poczuwamy się obecnie w olbrzymiej naszej większości do obowiązku obrony zachodniej chrześcijańskiej cywilizacji.

Ale państwo chrześcijańskie różni się od pogańskiego nie tylko przez to, że sformułowanie i wykonanie praw jest w nim zawsze zgodne z nakazami moralności Chrystusowej.

Państwo chrześcijańskie jest również państwem, w którym ani nie przeważają egoizmy indywidualne nad dobrem ogółu, ani też całość narodowo-państwowa nie niszczy indywidualizmów ludzkich, lecz dążenie jednostek do udoskonalenia własnego życia harmonijnie się zespala z dążeniem państwa do lepszego życia własnego nasamprzód narodu a dalej i całego chrześcijańskiego świata.

I państwo chrześcijańskie jest też państwem sprawiedliwości społecznej.

Niewątpliwie w wielu gałęziach przemysłu większą osiąga się produkcję w jednej wielkiej fabryce, zatrud-

niającej 1000 robotników, niż w 50 fabryczkach z 20 przeciętnie robotnikami. Gdyby najwyższym naszym celem było bogactwo – powinniśmy w takim razie popierać organizację tylko wielkich fabryk, a nie dopuszczać do niedość produkcyjnego zużywania pracy i kapitałów w drobnych fabryczkach.

Ale że chcemy bogactwa dla lepszego życia ludzi, więc popierać będziemy przede wszystkim rozwój indywidualnych inicjatyw gospodarczych. I pójdziemy w tym tak daleko – iż wyszukiwać będziemy wśród kształcącej się w szkołach zawodowych, wyższych i średnich, młodzieńców pracowitych, przedsiębiorczych i uczciwych, by po przebyciu przez nich odpowiedniej praktyki, dostarczać im, bez względu na posiadany przez nich majątek, kredytów potrzebnych dla zakładania i prowadzenia drobnych i średnich przedsiębiorstw w gałęziach produkcji, na których rozwoju lub unarodowieniu w danym czasie i miejscu szczególnie zależy.

Z tego też względu nie możemy się dać odwieść od dokończenia reformy rolnej argumentami, jakoby pło-ny z hektara uprawnych ról były większe na wielkich folwarkach, niż w gospodarstwach chłopskich.

Osobiście nie jestem przekonany, by tak było.

Ale gdyby nawet tak było – to wyższy, ponad gospodarczy interes narodowy nakazuje nam starać się nie o jaknajwiększy dochód netto z każdego istniejącego u nas tysiąca morgów, ale o to, by wyżywiły one jaknajwiększą ilość ludzi.

A powtarzam każde 1000 morgów podzielone na dziesięciomorgowe gospodarstwo wyżywia o 40% więcej osób, niż należąc do jednego wielkiego właściciela.

Im więcej ziemi będzie w ręku polskich chłopów, tym będzie silniejsze w nich poczucie odpowiedzialności za przyszłość Polski i tym wyższa kultura obywatelska masy włościańskiej.

A to jest nieskończenie ważniejsze od kwestii, czy hektar roli folwarcznej daje większy czy mniejszy dochód netto od hektara roli włościańskiej.

Więc polska planowa gospodarka musi dążyć do zwiększenia naszego dochodu społecznego; ale ani nie jest to jej jedynym zadaniem, ani też nie może ona wszystkie nasze społeczno-polityczne i społeczno-cywilizacyjne dążenia podporządkować temu jednemu celowi. Wręcz przeciwnie, będziemy musieli nieraz nawet poświęcić pewne czysto gospodarcze korzyści, zadowolić się mniejszą wydajnością pracy czy mniejszymi dochodami netto z ról i fabryk – dla silniejszego rozwoju indywidualnych inicjatyw oraz rodzimej warstwy przedsiębiorczej, której brak tak bardzo osłabia dziś naszą zwartość narodową, oraz dla ściślejszego zespolenia z Polską najszerzych warstw ludowych.

I o jednym jeszcze powinniśmy pamiętać: wraz z uprzemysłowianiem się Polski rosnąć będzie liczba robotników fabrycznych, górniczych i rękodzielniczych.

Jeśli nasza planowa gospodarka narodowa ma służyć nie tylko bogaceniu się Polski, lecz i polepszeniu całego

naszego cywilizacyjnego życia w myśl ideału państwa chrześcijańskiego – w takim razie musi ona objąć i polepszenie życia robotniczego, zgodnie z nakazami chrześcijańskiej sprawiedliwości społecznej. Bo obecna sytuacja społeczna proletariatu nie jest w zgodzie z tymi nakazami.

Chrześcijańska cywilizacja zniosła stopniowo niewolnictwo i poddaństwo, podział na dobrze i źle urodzonych. To wszystko dał ludzkości właśnie chrześcijanizm, a nie, jak bają nasi elitarzyści, masoński demo-liberalizm.

Dalszy pochód chrześcijańskiej myśli społecznej prowadzi do usunięcia podziału warstw społecznych na ludzi gospodarczo samodzielnych dzięki posiadanej własności i ludzi będących tylko wykonawcami cudzych planów i nakazów, pracujących przez całe swe życie w cudzych przedsiębiorstwach, bo nie posiadających żadnego prawa własności czy współwłasności ani do narzędzi swej pracy, ani do jej wytworów.

Powtarzam to, co już w 1927 r. napisałem w swej *Ekonomii Społecznej*. Albo wiek XX uwłaszczy robotników, analogicznie jak przeszłe stulecie uwłaszczyło chłopów, albo wywłaszczy dzisiejszych właścicieli przedsiębiorstw kapitalistycznych.

Tego ostatniego nie chcemy – bo to by zaprowadziło nas pod panowanie Moskwy. Więc musimy chcieć pierwszego.

I właśnie dlatego, że tak mało jeszcze mamy prze-

mysłu, a istniejący już dziś jest w przeważnej części nie polski i musi być dopiero unarodowiony, że więc potrzebny dla naszej samodzielności gospodarczej przemysł mamy w większości dopiero stworzyć, a w dużej części gruntownie zreorganizować – łatwiej będzie u nas niż w krajach starszej kultury kapitalistycznej przeprowadzić reformę stosunków robotniczych, zrealizować Polskę bez proletariatu.

*

* *

Planowa gospodarka narodowo-państwowa wymaga jednolitego kierownictwa. Nie pokieruje nią należycie „komitet ekonomiczny ministrów“. Dla przeprowadzenia jej trzeba będzie stworzyć nadrzędne nad ministerstwami skarbu, przemysłu i handlu oraz rolnictwa „ministerstwo gospodarki narodowej“.

Ale wielkim byłoby złudzeniem, gdybyśmy wyobrażali sobie, że dość, by rząd przyjął należyty program przebudowy naszego ekonomicznego ustroju i powołał dla jego realizacji odpowiedniego człowieka na nowo utworzony urząd ministra gospodarki narodowej, – a wnet się już zacznie nowe, lepsze w Polsce życie nie dla jednej jakiejś elity, ale dla wszystkich.

Władza państwowa może, szczególnie przy pomocy ściśle z nią związanej klasy czy partii rządzącej, wprzódz wszystkie istniejące w narodzie indywidualne inicjatywy gospodarcze w służbę potęgi państwa. I tak się sta-

ło we Włoszech i w Niemczech. Może ona też stworzyć szybko liczne i wielkie przedsiębiorstwa państwowe, jak to widzimy w Z.S.S.R.

Ale nigdy, nigdzie, jak świat światem, biurokracja nie potrafiła wydobyć ze społeczeństwa nowe inicjatywy twórcze, rozbudzić utajone w nim energie. Bowiem zasadniczą jej cechą jest nieufność wobec wszystkich, nie przewidzianych okólnikami urzędowymi, poczynañ obywateli. Człowiek dorabiający się dla normalnego urzędnika jest najczęściej podejrzany.

A tymczasem nasza polska gospodarka planowa ma za naczelne swe zadanie przemieniać istniejące w narodzie energie potencjalne na czynne i wszelką możliwą zachętą i pomocą kształcić jaknajliczniejszą rdzennie polską warstwę przedsiębiorczą.

Władze państwowe dysponują niezbędnymi do tego środkami: szkolnictwem zawodowym, stypendiami dla wyjeżdżających na zagraniczne praktyki, tanimi kredytami, które mogą być udzielane nie koniecznie na podstawie materialnych gwarancji, ale i moralnych, wpływających z wiedzy i charakteru ludzi, zamówieniami prac i zakupami towarów, ulgami podatkowymi i t.d. i t.d.

Te wszystkie jednak zachęty i pomoce państwowe nie podnoszą, ale tłumią energie przedsiębiorcze narodu — gdy są tylko dla osób protegowanych, prawomyślnych, prorządowych.

Gdy wszakże między władzami państwowymi a nie-

zależną opinią społeczną istnieje ostra „linia przedziału“ zadawnionych wzajemnych niechęci, obaw i podejrzeń – to choćby rząd pragnął jaknajszczerzej dawać pomoc i poparcie jedynie tym, co na nie naprawdę zasługują, otrzymają je tylko dobrze widziani i ustosunkowani, bo tylko ci dotrą do decydujących instancji.

I wszystko, co się będzie w tych warunkach robiło, pójdzie w znacznej części na marne.

Patrzmy rzeczywistości prosto w oczy, nie kryjmy sami przed sobą naszych braków.

Przeciętna sumienność i uczciwość jest u nas o wiele niższa niż w Anglii, Danii, Szwecji, Holandii, Szwajcarii, Czechach. A z tego płynie wniosek: nad robotami publicznymi powinna być u nas kontrola niezależnej opinii społecznej większa, a nie mniejsza, niż w zachodnio-europejskich parlamentarnych demokracjach.

I choćby już dla tego bez usunięcia dzisiejszej „linii przedziału“ nie ma co nawet zaczynać planowej gospodarki narodowej.

Ale co ważniejsze sam dobrze zrozumiany osobisty interes nie pchnie tysięcy młodych ludzi do zakładania, przy najwydatniejszej nawet pomocy państwa, własnych przedsiębiorstw, zamiast starania się o posady w cudzych, szczególnie państwowych, przedsiębiorstwach. Uczynić to może tylko prąd ideowy, równie silny jak ten, który stworzył był w ostatnich ro-leciach ubiegłego wieku i kółka rolnicze i sokoła i tajną oświatę ludową i towarzystwo szkoły ludowej – całą tę olbrzymią

patriotyczną pracę organiczną, która przekazała masom ludowym wszystkie narodowe ambicje warstw oświeconych.

Dość pomyśleć o tym, że w ciągu ostatnich 16 lat nie zdołaliśmy nawet odbudować w pełni przedwojennej produkcji przemysłowej – by od razu zdać sobie sprawę, jak olbrzymiego trzeba będzie napięcia wszystkich twórczych sił narodu, ażeby w ciągu następnych 25 lat zwiększyć parokrotnie ilość zatrudnianych w naszym przemyśle osób, a bez tego nie zlikwidujemy naszego bezrobocia.

Dokonyamy tego tylko wtedy, gdy ambicją całego społeczeństwa, nie tylko młodzieży szkół wyższych i warstw oświeconych, lecz również wszystkich bardziej przedsiębiorczych jednostek po wsiach i małych miasteczkach, oraz licznych rzesz robotniczych, stanie się gospodarcza niezależność Polski i wydzwignięcie jej na wyższy poziom w hierarchii ekonomicznej narodów.

Dziś jednak dominujący u nas, szczególnie wśród inteligencji, nastrój – to zniechęcenie do wszelkich nowych poczynąń – bierne dostosowywanie się do sytuacji, – czekanie, kiedy najgorsze minie.

W takiej atmosferze psychicznej nie zdobędziemy się nawet na odwagę zerwania z fikcją złotego pokrycia naszych banknotów i naprawienia szalonego błędu deflacyjnej naszej polityki, jakim było zmniejszenie po 1930 r. do połowy niemal naszego obiegu pieniężnego. A cóż dopiero mówić o reformie stosunków robot-

niczych, któraby doprowadziła jeśli nie wszystkich robotników, to w każdym razie koło połowy ich do udziału we własności i kierownictwie przedsiębiorstw, w których pracują.

Wszystkie istniejące obecnie przedsiębiorstwa z udziałem robotników w majątku i zyskach powstały z indywidualnej inicjatywy ich właścicieli. Ustawodawstwo państwowe może i powinno stworzyć odpowiednie dla tego rodzaju spółek prawne normy, może też nałożyć na akcyjne towarzystwa obowiązek odstępowania swych akcji robotnikom na warunkach dogodnej spłaty niewielkimi ratami. Dysponujące zaś zamówieniami państwowymi i samorządowymi władze mogą dawać pierwszeństwo przedsiębiorstwom przyznającym robotnikom udział w dochodach. Wreszcie mogą banki państwowe uzależniać swą pomoc kredytową nowo-powstającym przedsiębiorstwom od zaprowadzenia u nich udziałów robotniczych, odstępując przy tym część należnych procentów na powiększanie tych udziałów.

Ale to wszystko na nic się nie zda, jeśli między właścicielami i kierownikami przedsiębiorstw a ich robotnikami nie będzie chęci szczerego współdziałania, lecz każda ze stron, kierując się własnym jeno interesem, będzie myśleć przede wszystkim o tym – jak drugą oszukać i wyzyskać. Solidaryzmu społecznego nie wprowadzi się w życie policyjnymi nakazami ani też apelem do samego tylko rozumu, do dobrze zrozumianego wspólnego interesu pracodawców i pracowników. Musi

on wypłynąć ze wspólnych ukochań i ambicji. Dla zrealizowania go znów jest konieczny głęboki prąd ideowy.

Zwracano u nas już kilkakrotnie uwagę na ten naszego dzisiejszego życia paradoks, że coraz więcej jest postulatów i zasad, na które się wszyscy godzą, a pomimo to rośnie różniczkowanie polityczne społeczeństwa, dawne wielkie stronnictwa się rozpadają, kierunki myśli dzielą się na coraz więcej odmian.

Jest to zrozumiała reakcja przeciwko pasji „brania za pysk”, „stawiania na baczność”, „wyrównywania poglądów“, która przez długie lata szalała nie tylko wśród sanacji.

I nie należy się gorszyć, że mnoży się ilość programów zarówno lepszego ustroju państwowego, jak i nowej lepszej gospodarki. Prawdziwy postęp płynie zazwyczaj nie z jednomysłności, lecz ze ścierania się i krytycznej oceny różnorodnych poglądów, wynikających z patrzenia na te same rzeczy i sprawy z różnych stron.

W dobie saskiej wszyscy w Polsce na ten sam ton powtarzali te same głupstwa.

W przededniu Sejmu Czteroletniego co miesiąc zjawiały się nowe książki i broszury z nowymi programami i projektami naprawy Rzplitej.

Od tego zaczęło się ówczesne nasze odrodzenie narodowe, dzięki któremu, choć upadliśmy, nie zginęliśmy nikczemnie.

I z obecnej mnogości programów może wyłonić się synteza wskazująca drogę, po której wszyscy pójdziemy

zgodnie, nie spychając z niej jedni drugich, ani nie zagradzając na nią nikomu wstępu – ku lepszemu nowemu życiu.

Ale by się to stało, trzeba zesplającej wszystkie nasze patriotyczne dążenia idei.

A idea, to nie to samo, co program.

Człowiek programu mówi: wiem jak Polskę wyprowadzić z biedy – ale nie powiem, dopóki nie dojdę do władzy; bo gdyby mój plan zrealizowała teraz sanacja – zdobyłaby przez to sobie wdzięczność narodu, a mnie pozbawiła zasługi.

Dla człowieka idei takie rozumowanie jest – niedopuszczalne. Bo ideę ma się nie dla siebie, ani swej kliki czy partii, ale dla jakiegoś nieskończonego nad naszym ja górującego celu obiektywnego: Boga, Ojczyzny, dobra, piękna, ludzkości. I nie wystarczy zrozumieć ideę, trzeba ją umiłować. A gdy się ją ukocha – to się nie o to pyta, kto z realizacji jej największą odniesie chwałę czy największy pożytek – byle się urzeczywistniła.

A idea ta jest taka prosta. Narzuca nam ją gwałtownie to wszystko, co się dzieje naokoło nas w świecie. I tkwi ona głęboko w sercach olbrzymiej większości Polaków, zarówno profesorów uniwersytetów jak i małopólnych chłopów. Trzeba ją tylko wydobyć na jaw i śmiało z nią pójść przeciwko wszystkim jałowym, wnoszącym jeno do ogółu naszej inteligencji rozterkę myśli i woli, sporom o przeszłość i o subtelności pro-

gramowe różnych przeszczepionych z zagranicy „izmów”.

Jest to idea zespolenia wszystkich twórczych sił patriotycznych dla umacniania i doskonalenia życia polskiego, by Polska była nie tylko silniejsza i bogatsza, ale i lepsza.

S P I S R Z E C Z Y

	str.
I. Potrzeba idei . . . :	9
II. Gdzie jesteśmy?	41
III. Potrzeba nowej idei	47
IV. Istotne zadania i fałszywe złudzenia . . .	55
V. Doświadczenia klasycznej i planowej gospodar- ki zagranicą	69
VI. Możliwości	75
VII. Słowa — straszaki	87
VIII. Własnymi siłami	103
IX. 25 lat równania w górę	119
X. Raz jeszcze o polityce i moralności . . .	127
XI. Chłopi	135
XII. Czego się możemy nauczyć z reform finanso- wych wielkich państw?	187
XIII. Systemy planowej gospodarki Ameryki, Nie- miec, Rosji i Włoch	193
XIV. Własna droga Polski	199

JULIUSZ KLEINER

W kręgu Mickiewicza i Goethego

Autor wielkich monografij o Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim w tym tomie studiów zespolił dwadzieścia osiem rozpraw i szkiców o niezwyklej rozpiętości tematów i o niezwyklej różnorodności metod. Obok ujęć syntetycznych, opartych zawsze na bogatym tle porównawczym, czy to uwydatniających „walory światowe literatury polskiej”, czy ukazujących wyraziście i plastycznie wizerunki duchowe Mickiewicza, Goethego, Krasińskiego, Kasprówicza — klasyczne przykłady wnikliwej, ścisłej analizy, wydobywającej niespodziane rezultaty z badań słownictwa, metaforyki, kompozycji. Ze studiami o twórcach i dziełach, od „Edypa króla” do Fredry i Żeromskiego, sąsiadują rozważania teoretyczne, estetyczne, filozoficzne, a szkic o „Historyczności i pozaczasowości w dziele literackim” staje się wyznaniem wiary naukowej autora.

Tom cały daje pełny obraz indywidualności Juliusza Kleinera. Przy tym studium każde jest w równej mierze plonem pracy badawczej jak dziełem sztuki, zgodnie z faktem, że pisał je uczony i artysta, członek Akademii Umiejętności i jednocześnie akademik literatury. Dla badaczy szczególnie interesujące w dzisiejszych czasach walk o metody, studia te są również darem dla szerszego ogółu pragnącego zbliżyć się do wielkich twórców poezji i do zagadnień wiedzy o literaturze.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 326645



000-326645-00-0

